Numer świąteczny — 24 strony

Cena 16 zł.

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok III | Kraków, dnia 21 kwietnia 1946 r. | Nr 16-17 (73-74)

JÓZEF SIERADZKI

Rozmyślania o pokoju

Walter Lippmann (którego nazwisko spotykaliśmy bardzo często w prasie wydawanej przez Niemców i w wydawnictwach podziemnych) nazywa siebie realistą politycznym i jest nim bez wątpienia, choć tu i ówdzie zdradza narowy idealisty, pisząc np. o biegu historii, „że jest on procesem ciągłym, a młyn przeznaczenia miele bardzo powoli". Lecz wzniosłe i górne jego hiperbole, to raczej ornamentacyjne szczegóły, idealistyczna dekoracja na gmachu wzniesionym przez rozum i trzeźwość. Zresztą „Polityka zagraniczna Stanów Zjednoczonych" Lippmanna nie jest bynajmniej traktatem filozoficznym i „Tarcza republiki" ma ją zasłonić przed niebezpieczeństwami czysto politycznej natury. Lippmann jest w istocie dzieckiem amerykańskiego instrumentalizmu, który główny cel upatruje w pożytku.

W roku 1943, gdy wojna była jeszcze w toku, lecz wynik jej był już pewny i wymagał tylko konsekwentnego wykonania planów strategicznych, które prowadziły do rozgromu Niemiec i Japonii — Lippmann pisał:

„Nie waham się stwierdzić, że przedwstępnym warunkiem stworzenia ładu światowego jest sojusz „zawiązkowy" trzech wielkich mocarstw, które wyjdą zwycięsko z obecnej wojny".

Już wtedy dobrze poinformowany publicysta amerykański przechodził w myśli od toczącej się jeszcze wojny do kwestii powojennej przyszłości i dłuższe rozważania, prowadzone na zimno ze sobą samym i czytelnikiem w USA, zamykał konkluzją:

„By ustanowić i utrzymać ład międzynarodowy, **należy wzmocnić i utrwalić sojusz** „zawiązkowy" wielkich mocarstw".

Te lapidarne stwierdzenia wywołują rozpacz u politycznych „romantyków", biją młotem rozumu po głowie, dobijają bez litości resztki złudzeń:

„Powszechny ład międzynarodowy powstanie wtedy, gdy najpotężniejsze mocarstwa postanowią **zachować łączący je sojusz".**

Emigranci faktyczni i wewnętrzni w Polsce i w innych krajach, „łowcy mikrobów", chwalcy przeszłości i wrogowie nowego jutra posępnieją od słuchania takich słów. Rozumieją, że trzeba porzucić iluzje. Z mikrofonów i masztów stacyj radiowych Nowego Świata płynie eterem: „Point de rêveries!" W Ameryce nie ma miejsca na marzenia.

ICH WOJNA

Bo dlaczego USA wzięły udział w wojnie? Jak patrzą na te sprawy oczy Amerykanina?

„Doszedłem do wniosku, jeszcze przed przystąpieniem Stanów Zjednoczonych do wojny, że zwycięstwo Niemiec oznaczać będzie zwycięstwo pruskiej kasty militarnej, która pragnie zdobyć hegemonię na wschodzie, by móc organizować Wschód przeciw Zachodowi..."

Taka była przesłanka „racjonalnej polityki" Stanów Zjednoczonych wobec Niemiec. Nie jakieś motywy ideologiczne, lecz konkretne interesy, trzeźwa ocena układu sił i równie trzeźwa diagnoza.

„Istotnym i decydującym powodem wystąpienia Stanów Zjednoczonych była obawa, że przecięcie atlantyckich dróg komunikacyjnych spowoduje...". Wiadomo co spowoduje. Franklin Delano Roosevelt musiał zataić przed nie dość zorientowanym w kwestiach polityki światowej swoim społeczeństwem „powód prawdziwy i istotny, że bezpieczeństwo Stanów Zjednoczonych byłoby śmiertelnie zagrożone, gdyby zaborczy imperializm niemiecki zapanował na Atlantyku".

Wychowanek Harvardu nie widzi granic i hamulców dla polityki najczystszego interesu. Przemawia Waszyngton, a nie któraś z metropolij Europy. I bez dymnej zasłony lub ideowego kamuflażu:

„Nie dlatego Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny, by uczynić świat bezpiecznym dla demokracji". Nie dlatego! „Gdyby na przykład Rosja carska pobiła Niemcy, Stany Zjednoczone pozostałyby neutralne, gdyż zwycięstwo rosyjskie nie zagrażało naszym interesom na Atlantyku". To jest przykład historyczny Lippmanna, z okresu pierwszej wojny światowej. Ale jest i przykład nowszy: „Gdyby Niemcy znalazły się w defensywie wobec Francji i Anglii, albo gdyby ograniczyły wojnę do Bałkanów i do frontu wschodniego (gdzie wojna ta wybuchła) i opowiedziały się po stronie państw zachodnich, wtedy cieszyłyby się ich neutralnością a prawdopodobnie sympatią. Ale gdy Niemcy gwałcąc neutralność Belgii, najeżdżając Francję, atakując Anglię, niosą tę wojnę na wybrzeże Atlantyku, — neutralność staje się niemożliwa. Gdy zaś próbują przeciąć żywotne szlaki komunikacyjne naszego świata, nie możemy się temu nadal przyglądać bezczynnie".

Otrzeźwiający zastrzyk dla niepoprawnych romantyków, Sancho Pansów gotowych najwierniej służyć Don Kichotowi, którego nie ma. Don Kichot, którego sobie uroili, nie włoży na siebie rynsztunku, by ruszyć do walki o górne ideały, „by uczynić świat bezpiecznym dla demokracji". Ten slogan będzie wprawdzie używany — i nadużywany — ale pod warunkiem i tylko w wypadku, gdy interes USA tego zażąda. O Hitlerze i jego postępkach przeciw ludziom, moralności, wierze, tradycjom, narodom i państwom Europy Lippmann niewiele wspomina. Nie z tego wyszła krucjata przeciw Hitlerowi i udział w niej USA. Nie byłoby jej, gdyby Niemcy nie targnęli się na Anglię, Francję i Belgię, albo gdyby grzecznie „ograniczyli wojnę do Bałkanów i do frontu wschodniego". To znaczy i do Polski. „Gdzie wojna wybuchła!" Gdyby Niemcy były tak właśnie umiarkowane w swych dążeniach politycznych, „cieszyłyby się neutralnością Stanów Zjednoczonych a prawdopodobnie sympatią".

Gdyby Niemcy tak postępowali, panowaliby nad Słowianami nad Wisłą, Wełtawą, Drawą i Maricą. Gdyby zaś wtedy Polacy próbowali starym zwyczajem zerwać wędzidło, wyjaśnionoby im w stolicach zachodnich, że zakłócają pokój świata i nie mogą liczyć na poparcie. Znów, jak ongiś, minister zaborczego rządu uspokajałby zagranicę oświadczeniem, że „w Warszawie panuje porządek" i oświadczenie byłoby przyjęte do wiadomości.

„W roku 1863" — opowiada Walter Lippmann za harvardczykiem Rogerem Dow — „gdy Ameryka przeżywała najtrudniejszy okres wojny domowej, w Polsce wybuchło powstanie przeciw Rosji. Francja i Wielka Brytania skłaniały się do udzielenia pomocy zarówno Konfederacji, jak i powstaniu polskiemu. Mimo sympatyj ideologicznych, jakie Amerykanie żywili dla polskiego powstania narodowego, Lincoln i Seward odmówili interwencji dyplomatycznej przeciwko Rosji... Rząd rosyjski wysłał eskadrę floty bałtyckiej do Nowego Jorku i eskadrę floty Oceanu Spokojnego do San Francisco. Krok ten wywarł silne wrażenie w Paryżu i Londynie. Było to ostrzeżenie dla Francji i Anglii, by nie uznawały Konfederacji, ani nie popierały polskiego powstania".

Tak było.

DWA ŚWIATY

Naród musi zachować równowagę dążeń i sił. Mierzyć zamiary na środki. Zobowiązania uzależniać od zasobów. W przeciwnym wypadku nie ma mowy o jakiejkolwiek rozumnej polityce zagranicznej.

Zobowiązania nie mogą przekraczać sił. Ich „debet" i „habet" muszą być zrównoważone. Wedle reguł ścisłego rachunku, z wykluczeniem wszelkiej fantastyki i sentymentu. Maksymy Waltera Lippmanna wyrastają ze świata skomercjalizowanych pojęć, w którym obowiązuje nienaganna rachunkowość.

„Zawsze przychodzi do obrachunku i biada krajowi, którego polityka jest niewypłacalna".

To znaczy kiedy?

„Niewypłacalna" — poucza realista z Białego Domu — „jest polityka zagraniczna, gdy nie zapobiega wojnom, których można było uniknąć, gdy nie przygotowuje kraju do wojen, których nie da się uniknąć, gdy zgadza się na takie uregulowanie spraw międzynarodowych, które jest wstępem do nowego cyklu wojen, klęsk i bezwartościowych kłopotów".

Darujmy Lippmannowi porównania i przenośnie, gdyż przemawia do obywateli Ameryki. Ale przyłóżmy jego miarę do naszych dziejów w odległej, bliższej i najbliższej przeszłości. Ile razy urągały one nauce amerykańskiego statysty! Proklamowały z całą świadomością przeciwstawną ideologię nieokiełznanego woluntaryzmu. Biły głową o kamienne mury. Kamienie pozostawały niewzruszone, a głowy ociekały krwią.

Taki był nasz obrachunek.

NAD SZACHOWNICĄ

Trudno wiedzieć, co dziś myślą w Waszyngtonie, jakie są aktualne „ideały, interesy i dążenia" jego polityki zagranicznej. Można wiedzieć, co było wczoraj, gdy wojna przeciw Niemcom weszła w stadium finiszu a Japonia miała podzielić los swego sojusznika w trybie planowej i błyskawicznej akcji sprzymierzonych. W. Lippmann w niejednym wypowiedział to, co myślał i realizował jego znakomity mistrz, Franklin Roosevelt, który nie tylko umiał mądrze prowadzić swój naród do koniecznej dlań wojny i zwycięstwa, ale chciał zapewnić mu prawdziwy pokój.

W sferach waszyngtońskich zdawano sobie najdokładniej sprawę z tego, że w wyniku wojny i po zniszczeniu niemieckiej i japońskiej machiny wojennej „pozostaną na kuli ziemskiej tylko trzy potęgi militarne, Wielka Brytania, Rosja i Stany Zjednoczone". Współdziałanie tych potęg uważano „za podstawowy warunek zapewnienia każdej z nich minimum bezpieczeństwa". Wiedziano, że osiągnięcie gruntownego porozumienia jest zadaniem niełatwym, a do uzgodnienia interesów dochodzi się poprzez liczne i wielkie przeszkody.

Ale ta Ameryka, która szła po naukę do ojców republiki, Jeffersona, Monroego i Madisona, oceniała optymistycznie układ powojenny, widziała perspektywy współpracy zwycięskiej koalicji i po wojnie i stawiała tezę, że nad różnicami wezmą górę wspólne interesy.

Nie oznacza to jednak wcale, że „oświeceni nacjonaliści" amerykańscy grzeszą skromnością i celują w cnocie umiarkowania. Wcale nie!

Czegoż bowiem pragną dla Stanów Zjednoczonych, jakich domagają się warunków ich bezpieczeństwa i skutecznej obrony?

„Linia strategiczna obrony amerykańskiej... sięga poprzez oba oceany ku wszystkim zamorskim kontynentom, z których może nastąpić atak lotniczy lub morski na Stany Zjednoczone. Bezpieczeństwo Ameryki zawsze zależało od sytuacji na wybrzeżach **Europy, Afryki i Azji...** Z chwilą zaś powstania lotnictwa linia naszego bezpieczeństwa **przesunęła się w głąb tych kontynentów** i sięga tam, gdzie znajdują się lotniska, z których wystartować mogą samoloty do ataku na Amerykę".

Elementarna znajomość mapy wystarczy, by zdać sobie sprawę, że zasięg tej strategicznej linii jest daleki.

Z militarnych potęg, które są zdolne wystawić i wyposażyć w sprzęt wielkie armie i zagrozić Stanom Zjednoczonym, wchodzą w rachubę dwie: Wielka Brytania i ZSRR. Możliwość konfliktu USA z Wielką Brytanią praktycznie się nie liczy. Wspólnota interesów amerykańsko-angielskich na Atlantyku, acz bez pisanej umowy, sięga czasów prezydentury Monroego i była podstawą jego doktryny. To co przetrwało próbę stu lat, jest i nadal konieczne nie tylko jak dawniej dla obrony

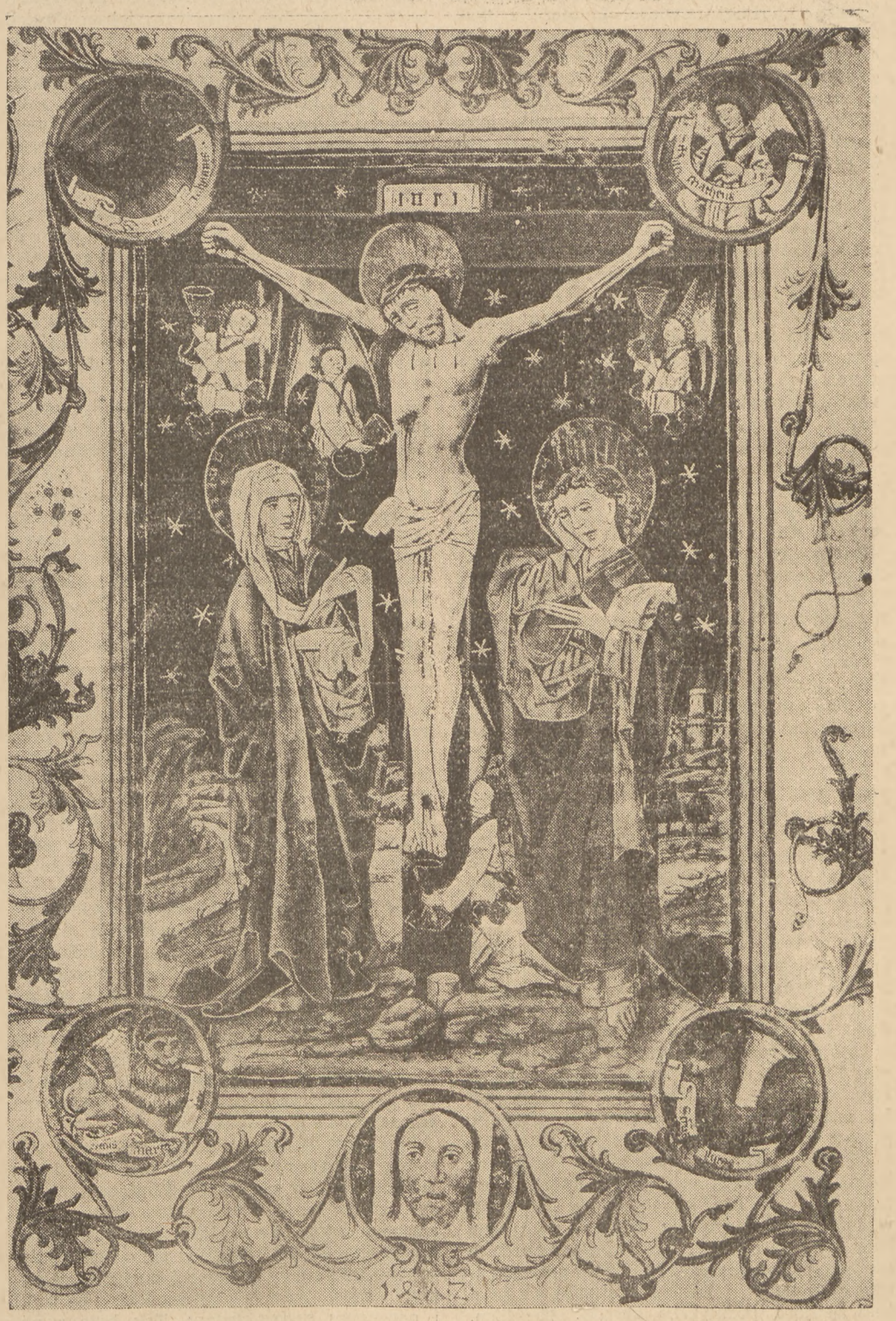

„Ukrzyżowanie" w mszale z r. 1472 w Bibliotece Uniwersytetu Wrocławskiego (I F 361) stanowi typowy przykład późnogotyckiego, śląskiego malarstwa miniaturowego.

Atlantyku, lecz i dla obrony Pacyfiku. Tak W. Lippmann tłumaczy rzeszom amerykańskim, łagodząc „nieprzyjemne wspomnienia", „mniej ważne konflikty i sprzeczności" i „drugorzędne spory". „Ci, co znaczenie tych sprzeczności wyolbrzymiają, dają dowód braku poczucia odpowiedzialności i poświęcają wielkie rzeczy dla małych".

Nie bądźmy więc małoduszni i przyjmijmy tym razem, że między USA i British Common Wealth — nic innego tylko sojusz. „Mając za sobą potęgę Wielkiej Brytanii i połączone siły naszych flot, nie musimy się niczego na świecie obawiać". Tak pisał Madison do Monroego; a Lippmann wznawia złote myśli republikańskiej patrystyki, testamentu politycznego wielkich następców Jerzego Washingtona. Pozostaje ZSRR, Rosja, z którą stosunki weszły w nowe stadium. „Przestaną one w przyszłości układać się według starej reguły, że oba państwa (tj. USA i Rosja) są potencjonalnymi sojusznikami na tyłach swych potencjonalnych wrogów". Wprawdzie na owych wrogów trzeba jeszcze wspólnie uważać, nie spuszczać oka z Niemiec ani z Japonii. Jednak „wytworzy się sytuacja wręcz przeciwna, Rosja stanie się najpotężniejszym mocarstwem na tyłach naszych nieodzownych przyjaciół, brytyjskich, skandynawskich, holenderskich, belgijskich i łacińskich członków Wspólnoty Atlantyckiej. Rosja będzie naszym najbliższym sąsiadem od strony północnego Pacyfiku, a dzięki rozwojowi lotnictwa — także i od strony obszarów podbiegunowych. W Azji zaś będzie najbliższym sąsiadem Chin".

NIEPOKÓJ IDZIE OD PACYFIKU

Więc?

„Czy istnieje między nami taka sprzeczność interesów, która doprowadzi do antagonizmu?"

Pozwólmy Lippmannowi przedstawić wniosek z rozważań na ten pasjonujący temat:

„Jedno jest pewne: nie ma żadnych sporów granicznych. Rosja nie pożąda terytoriów amerykańskich, Ameryka nigdy nie rościła sobie żadnych pretensyj do jakiegokolwiek skrawka ziemi rosyjskiej". Jest jeden punkt, jedyne miejsce, gdzie lód, po którym trzeba stąpać, jest cienki:

— Chiny.

Czwarte mocarstwo jutra, dziś wychowanek możnego protektora. „Gdyby Rosja" — mówi protektor — „próbowała ekspansji na terenie Chin, doprowadziłoby to do zerwania stosunków rosyjsko-amerykańskich".

Wyznanie jest szczere. Tam, na azjatyckim wschodzie istnieje możliwość rozejścia się. A w Europie? Na obszarze, „który rozciąga się od Finlandii po Turcję, i obejmuje Szwecję, Polskę, kraje naddunajskie, kraje bałkańskie i Niemcy"?

„Nie ma mowy, by Stany Zjednoczone mogły siłą narzucić i utrzymać na tym obszarze ład według własnego uznania, a co za tym idzie nie będzie również tego mogła uczynić Wielka Brytania. Jesteśmy potęgą morską i lotniczą, nie zaś lądową. **Sprawy Europy środkowej i wschodniej interesują nas tylko pośrednio...**" Nie może tu być ani bariery, ani cordon sanitaire. Obszar ten leży poza zasięgiem potęgi militarnej USA, **„a co za tym idzie"** Wielkiej Brytanii. „Zachęcać narody Europy środkowej i wschodniej, by zorganizowały się jako bariera przeciw Rosji, to zaciągać zobowiązania, których Stany Zjednoczone nie mogłyby dotrzymać..., to przyrzekać pomoc, której nigdy nie zdołamy dostarczyć, to nakłaniać je do akcji, której nie będziemy mogli poprzeć, to wystawiać je na niebezpieczeństwo, przed którym nie potrafimy ich w żaden sposób uchronić".

Warto by ten nasz wywiad z tak bardzo miarodajnym publicystą Białego Domu rozrzucić po Polsce w setkach tysięcy ulotek. Wuj Sam mówi, że nie wystawi weksla bez pokrycia. Byłoby to bowiem złamaniem zasady równowagi między zasobami i celami. Fałszem w bilansie. Byłoby zniweczeniem kanonu politycznego „oświeconych nacjonalistów", którzy za nic nie rozstaną się z ołówkiem i księgowością politycznych realistów. Byłoby podważeniem aksjomatu polityki amerykańskiej.

RODZINA NAD WIELKIM STAWEM

Walter Lippmann jest gorącym zwolennikiem sojuszu trzech mocarstw, który stanowić może jedyną skuteczną gwarancję porządku i pokoju w świecie. Nie zbiorowe bezpieczeństwo bez sojuszów, jak chciał Woodrow Wilson, lecz **przez** ten potrójny sojusz. I w tym ma rację. Ale zwolennik zasady sojuszów idzie dalej, wstępując na niebezpieczne ścieżki.

Można by jego konstrukcję przedstawić jako gmach o wielu kondygnacjach. Najwyższe piętro — to ład międzynarodowy i pokój na ziemi. Powiedzmy inaczej: Organizacja Narodów Zjednoczonych. Poniżej sojusz trzech mocarstw. Pod nim Wspólnota Atlantycka. Kolejno sojusz Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii. Fundamentem zaś gmachu — USA, jako hegemon obu Ameryk.

A czym jest Wspólnota Atlantyku? Zespołem narodów nad atlantyckim jeziorem. Dwadzieścia republik amerykańskich, sześć państw brytyjskich, Francja, Hiszpania i Portugalia, Holandia, Belgia i Dania, jeszcze Norwegia, także Szwecja, choć się jej nie wymienia wyraźnie. Taki jest zasięg na zachodzie i północy Europy. Na jej zaś południu na pewno Turcja. Nie łatwo ją wprawdzie zaliczyć do wspólnoty łacińskiej, lecz konieczna jest w bloku politycznym.

„Zbliżenie to" — usiłuje Lippmann z góry uchylić zarzut — „powstało nie w tym celu, by światu narzucić hegemonię anglo-saską". Sam domysł taki byłby nieprzyzwoity. „Geograficznym ośrodkiem tej wspólnoty jest wielka kotlina atlantycka". Ale docierając do jądra rzeczy, jest to „wspólnota" jaskrawo polityczna, z ośrodkiem w Stanach Zjednoczonych a bastionami na fiordach skandynawskich i w zatoce Złotego Rogu. Trzonem wspólnoty ma być sojusz Waszyngton—Londyn. „Mając za sobą połączone siły naszych flot, nie musimy się niczego obawiać". „Nur Gott" — wraca z daleka znane echo. Świat słyszał już takie słowa i przeszedł potem przez wiele cierpień.

Czyż wobec tego można powiedzieć, że miarodajna publicystyka amerykańska jest wolna od imperializmu i agresywnych zapędów? Czy nie narzuca się myśl, że Walter Lippmann gotów jest popełnić błąd wytykany przezeń ludziom poprzednich pokoleń, „że nie dość byli przewidujący i z tej przyczyny nastąpił cykl wojen XX wieku". Skomercjalizowana teoria polityki nie chroni przed śmiertelnym grzechem zaborczości. Skupianie sił dla uzyskania przewagi, formowanie regionalnych bloków może, zamiast przynieść światu stabilizację, wytrącić go z równowagi. Realizm w ocenie zasobów i zadań winien prócz liczb i miar mieć na uwadze narody. Nie dadzą się one wtłoczyć w szeregi liczb i nie chcą stanąć nieruchomo w rządkach cyfr najstaranniej sporządzonego bilansu. Narody mają zwyczaj rozsadzać znaki cyfrowe i łamać najkunsztowniej obmyślone szranki.

WSZYSCY CHCĄ POKOJU

Lecz nie ciesz się niewczesnym pomysłem atlantyckiej wspólnoty, zbałamucony obywatelu. Lippmann jest mimo wszystko szczerym wyznawcą Wielkiej Trójki; zaleca żarliwie zachowanie „zawiązkowego" sojuszu wielkich mocarstw i przeistoczenie go w trwały system polityczny. Istotnie jest to jedyny sposób zbawienia dla współczesnego świata, musi się jednak obyć bez podmurówek i przybudówek w rodzaju „wspólnoty atlantyckiej".

Bo jeżeli sojusz ten nie dojdzie do skutku, to jakie wynikną następstwa?

„Gdy nastąpi rozkład zwycięskiej koalicji, wówczas każdy z aliantów zacznie na własną rękę szukać sprzymierzeńców wśród niedawnych wrogów. Zwycięzcy zaczną się ubiegać o względy pobitych nieprzyjaciół i popierać odbudowę ich dawnej potęgi. Okaże się, że skłóceni zwycięzcy nie potrafią dopilnować rozbrojenia pokonanych wrogów, a czując się znowu zagrożeni, szukać będą zabezpieczenia w sojuszu z uzbrojonymi na nowo przeciwnikami". Tak ostrzega były współpracownik Roosevelta.

Byłby to wstęp „do nowego cyklu wojen, klęsk i bezwartościowych traktatów", po którym przyszłyby dalsze, tragiczne ogniwa krwawej serii. Zapytajmy prostego człowieka na czarnym globie czy jej sobie życzy.

W świecie współczesnym jest miejsce dla rozumnej myśli i w narodach i u ich kierowników. Jeden z najbardziej miarodajnych organów angielskiej Partii Pracy pisał niedawno, ganiąc surowo „defetyzm Mr. Churchilla" i jego projekty fultońskie:

„Polegać na antysowieckim sojuszu wojskowym i monopolu bomby atomowej — to ulegać podszeptom rozpaczy". „Właściwsza droga rządu brytyjskiego prowadzi przez pracę nad osiągnięciem prawdziwego współdziałania Wielkiej Trójki."

Organ partii rządzącej, która wzięła szturmem ogromną większość obywateli angielskich, wyznaje i popularyzuje zasadę:

„Nie ma przyszłości dla Wielkiej Brytanii i dla świata, jeżeli nie da się osiągnąć porozumienia ze Związkiem Radzieckim" („The New Statesman and Nation", nr 785).

Głos ten jest bardzo niedawny: z dnia 9 marca 1946 roku.

Józef Sieradzki

JAN ALFRED SZCZEPAŃSKI

Od Teodora do Franklina Roosevelta

Cechą umysłu anglosaskiego jest jasność i rzeczowość. Walter Lippmann umiał rozważania na temat polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych zamknąć w prostym, przejrzystym, najzupełniej pozbawionym frazesów, krótkim wykładzie, a fakt, że książkę wydaną w pośrodku wojny czyta się, jakby była napisana dziś, po wojnie, jest najlepszą legitymacją ogólnej trafności rozumowań autora i najlepszym miernikiem stopnia wtajemniczenia, jaki reprezentuje. Co prawda, Lippmann jest publicystą najpierwszego rzędu, mającym dostęp do wielu spraw, dla mniej miarodajnych osobistości niedostępnych.

Wyrósł — jak większość publicystów politycznych i gospodarczych — z kontaktów z Thomasem Lamontem, jednym z najbardziej wpływowych przedstawicieli grupy bankowej Morgana, później nawiązał łączność z trustem mózgów i Feliksem Frankfurterem, czasu wojny zaczął uchodzić za wyraziciela poglądów prezydenta Roosevelta. Tym większego znaczenia nabiera jego książka. Biorę pod uwagę w związku z nią zagadnienie ekspansji Stanów Zjednoczonych dlatego, że w problemacie tym zaznacza się najwyraźniej antynomia polityki i sytuacji międzynarodowej Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, która rykoszetem odbija się na sytuacji całego świata i w tym sensie ma również bezpośrednie znaczenie dla ludności nad Wisłą i Odrą.

Lippmann nie bawi się w rozważania abstrakcyjne i właściwie ogranicza się do jednego zasadniczego sformułowania: „Polityka zagraniczna polega na równoważeniu zobowiązań i sił państwa"; — jest to „podstawowa zasada polityki zagranicznej", której złamanie prowadzi ku nieuchronnej katastrofie.

Momentem rozstrzygającym dla wyrosłych z angielskiej kolonii Stanów Zjednoczonych był w ujęciu Lippmanna od początku aż do wczoraj stosunek do państwa macierzystego. Umocniwszy do 1812 r. swą niepodległość, Stany Zjednoczone przez proklamowanie doktryny Monroego w 1823 r. i uzyskanie dla niej pełnego poparcia ciągle wówczas przodującego państwa wielkobrytyjskiego znalazły się w wyjątkowej i idealnej wprost sytuacji międzynarodowej, w której aż do końca XIX w. mogły w ogóle zapomnieć, że istnieje polityka zagraniczna. W okresie tym nastąpiła całkowita przebudowa ekonomiczna i polityczna podstaw nowego państwa. Na wewnątrz: w imponującej rozbudowie gospodarczej narodziła się potęga dolara — na zewnątrz: drogą rozszerzania granic przez akty kupna-sprzedaży dokonała się rozbudowa terytorialna Stanów Zjednoczonych od pierwotnych 13 kolonii do imperium pomiędzy dwoma oceanami.

Już w 1803 r. zakupiły Stany Zjednoczone od Napoleona olbrzymi obszar Luizjany; w 1819 traktatem z Hiszpanią otrzymały resztę terytoriów położonych na wschód od Missisipi i Oregonu; w 1846 przyłączyły Texas; w 1848 po wojnie z Meksykiem zagarnęły również Utah, Nevadę i Arizonę i dotarły do Pacyfiku, włączając do państwa Kalifornię; pięć lat później traktatem w Gadsten zakupiły pewne terytoria w południowej Arizonie i Nowym Meksyku, uzyskując dzisiejszy kształt kontynentalnych granic państwa; do tego dodać należy kupno Alaski od Rosji w 1867 r. Równocześnie sytuacja polityczna była tego rodzaju, iż, jak zwięźle formułuje Lippmann, „społeczeństwo żyło w poczuciu urojonej izolacji", z którego wyłoniła się jako obowiązująca praktyczna zasada: pacyfizm.

Ale w tym statycznym pozornie okresie dojrzewały nowe siły i zbliżała się epoka nowych rozstrzygnięć. Z pierwotnego, na wpół egzotycznego kraju wyrosło państwo o wyjątkowej potędze wielkiego kapitału, który też ujął w swe ręce faktyczny ster rządów. Za datę zwrotną (idąc w tym względzie za A. T. Mahanem, autorem, który swą teorią o rozstrzygającym w historii znaczeniu potęg morskich wpłynął zarówno na prezydenta Teodora Roosevelta jak na cesarza Wilhelma II i admirała Togo) — przyjmuje Lippmann rok wojny z Hiszpanią o Kubę na Atlantyku i skok przez Pacyfik na Filipiny. Niezmierzone przestrzenie świata odsłaniały horyzont za horyzontem. Był to rok 1898.

Zapamiętajmy sobie tę datę. Należy ona bowiem do najważniejszych w nowożytnej historii ludzkości. Znaczenie jej zrozumieli Amerykanie i niektórzy z nich podkreślili ją nawet wyraźniej niż to czyni Lippmann (np. Neering-Freeman, 1927). Również pełne oświetlenie znalazła ona w Europie. Znaczenie jej doceniał przede wszystkim Lenin. Egon Friedell pisał w swej „Kulturgeschichte der Neuzeit" (1929): „Decyzja Stanów Zjednoczonych sięgnięcia po Filipiny była podobnie dziejowym rozstrzygnięciem, jak w 264 r. przed Chr. postanowienie „Stanów Zjednoczonych Środkowej Italii" wtargnięcia na Sycylię. Czy dalszy rozwój wypadków przebiegnie do tego stopnia podobnie, iż zakończy się amerykańskim panowaniem nad światem, trudno dziś przewidzieć; wielkie i długotrwałe konflikty w rodzaju wojen punickich w każdym razie nie będą do uniknięcia".

Lippmann nie ma nic wspólnego z marksizmem, ale niewątpliwie zna studium Jamesa Montgomery Becka, który jeszcze przed Friedellem powiedział: „Ślepym jest kto nie widzi, że Ameryka — jeżeli nie już teraz, to w każdym razie wkrótce będzie najpotężniejszym państwem świata i zajmie stanowisko podobne temu, jakie miało państwo rzymskie na początku ery chrześcijańskiej". Problem zarysował się wyraźnie, a na imię mu — imperializm.

Przed tym sformułowaniem cofa się Lippmann. Słowo „imperializm" ani razu nie pojawia się na kartach jego książki, jak gdyby sformułowanie „epoka imperializmu" nie dotyczyło mieszkańców Nowego Świata. Tymczasem istotą przemian światowych z ośrodkiem dyspozycyjnym w Waszyngtonie stał się imperializm amerykański, mający co prawda swoje odchylenia, ale w gruncie rzeczy identyczny z imperializmem innych potęg światowych. Niedocenienie tego jest najważniejszym brakiem rozważań Lippmanna.

Ale i z tym imperializmem sprawa nie jest prosta, i tu dopiero zaczynają się powikłania. Lippmann pisze: „Od dnia, gdy admirał Devey wpłynął do Zatoki Manilskiej, do dnia kapitulacji gen. Wainwrighta w Corregidorze, Stany Zjednoczone nie uczyniły najmniejszego nawet wysiłku, by utrzymać w równowadze swe siły i swe zobowiązania". Dlaczego? Kapitalizm amerykański wszedł na tory imperializmu szybciej niż weszło nań amerykańskie społeczeństwo.

Prezydent Teodor Roosevelt realizował swe zamiary konsekwentnie, ale ostrożnie i nie wtajemniczał w nie opinii. Lippmann złyma się nań za to. Tymczasem ten ojciec nowoczesnego imperializmu USA nie mógł postępować inaczej, bo naraziłby się od razu konserwatywnemu (o ile chodzi o ekspansję zagraniczną i o ocenę międzynarodowej sytuacji) i opornemu społeczeństwu. Tak było z początku, ale ponieważ nikt nie podawał w wątpliwość samego pochodu Stanów Zjednoczonych ku azjatyckim brzegom Pacyfiku — naród amerykański stopniowo musiał wyciągać nie zawsze miłe nauki z decyzji roku 1898. Dla Lippmanna i ludzi jemu podobnych konieczność obrony Alaski, Hawajów czy Filipin stała się kanonem polityki amerykańskiej.

Nie używając niemiłego słowa, uważa Lippmann za całkowicie słuszny „nieprzyjemny fakt, że zobowiązania nasze są niesłychanie rozległe". Stwierdzając podobną sytuację Imperium Brytyjskiego, sir Bertrand Russell, reprezentant schyłkowej Anglii, odpowiada: opuśćmy Indie, wyrzeknijmy się kolonii, przeprowadźmy pełne rozbrojenie, a zobowiązania nasze natychmiast się skurczą i będziemy doskonale szczęśliwi. Amerykanin nie wpadłby na taki pomysł. Przeciwnie: „Linia strategicznej obrony amerykańskiej sięga poprzez oba oceany ku wszystkim zamorskim kontynentom, z których może nastąpić atak lotniczy lub morski na Stany Zjednoczone. Bezpieczeństwo Ameryki zawsze zależało od sytuacji na wybrzeżach Europy, Afryki i Azji. Z chwilą zaś powstania lotnictwa, linia naszego bezpieczeństwa przesunęła się w głąb tych kontynentów i sięga tam, gdzie znajdują się lotniska, z których wystartować mogą samoloty do ataku na Amerykę"

Źródło konfliktów staje się tym widoczniejsze, gdy bomba atomowa sprowadza tę geograficzną teorię do absurdu. Wprzągnięty w rydwan polityki Franklina Roosevelta, Lippmann gniewnie poucza Amerykanów, jak bardzo się mylili, hamując starego Roosevelta w jego zapędach. Politykę amerykańską tego wczorajszego okresu nazywa Lippmann kolejno „nieudolną", „przerażająco lekkomyślną", „bezsilną" i wreszcie „na krawędzi absurdu i bankructwa". Jeszcze w 1939 r. społeczeństwo amerykańskie obracało się w „błędnym kole pacyfizmu": pokój był dla Stanów Zjednoczonych ostatecznym celem, „a doczekaliśmy się najbardziej niszczycielskiej z wojen". Inny byłby przebieg wypadków, sugeruje Lippmann, gdyby Stany Zjednoczone były przygotowane. Mimowoli nasuwa się pamięci rzymska formuła, ów szyld zaborczości: **si vis pacem, para bellum.**

Ten argument tylko podtrzymywał społeczeństwo w oporze. Lippmann sam przytacza zdanie opinii amerykańskiej, że Franklin Roosevelt prowadził „raczej politykę rooseveltowską niż amerykańską", dobrze też pamiętamy opór, jaki mu stawiali izolacjoniści. Na to były sposoby. Jednym z nich, również typowo rzymskie powoływanie się na Ojców i Twórców (z dużych liter) Republiki, których słowa i czyny równie nie podlegają dyskusji jak wzory Scewolów i Cyncynatów. Toteż stopniowo szanowni Ojcowie patronowali coraz nowym aktom wielostronnej ekspansji: 1898 — aneksja Hawajów; 1901 — Platt-Amendment (ograniczenie suwerenności Kuby); 1903 — rewolucja w Kolumbii (utworzenie Republiki Panamskiej); — 1905 — rewolucja na San Domingo (2 wydanie 1916); 1909 — rewolucja w Nikaragua (interesy firmy Brown et Co.); 1911 — rewolucja w Honduras (interesy National City Banc); 1911 — rewolucja w Meksyku (interesy Standard Oil); 1914 — nowa rewolucja w Meksyku (3 wydanie 1917); 1915 — rewolucja na Haiti (National City Banc); 1926 — nowa rewolucja w Nikaragua; 1941 — rewolucja w Panamie; 1942 — rewolucja w Urugwaju.

Tak było w Ameryce, ale tymczasem równolegle z rozrostem Stanów Zjednoczonych

nastąpił w Europie rozrost Niemiec a w Azji rozrost Japonii. Cóż więc dziwnego, że te państwa stanęły sobie na drodze? Trzeźwość polityczna Stanów Zjednoczonych, przy równoczesnym braku trzeźwości obu przeciwników, ułatwiła zadanie pokonania Niemiec i Japonii. Gdy w Stanach Zjednoczonych stopniowo brały górę poglądy, iż izolacja jest rzeczą najgorszą i ustalała się praktyczna zasada współpracy z innymi państwami — wielokrotnie ostrzegany Wilhelm II, a później Hitler, brnęli w bezgraniczną megalomanię i mistycyzm i — podobnie jak Japończycy, upojeni „testamentem Araki", wyznaczającym im rzekomo jedynowładztwo, na początek przynajmniej w Azji — przeceniali własne siły a nie doceniali cudzych.

Niemcy i Japonia zostały rozgromione i z rozgrywek o charakterze światowym wyeliminowane na szereg pokoleń. Pozostaje Związek Radziecki i Wielka Brytania. Lippmann przeocza całkowicie rozbieżności pomiędzy obu państwami anglosaskimi i musi być uważany za zwolennika **Union now**, choć tego nie mówi wyraźnie. Cytuje jednak z satysfakcją termin użyty przez Jeffersona „Zjednoczone Narody Wielkiej Brytanii i Ameryki" i uważa przyjaźń z Wielką Brytanią za nienaruszalny dogmat amerykańskiej polityki.

Te tendencje od dłuższego czasu miały swoich zwolenników. Czyż już Cecil Rhodes w 1890 r. nie mówił: „Jakże wzniosła jest myśl, że pokój światowy byłby zapewniony na wieczne czasy, gdybyśmy nie utracili Ameryki lub gdybyśmy mogli dojść do porozumienia pomiędzy Kongresem a Izbą Gmin?!" Podobnie sądził Joe Chamberlain: „Nie pozwalam się uważać w Stanach Zjednoczonych za obcokrajowca. Nasza przeszłość jest ich przeszłością, ich przyszłość naszą. Silniej zespolone z sobą brytyjskie państwo światowe i Stany Zjednoczone powinny wspólnie zabezpieczać pokój świata, obciążone wielką odpowiedzialnością udostępnienia cywilizacji bardziej zacofanym ludom". Podobnie wyrażił się ostatnio wiele razy Churchill.

Typowe dla Anglosasów połączenie idealizmu z praktycznością rozpina coraz to nowy most pomiędzy Londynem a Waszyngtonem. Frazesy o różnych „misjach" upiększają niewątpliwie myśl o wspólnocie imperialnej, od której tylko krok do „wspólnoty atlantyckiej", propagowanej przez Lippmanna. Że wspólnota ta, według koncepcji amerykańskiej, równałaby się zupełnemu podporządkowaniu Anglików, to inna sprawa; a czy Anglia jest już dojrzała do tak zupełnej kapitulacji, to też inna sprawa. Nam chodzi w tej chwili o inne pytanie: czy z tego wynika, że jednak Friedell ma rację? że jednak stoją naprzeciw siebie (pomijając pokonanych): po jednej stronie młode imperium yankesów i stare imperium ich kuzynów, dojrzewające do podporządkowania się i do tej drugorzędnej roli gorliwie namawiane, a po drugiej reszta świata, przede wszystkim Związek Radziecki? Że więc istotnie grozi owa „trzecia wojna", jeśli nie dziś to jutro?

Analogie są śliskie. Na jedno imperium światowe miejsca dziś nie ma. Zdaje się to rozumieć Lippmann, pisząc: „Jeżeli pragniemy zapewnić współczesnemu światu pokój, musi to być pokój pomiędzy suwerennymi państwami narodowymi". I jeszcze wyraźniej: „Pax romana jest dziś zupełną niemożliwością". Nie zapominajmy zresztą, że pax romana bynajmniej nie był pokojem światowym. Rzym nie sięgnął w głąb Azji, niezależnie odeń rozwijał się świat chińsko-japoński, zupełnie niezależnie świat państw indiańskiej w Ameryce, ba, Rzym nie zdołał, mimo wielokrotnych prób, pokonać świata irańskiego, państwa Partów czy Persów.

Lippmann powiada, że Rosja i Stany Zjednoczone miały stale odmienne ustroje i podejrzewały się nawzajem; „jednakże Rosja zawsze pragnęła silnej Ameryki, a Ameryka silnej Rosji. Nigdy nie doszło między nimi do starcia, oba państwa uważały się zawsze za potencjalnych sojuszników na tyłach swych potencjalnych wrogów". Toteż Lippmann potępia różne akcje antyradzieckie, m. in. Monachium 1938, którego istotą — jak trafnie wyjaśnia — była jeszcze jedna próba odepchnięcia ZSRR od Europy; złowrogie skutki tej błędnej polityki dały się zauważyć już w rok później.

Ale tak było w przeszłości, gdy istnieli owi wspólni wrogowie. Dziś jednak, gdy ich nie ma? Lippmann pisze: „Wojna i pokój zależą od tego, jak się rozwiąże problem państw położonych pomiędzy wspólnotą atlantycką a wspólnotą radziecką". Lecz sprawa jest jasna: obszar ów leży poza zasięgiem militarnym Stanów Zjednoczonych i interesuje Anglosasów „tylko pośrednio"; nie ma więc mowy o próbach tworzenia tam jakiegokolwiek porządku przeciw ZSRR.

Lippmann pisze w konkretnej sytuacji politycznej i dla określonego celu. Jest nim wyjaśnienie społeczeństwu amerykańskiemu konieczności prowadzenia polityki światowej, uzasadnienie amerykańskiego imperializmu. Osłon dymnych nie żałuje, nadbudowa ideologiczna funkcjonuje nienagannie. Sprawa jest w istocie prosta: pojęcie rozsądku i zdrowego sensu, a przede wszystkim poczucie miary mają udowodnić potrzebę samoograniczenia się w celach i zadaniach, gotowość do międzynarodowej współpracy i międzynarodowych koncyliacyj.

6 kwietnia 1946 r. mówił prezydent Truman w Chicago, dawnej twierdzy izolacjonizmu: celem amerykańskiej polityki zagranicznej jest pokój światowy i sprawiedliwość dla wszystkich narodów, a drogą do ich osiągnięcia współpraca z ONZ. Oto etap, odpowiadający konstrukcji Lippmanna. Ale z nieubłaganą konsekwencją wyrasta z nich etap następny: Stany Zjednoczone mają dziś „stanowisko kierownicze" w rodzinie narodów i dlatego muszą być silne (domyślne: silniejsze niż inne państwa). Wielkosłowie, nie innej jednak treści niż suche wnioski Lippmanna. Mechanizm rozwoju kapitalistycznego sprawia, że okres oznaczony nazwiskami dwóch Rooseveltów, którego komentatorem i apologetą stał się Lippmann, ustępuje okresowi „przewodnictwa", choć głoszonego na zewnątrz jako prymat wśród równych.

Trzeźwy interes polityczny i gospodarczy, podbudowany idealizmem na użytek mas wyborczych, sprawia, że Ameryka raz po raz powtarza gotowość współpracowania z ONZ, szanowania interesów innych mocarstw, udzielania szeroko zakrojonej pomocy gospodarczej, popierania na dłuższą metę Chin czy Francji. Rozwój wypadków przewidzieć łatwo. Toteż nie od wielkiego kapitału oczekuje ludzkość zasadniczego rozwiązania wzrastających czy malejących sprzeczności. Nie znaczy to, rzecz prosta, by Lippmannowi lub Byrnesowi nie należało w ogóle ufać. Są oni zapewne tak samo szczerzy, jak szczera jest nienawiść człowieka amerykańskiego do wojny i jego wola trwałego pokoju. Ale subiektywna szczerość nie ma w tym wypadku żadnego znaczenia. Może warto jednak dodać: Ameryka jest geograficznie i politycznie częścią świata, ale tylko częścią i mimo kultu rekordów i niebotyków naród amerykański rozumie to doskonale.

Jan Alfred Szczepański

JULIAN PRZYBOŚ

WIERSZ — PŁACZ

Pierwsze słowa nawet największych poetów nigdy nie są znamienne, bo jeszcze nie są to ich słowa; nawet najwięksi zaczynali od naśladowania poprzedników Lecz w twórczości każdego poety — wiersze ostatnie mają szczególną wymowę. Zapamiętuje się i podaje potomnym ostatni szept odchodzących, jakieś „Mehr Licht" lub „Powiedz im, żeby się kochali" — ale nie zawsze się dostrzega, że ostatnie utwory poetów bywają obciążone znaczeniem, które tłumaczy utajoną tendencję całej twórczości i całego życia. Wiersze poetów, których starość była twórcza, lub którzy zamilkli w pełni sił twórczych, te wiersze skupiają najdłuższe doświadczenie — mówią nieraz więcej o człowieku i artyście, niż wybuchy żywiołowej młodości. I bywa, że ostatnie wiersze, wiersze starców — przekraczają granicę osiągniętego w ciągu żywota kanonu artystycznego: odkrywają nowe piękno.

Takie są ostatnie wiersze Victora Hugo, autora, którego od pół wieku żaden szanujący się poeta francuski nie obrał za patrona. Wielki tromtadrata, zrymowawszy w pracowitym życiu wiele tysięcy wierszy, wpisał się na koniec w poezję, przeszedł samego siebie i ze swojej retorycznej sztuki poetyckiej wyzwolił wiersz żywy i prekursorski. Dostrzegli to co prawda tylko nieliczni znawcy i smakosze sztuki rymotwórczej, zauważył to Valéry. Niezwykle charakterystyczna jest też starcza liryka Goethego. Zwięzła jak przysłowia i jak przysłowia zawierająca wzniosłe komunały.

A ostatnie wiersze Mickiewicza?

Mickiewicz zamilkł jako poeta w pełni mocy twórczej, osiągnąwszy szczyt swojej sztuki. Przestał pisać nie z braku natchnienia i nie niemoc twórcza obezwładniła mu pióro. Porywającego prelegenta w Collège de France, żarliwego trybuna ludów i organizatora Legionu włoskiego, człowieka, który czuł się wieszczem jasnowidzącym przyszłość — natchnienie nie opuściło, tylko że Mickiewicz nie chciał korzystać z takiego natchnienia, jakie go nawiedzało w wieku klęski. Doznawszy w Dreźnie najwyższego porywu, uczuwszy tę olbrzymią banię z poezją, która rozbiwszy się nad jego głową dała mu moc do napisania „Dziadów III części" i „Pana Tadeusza" (bo „Pan Tadeusz" został napisany jakby na marginesie dalszych części „Dziadów", których „oderwane kawałki mimojazdem pisał") — oczekiwał drugiego takiego najwyższego lotu. Gardził małymi natchnieniami i zwykłą pracą literacką, oczekiwał cudu. Gdy cud nadludzkiego natchnienia nie spływał, starał się nową banię z poezją sprowadzić na ziemię codziennym wysileniem mistycznym, owym „harowaniem" towiańczyka. Bo czyż nie taki był sens towianizmu, praktykowanego przez największego poetę?

Lecz nie rozbiła się już bania z poezją nad skołataną głową poety, niewola mistyczna osłabiła w nim siłę twórczą, zrujnowała zdrowie. Wprawdzie niezmożona jego żywotność nie wcielona w poezję wyładowała się w działaniu rewolucyjnym, ale czas pisania — skarżył się — minął dlań niepowrotnie. I pomyśleć: nie złamała tego człowieka klęska narodowa. Z niej przecież, z dna rozpaczy wzniósł największe swoje zwycięstwo poetyckie. „Dziadów część III" była odpowiedzią na klęskę pod Ostrołęką, na kapitulację Warszawy, była zwycięstwem nad zaborcami tak trwałym, że karmiliśmy się mickiewiczowską siłą i my w ostatniej wojnie, w sto lat od wybuchu tej mocy. Tak, poezja wygrała swoją walkę napowietrzną, wszystkich nieszczęśliwych wodzów wojskowych zastąpił w tej stuletniej wojnie poeta.

Zwyciężył poeta, lecz przegrał człowiek i zamilkł twórca. Słowo „klęska" padło z ust poety w czterdziestym roku życia, w czasie ostatniego już przypływu poezji w cichej Lozannie.

Nie znam wiersza bardziej jednolitego, liryki, w której przeżycie związało się więźbą słów tak ściśle i lapidarnie, jak „Polały się łzy..." Poeta płacze nad całym swoim życiem, ale rozpamiętuje je i nazywa w obliczu klęski wieku męskiego. Właściwie — jest tylko jeszcze jeden — jeśli pominiemy młodzieńcze przekłady wierszy Byrona — wiersz Mickiewicza, który wyraża smutek i niepokonane przygnębienie: odeskie „Dumania w dzień odjazdu". Bo groza bijąca ze strof „Do Matki Polki" nie przygnębia. Ten najboleśniejszy wiersz oczyszcza jak wstrząs tragiczny i wyzwala w Polaku jakąś moc krzepiącą Nie wiem, czy w krytyce uwydatniono dość mocno, że Mickiewicz to poeta trudnego optymizmu, wiary w zwycięstwo wolnego życia nad tyranią i śmiercią. Dość go porównać z rozmiłowanym w śmierciach Słowackim. Nawet z poematu o nieszczęśliwej miłości i o śmierci, z „Dziadów części IV" uczynił — w ostatecznym rozrachunku — moralną naukę o obowiązku życia i trzymania się ziemi. I dopiero w wieku męskim, w czterdziestym roku swojego życia zapisał ten swój płacz:

Polały się łzy me czyste, rzęsiste
Na me dzieciństwo sielskie, anielskie,
Na moją młodość górną i durną,
Na mój wiek męski, wiek klęski.
Polały się łzy me czyste, rzęsiste...

Żadna nauka krzepiąca nie płynie z tego wiersza, płyną tylko łzy w refrenie, w zdaniu powtarzanym tak, jakby ten płacz nigdy nie miał się skończyć i nigdy nie ukoić pokonanego..

Każdy wrażliwy na poezję przyznaje, że to arcydzieło liryczne. Dlaczego? Stanisław Czernik, teoretyk „autentyzmu", umieścił ten właśnie wiersz Mickiewicza na szczycie swojej hierarchii wartości poetyckich, podając go za wzór liryki, którą propagował. Lecz słyszałem także inny głos: że przecież, gdyby tego wiersza nie napisał Mickiewicz, gdybyśmy nie znali autora — wiersz straciłby swoją moc działania. To świadomość, że tragiczne życie Mickiewicza poręcza prawdę zawartą w zdaniach wiersza, czyni, iż się wzruszamy. Jak więc jest w istocie — czy utwór „Polały się łzy..." ma w sobie artystyczną siłę oddziaływania sam w sobie, czy też jest tylko nieważnym pretekstem do wzruszenia się losem poety, napomknieniem jego życiorysu?

Trudno się zgodzić z traktowaniem tego wiersza (i poezji w ogóle) jako odnośnika do biografii autora. Kto twierdzi, że „Polały się łzy..." nie wrzuszałyby, gdyby były bezimienne, w istocie nie czuje poezji, jest niewrażliwy na lirykę. Dlaczego więc ten wiersz jest arcydziełem lirycznym?

Aby na to odpowiedzieć wyczerpująco, aby powiedzieć o tym króciutkim utworze wszystko, trzeba by napisać długą rozprawę.

Kto twierdzi, uwiedziony pozornie naiwną prostotą, że to jest wiersz nieznaczący, banalny — nie widzi nic. Ależ to jeden z najbardziej wyrafinowanych utworów autora „Sonetów krymskich", to jeden z najbardziej **nowatorskich** wierszy w języku polskim! Prostota, którą ujmuje, jest tą najwyższą, którą zdobywa tylko **kunszt tak wysoki, że się go nie dostrzega.**

Przede wszystkim — Mickiewicz powierzył wzruszenie niezwykle plastycznemu obrazowi: łzy polały się **na** dzieciństwo, **na** młodość, **na** wiek męski. I dzięki tej metaforze te okresy życia nie są już abstrakcyjnymi czasami — są czymś w odczuciu naszym jak naocznie, dotykalnie doświadczone sioło, jak widzialna góra i chmura młodości... Zważcie wyrafinowanie tej metafory: wydaje się tak niezwykle naturalną, naiwnie oczywistą i niedostrzegalną dzięki ukrytej aluzji do codziennego, prozaicznego zwrotu: płakać **nad** czymś, **nad** swoim życiem. Przez ten nieznaczny obrót składni uzyskał Mickiewicz efekt najwyższej sztuki: wrażenie zwykłości języka, podczas gdy ten język kryje w istocie rewolucyjną śmiałość wyobraźni. Bo posłuchajcież: czy zdanie **„leją się łzy na młodość"** — nie brzmiałoby dziś „awangardowo"?

Uzyskawszy plastyczną wizję dzieciństwa i młodości i nastroiwszy słuchacza paralelizmem zespołów dźwiękowych (sielskie, anielskie — górna i durna) na dalszy ciąg i plastycznego obrazu i rytmicznego podobieństwa — załamał wiersz gwałtownie. Efekt tak silny, że wzruszenie ściska gardło, jakbyśmy i my mieli do łez rzęsistych poety dolać własne łzy estetycznego przeżycia. Wiek męski nie został uplastyczniony, tylko groźnie i surowo trafiony nazwą ciężką jak głaz: **wiek klęski.** Przeraźliwy kontrast tego wiersza z obrazami i rytmicznym kształtem dwóch poprzednich wierszy — jest wstrząsający. Nie znam poety, który by na tak krótkiej przestrzeni uzyskał tak silny efekt uczuciowy.

Lapidarność, zwięzłość maksymalna — oto co uderza i miażdży słuchacza w tym wierszu. I znów można stwierdzić jedno: jeśli ideałem nowoczesnej poezji jest, jak to kiedyś głoszono, „maksimum treści lirycznej w minimum słów" — wiersz ten jest rewolucyjnie nowatorski.

Posłuchajmy określeń przymiotnikowych, jak dobrał je poeta, czy robią wrażenie epitetów? Łzy — **czyste, rzęsiste,** dzieciństwo — **sielskie, anielskie,** młodość — **górna** i **durna.** Wspomniałem kiedyś („Słowo ostateczne", „Twórczość", nr 4), że słowo Mickiewicza nie jest rezultatem mniej lub więcej trafnego wyboru, lecz jest jakby wyciągiem z tych wszystkich możliwych słów, które by można w danym wypadku zastosować. Poeta oczyszczał określenie epitetowe od jego przygodnej doraźności, poszerzał je intencjonalnie po wszystkie związane z nim możliwości znaczeniowe. Słowa określającego cechę przedmiotu nie wybierał, lecz jakby spośród wszystkich innych możliwych — **delegował,** by je wszystkie **reprezentowało.**

Podobnie jest i w tym arcydziele lirycznym. Między przymiotnikami **sielskie — anielskie** leży ogromna przestrzeń wypełniona rojem domyślnych epitetów, które czyniły, że to **sielskie** *) dzieciństwo było aż **anielskie.** Podobnie między **górną** młodością domyślamy się iluż niewypowiedzianych przymiotników, które czynią prawdopodobnym, że górna młodość stawała się **szaleńczą, durną.** Zestawienie: **czyste — rzęsiste** łzy niesie tyle subtelnej (inaczej niż w zestawieniu tamtych epitetów) odległości, ile lirycznego zespolenia w jednym wyrazie estetycznym. Owa „czystość" — tak wydawałoby się — oczywista, banalna, tutaj nabiera w kontraście do już **nie** anielskiego wieku męskiego jakiejś znowu dziecięcej, anielskiej wymowy w tym właśnie wieku męskim. I znów efekt przedziwny (jeśli taką cudność poetycką wolno obciążyć takimi określeniami): wyrafinowanie ożenione z prostotą.

Uderzający jest jeszcze pewien fakt, trudny do określenia, a bijący w ucho i poprzez dźwięk trafiający w sens pojęciowy tych epitetów. W każdym języku spotykamy zespoły słów, które przylegają dźwiękowo do siebie i dzięki przypadkowi spokrewnione są ze sobą treścią pojęciową. Przykład: maj-raj, wiosna-radosna.. Słowa te jakby się uzupełniały wzajemnie, dźwięk potwierdza ich pokrewieństwo pojęciowe — dają **rymy** nie tylko **dźwiękowe,** ale i **pojęciowe.** Słowa takie zestawione razem — narzucają wrażenie jakiejś nieodpartej konieczności, **dowodzą,** że maj jest jak raj. Nieznośne z powodu dźwiękowego natręctwa — ukazują jednakże pewną prawdę sztuki rymotwórczej, którą mistrzowie wiersza umieją uczynić niebanalną. Służy ona szczególnie mocno Mickiewiczowi, gdy śmiało zestawia tak bliskie rymy. Ta prawda rymotwórcza zmusza do przekonania, że dzieciństwo było, **musiało** być sielskie — anielskie, młodość górna — durna, wiek męski — wiek klęski, a łzy istotnie płynęły czyste — rzęsiste. Pary epitetów niejako wskakują dźwiękami w siebie, jednoczą się nie tylko z sobą, ale przez tę jedność utwierdzają swój związek z określanym podmiotem. Dźwiękowo-pojęciowa wspólnota epitetów sczepia się łukiem mocnego porozumienia z rzeczownikiem. Fakt ten jest jasny, odczuwamy go silnie; nie będę sięgał do psychologii języka, by go tłumaczyć. Dzięki temu związkowi organicznemu, bliskość rymów nie razi, rym dźwiękowy zostaje jakby pochłonięty przez rym pojęciowy; bliskie dźwięki nie tylko nie obijają ucha, ale pozwalają słyszeć przede wszystkim bliźnią **treść pojęciową.**

Rymy mają tu charakter refrenów dźwiękowych i wiążą się z refrenową zasadą budowy całego utworu. Ileż powtórzeń i aliteracyj! Wiersz pierwszy powtarza się jako refren zamykając utwór, trzy wiersze środkowe też zawodzą: **na me — na moją — na mój.** Wiersz jest nie kończącym się płaczem. Refreny, powtórzenia dźwiękowe **wzdłużają** ten najkrótszy utwór Mickiewicza — jest on przecież tylko jednym zdaniem — w nieskończoność

*) Trzeba pamiętać, że „sielskie" w ustach Mickiewicza nie miało tego zabarwienia liryczno-sentymentalnego co dzisiaj: „sioło" nie brzmiało wtedy jak archaizm.

żalu i szlochu nad życiem własnym, nad klęską.

Lecz najbardziej zdumiewa budowa wersyfikacyjna utworu. Jakim wierszem napisał Mickiewicz „Polały się łzy...“? Słuchajmy — **nie jest to ani wiersz sylabiczny, ani sylabo-toniczny, ani toniczny.** Jakiż więc? Wiersz ten nie mieści się w żadnym znanym powszechnie systemie wersyfikacyjnym — jest prekursorskim **odkryciem nowej rytmiki.** Rytm wynika naturalnie z budowy zdania, z rozczłonkowania frazy na elementy składni. Trudno rozgraniczyć, gdzie działa jeszcze rytm wersyfikacji, a gdzie naturalna kadencja fraz; dźwignia podnosząca i staczająca zespoły słów działa z niedostrzegalną precyzją. W zestawieniu dwu linijek wierszowych:

Na moją młodość górną i durną,
Na mój wiek męski, wiek klęski;

dźwignia ta stacza w ostatniej linijce ostatni człon kadencji z siłą wyrazu taką, że owo **„wiek klęski“** — brzmi ogromnie, przygniata jak głaz.

Warto tu przypomnieć, co na ten temat pisał Peiper, domagając się oddania rytmu na usługi treści zdania. Twierdził, że z rytmów poetyckich ten jest lepszy, który odpowiada zdaniu treściowo lepszemu. Zdanie więc dobrze zbudowane ma tym samym najlepszy rytm — także w poezji. W istocie domagał się więc Peiper rozwiązania wiersza i przejścia w poezji na rytm prozy.

Wiersz Mickiewicza nie rozpływa się w potok prozy, porzuciwszy dawne łożyska rytmiki sylabicznej czy tonicznej — pozostał jednak wierszem, jakimś nowym, dotychczas nieznanym, lecz niewątpliwym wierszem. Jakim? Gdy chwytam uchem tok całego utworu, uderza mnie szczególna właściwość rytmiczna: mam wrażenie zarazem jednolitości i różnorodności, jakieś uczucie mieszane: spokoju i niepokoju. Poprzez poszczególne człony rytmiczne przebiega prąd zlewający je w łożysku możliwie jednolitym, choć kształtowanym osobnymi wirami poszczególnych linijek wierszowych i drobniejszych całostek akcentuacyjnych. Utwór ten, słuchany jako całość muzyczna, ma nie tyle jeden rytm, ile **możliwość jednego rytmu;** linijki wierszowe i mniejsze człony mają swoje własne rytmy wnikające, jak coraz to inne wiry, w główny **prąd całości.** Nie wiem, czy wytłumaczyłem jasno to, co wyraźnie utwierdza się w słuchaniu.

Dzięki tej nowej rytmice wiersz wywiera wrażenie czegoś ustawicznie zmiennego, daje niespodziankę. Mimo paralelizmu i powtórzeń dźwiękowych „Polały się łzy...“ są niezwykle żywe rytmicznie: jakby **kołysanka wykonywała lotnicze ewolucje.**

Nie będę rozwijał zagadnienia eufonii tej liryki. Żeby wyczerpać wszystkie jej dziwy, musiałbym napisać rozprawkę. Zostawmy to polonistom, badaczom wiersza, statystykom sylab i głosek. Zwrócę tylko uwagę na wzajemną zależność zespołów dźwiękowych i rytmicznych, na subtelną grę jednozgłoskowych i wielozgłoskowych słów, na trudno wymierne a jednak wszędzie obecne prawo kontrastu, wreszcie na związek dźwięku z odcieniem znaczeń logicznych i emocjonalnych słowa i słów. Wszystko się jednoczy w tym utworze, który — jeśli ten termin znaczy najwięcej — jest poezją integralną.

A wymowa jego ludzka? Jest to zaiste ostatni wiersz poety, pożegnanie się i z poezją i z burzliwym życiem, z życiem, które było tak pełne i nadzwyczajne, że go poeta nie przetrwarzał, zapisywał je tylko — i tak powstawała jego liryka. Tak powstał i ten **płaczwiersz, czy wiersz-płacz.** Choć wiem i wiedziałem, że nie był to wiersz z datą najpóźniejszą, że nie jest to utwór Mickiewicza chronologicznie ostatni, przyjmowałem go zawsze w swoim odczuciu jako słowo końcowe, najbliższe milczeniu. Jak napis ułożony na kamień grobowy, napis mówiący prawdziwie i najkrócej wszystko o życiu człowieka i poety.

Julian Przyboś

W poprzednim (72) numerze „Odrodzenia“ z dnia 14 kwietnia: **Walter Lippmann:** Polityka zagraniczna Stanów Zjednoczonych. Powszechny ład międzynarodowy. — **Tadeusz Breza:** Francuskie spotkania. — **Adam Schaff:** Nauki przyrodnicze i filozofia. — **Tadeusz Różewicz:** Ocalony. Do umarłego. Deszcz wiosenny. Kwiecień. — **Arkadiusz Piekara:** O nowym pojmowaniu zjawisk. — **Henryk Dobrowolski i Józef Sieradzki:** Śląskie odgłosy 1846 roku. — W pracowniach pisarzy i uczonych (**Tadeusz Stanisław Grabowski, Wojciech Natanson, Józefina Rogosz-Walewska, Marian Ruth-Buczkowski, Zygmunt Wasilewski, Kazimierz Wyka, Jerzy Zawieyski, Adam Znamirowski**). — Korespondencja (**Bronisław Wolski, Jerzy Kreczmar, Z. Sitnicki, Maria Leszczyńska**). — **Jan Hlasko:** List z Bliskiego Wschodu. — **Tadeusz Dobrowolski:** Słowianie i Prasłowianie. — **Mieczysław Woźnowski:** Mapa Polski. — W teatrach krakowskich: **Jacek Frühling:** „Bartosz Głowacki“ we Lwowie i w Krakowie. **J. A. Szczepański:** „Ich dwóch“. Droga do nikąd. **Juliusz Kydryński:** „Słowo o Kościuszce“. **Stefan Flukowski:** Poranek dialogów Jana Parandowskiego. — **Stefania Łobaczewska:** Z życia muzycznego w Krakowie. — **Konstanty Grzybowski:** Trzeba się uczyć, przeminął wiek złoty. — **Sigma:** Z teki dr Prota Sowizdrzała. Rozkosze teodycei. — **Adam Mauersberger:** Druga i Trzecia Rzeczpospolita. — **Kazimierz Wyka:** Tom, który był mityczny. — 9 ilustracji. — 12 stron.

Artretyzm - reumatyzm,
choroby kobiece i dzieci, serca, narządu krążenia, stany po zapaleniu żył, schorzenia nerwowe i górnych dróg oddechowych
leczy się skutecznie w Zdrojowisku solankowym i borowinowym **Inowrocław**
Bezpłatne prospekty wysyłała Zarząd Zdrojowiska

KONRAD RUDNICKI rysował **ADAM MARCZYŃSKI**

W okrążeniu pod Kotfinem

Jedną z cięższych klęsk, jaka może spaść na oddział, jest pijany dowódca i to pijany właśnie wtedy, kiedy tylko bystrość i jasność orientacji może odwrócić klęskę. Czas był całkiem spokojny i wiadomości przywożone z terenu oraz wywiad z Radomska niczym nie zdawały się zapowiadać jakiejś pacyfikacji. Wprawdzie akowcy nam mówili: „NSZ tu był i odszedł. Dali Niemcom wywiad. Zawsze skąd NSZ odchodzi, tam potem pacyfikacja murowana“ — i sami usunęli się, a myśmy w dalszym ciągu nie wierzyli. Staliśmy w tym terenie już około tygodnia wysyłając grupki na akcje zaopatrzeniowe i szykowaliśmy się do napadu na pobliską, obwarowaną wieś niemiecką.

Tego dnia wyjątkowo dużo grup zostało wysłanych w różnych kierunkach. Z naszej „sztabowej“ drużyny zostało nas tylko 4. Ponieważ na akcję chciał też iść jeden nowy, który jeszcze nie miał broni, więc pożyczyłem mu swojego „pepeesa“, a sam zaopiekowałem się zapasowymi talerzami od „dichtiarowa“, bo obaj erkaemiści też poszli na akcję. Samym „dichtiarowem“ zajął się jeden z piotrkowiaków.

Tymczasem od samego świtu stojący na warcie usłyszeli w niedalekiej odległości strzały. Dowódca batalionu ogólnego alarmu nie zarządził, ale niezależnie od tego po drużynach wszyscy się pobudzili i czekali gotowi do odmarszu w las, bo jakoś się nam zdawało, że na wsi długo nie będzie można zostać. Zresztą wszyscy wiedzieli, że na naszego kapitana liczyć nie można i że gdy wreszcie zarządzi pogotowie, może już być za późno. Strzały trwały już dłuższy czas i wprawne ucho leśne od razu rozróżniało, że nie są to ani odgłosy bitwy, ani ćwiczenia jakiegoś oddziału partyzanckiego (zresztą ćwiczenia odbywały się zawsze wieczorami), ani wreszcie strzelanie na wiwat. Były to krótkie i dłuższe serie maszynowe i strzały pojedyncze wystrzeliwane co pewien czas prawie regularnie — typowe niemieckie strzelanie na postrach.

Niedługo wróciło kilku naszych z akcji. Opowiedzieli, że pod jednym z majątków natknęli się na Niemców i przyszło nawet do krótkiej wymiany strzałów, ale o ogólnym położeniu nic nie wiedzieli.

Tymczasem naprężenie rosło. Strzały nie ustawały, a niektórzy twierdzili, że słyszą samochody. Sprawę rozstrzygnęła dopiero placówka rosyjskich desantów, którzy pierwsi zarządzili u siebie alarm. Samochody nie tylko było słychać, ale i widać i to niezbyt daleko. Teraz już sami ludzie z wioski prosili nas, żeby jak najprędzej iść do lasu, kobiety zaczynały płakać, że Niemcy całą wieś spalą, a my czekaliśmy rozkazu.

Wreszcie rozkaz przyszedł. W parę minut później cały nasz częściowo zdemobilizowany batalion w liczbie 50 i desanci — razem cała setka — staliśmy na brzegu lasu i przysłuchiwaliśmy się naradzie oficerów. W pierwszej chwili mieliśmy nadzieję, że dowództwo zostanie powierzone kapitanowi Fiedorowowi, tymczasem okazało się, że ten, czy to bojąc się odpowiedzialności, czy też będąc naprawdę przekonany o zdolnościach wojskowych Pawła, sam podporządkował się jego rozkazom, a Paweł, dobrze zalany, stanął pośrodku i zaczął nam wszystkim tłumaczyć:

— Niemcy idą bez szos i wchodzą duktami do lasu. Właśnie mówił mi Wojtek. Dopiero co wrócili z patroli. — Potem wspomniał pewnie wspaniałe tradycje zwycięstw polskich nad kilkakroć liczniejszym nieprzyjacielem, bo przybrał wzniosły wyraz twarzy, na jaki mu tylko pozwalała jego obrzękła, pijacka twarz i dodał bohaterskim głosem, mocno zresztą zachrypłym od wódki: — Pokażemy im! Jak oni weszli do lasu, to niech się oni martwią. Zajmiemy tu obronę. Może niejeden z nas padnie ochfiarą w dzisiejszej walce, ale się nie cofniemy. Kto będzie uciekał, tego sam rozłupię.

Nikt nie spodziewał się takiej sentencji. Wszyscy wiedzieli dobrze, że w takim położeniu jak nasze, jedyną rzeczą jest wycofać się głębiej w las i zanim Niemcy obsadzą skrzyżowania duktów, przenieść się na całkiem inny teren i bitwy uniknąć. Tak myśleli żołnierze, tak też myśleli pozostali oficerowie, ale i ci zaznaczali swym zachowaniem się, że nawet teraz trzeba podporządkować się władzy zwierzchniej. Zresztą po oświadczeniu Fiedorowa nic innego nie pozostało.

Zajęliśmy stanowiska w jakiejś kępce krzaków tuż pod samą wsią, bo taki punkt obrony wybrał Paweł i czekaliśmy na Niemców. Ale oni wcale nie mieli zamiaru do nas przychodzić. Pozajmowali wszystkie okoliczne wsie pod lasem i w samym lesie i szykowali się na dzień następny. Pod wieczór Paweł wreszcie wytrzeźwiał i pomyślał, że zamiast bohaterskim sposobem zmarnować cały oddział, korzystniej będzie się jednak wycofać. Teraz pierścień niemiecki był już wprawdzie zaciśnięty, ale przecież mogło się udać znaleźć w nim jakąś dziurę, lub przynajmniej słabsze miejsce, przez które będzie się można przerwać z niewielkimi stratami. Ostatecznie stanęło na tym, że najpierw pójdziemy wszyscy do jakichś nieobsadzonych przez Niemców domków, żeby się pożywić, a następnie spróbujemy się przekraść między Niemcami na zewnątrz pierścienia.

Punkt pierwszy planu dało się wypełnić. Znaleźliśmy kilka domków, w których można było przygotować jakie takie pożywienie. Było to wprawdzie tuż pod nosem kwater niemieckich, a nasz wartownik stał kilka metrów od drogi, przez którą dopiero co przejeżdżały auta niemieckie, ale obeszło się bez żadnych incydentów. Najedzeni i pokrzepieni nadzieją, że jednak uda nam się wyjść z kotła, dość wesoło posuwaliśmy się naprzód. Szliśmy przez spaloną wioskę Poświerk, przez las, tak jak zawsze: straż przednia, piechota, tabory, piechota, straż tylna. Tylko szperacze z powodu ciemnej nocy nie zostali wysłani naprzód. Mnie razem z kolegą piotrkowiakiem umieszczono z racji naszego erkaemu na samym końcu w straży tylnej.

Liczyliśmy, że uda nam się przejść poprzez rozproszone zabudowania Kotfina i następnie dostać się gdzieś w borowskie lasy. Tymczasem już w Kotfinie, skorośmy tylko wyszli z lasu na drogę wiejską, zaczęli nas ostrzeliwać Niemcy od lewej strony. Ponieważ zmrok zapadł już prawie zupełnie, więc celować nie mogli, i orientując się tylko po stukocie wozów, szkody nam żadnej nie zrobili, ale my stwierdziwszy, że jesteśmy odkryci, nie mogliśmy się też posuwać dalej, gdyż Niemcy mogli łatwo przygotować zasadzkę, znając nasz kierunek marszu.

Zawróciliśmy. Tym razem postanowiło nasze dowództwo szukać przejścia w kierunku Pilicy. Wozy, które robiły za dużo turkotu, razem z końmi zostawiliśmy na drodze. Ważniejszy ładunek zabraliśmy na plecy. Mniej ważny został na wozach. Ja wziąłem jeszcze do swojego chlebaka paczkę z zapasową amunicją rosyjską. Po dwóch kilometrach marszu wypadło nam przechodzić z powrotem przez Poświerk. Ponieważ byliśmy tam przed jakąś godziną, nikt by nie przypuszczał, że tam może być zasadzka. Patrol nie został wysłany. Odstępy marszowe nie zostały zwiększone. Zaledwie jednak zdążyliśmy wszyscy wyjść z lasu, gdy z zabudowań dworskich zatrajkotało kilka kaemów i automatów. Oczywiście cały oddział momentalnie znalazł się w rowie, który tam był jedyną zasłoną terenową wśród czystego pola. Ale Niemcy przygotowali dobrą zasadzkę, bo jeden karabin maszynowy ustawili właśnie w rowie i bili wzdłuż niego. Niejeden z naszych próbował się też ostrzeliwać, ale strzelanie w ciemności i to do dobrze ukrytego wroga, nie mogło dać rezultatu. W ciemnościach słyszałem głos Fiedorowa:

— Rakieta ka mnie, rakieta ka mnie.

Po chwili podano po linii hasło „wycofywać się“ i dopiero teraz zaczęło się zamieszanie. W odwrocie szyki zmieszały się zupełnie, zwłaszcza, że Niemcy widząc nasz odwrót wyszli z kryjówek i zaczęli nas ostrzeliwać z automatów, z prawej strony. W pewnej chwili zaplątałem się w jakiś krzak kolczasty i w rowie za mną zrobił się zator. Po dwóch sekundach już się oswobodziłem i posuwaliśmy się dalej. Zdążyłem powiedzieć do pchających się na mnie: „Spokojnie, bez paniki!“ i zrobiło mi się jakoś głupio. Dobrze mi mówić „bez paniki“, gdy jestem na samym końcu oddziału. Inaczej bym mówił, gdybym był między tymi, którzy w straży przedniej natknęli się wprost na wyloty niemieckie. Tymczasem dobiegliśmy do lasu. Niemcy następowali jednak na nas coraz śmielej, sami też wpadli za nami do lasu i ostrzeliwali z automatów orientując się po szeleście łamanych gałęzi. Dopiero w większej gęstwinie dali spokój, tak że mieliśmy czas się pozbierać i pomyśleć o dalszym działaniu. Mój erkaemista gdzieś się podział od pierwszej chwili. Okazało się, że przy przedzieraniu się przez krzaki połowa razem z Pawłem poszła w jednym kierunku, a my zostaliśmy z Fiedorowem w liczbie około 50, w tym większość Rosjan. Z obecnych nikt nie znał okolic i trzeba się było orientować według mapy. Otoczyliśmy wszyscy kołem Fiedorowa, tak żeby zasłonić światło latarki, a on po przejrzeniu mapy zarządził dalszy marsz.

Ponieważ było prawie pewne, że do potyczki z Niemcami musi jeszcze dojść, zostawiłem w lesie maszynę do pisania. Dawno marzyłem o tym, żeby się jej jakoś pozbyć, bo wtedy może nareszcie straciłyby sens moje funkcje kancelisty; była zresztą naprawdę całkiem zbytecznym meblem w partyzantce. Teraz po porzuceniu wielu cennych rzeczy na taborach, nikt mi tego nie mógł mieć za złe. Byłem i tak porządnie objuczony plecakiem, chlebakiem, kocem i talerzami od erkaemu.

Tym razem poszliśmy znowu na Kotfin i udało nam się przejść prawie tą samą drogą, z której wpierw musieliśmy zawrócić. Po prostu, zamiast iść traktem, poszliśmy obok niego przez pola. Musieliśmy przełazić przez rów odwadniający z wodą po kolana, w końcu, zmoczeni prawie do połowy, znaleźliśmy się w lesie po przeciwnej stronie wsi. Tym razem Niemcy naszego przejścia nie zauważyli. Było ciemno tak, że aby się nie pogubić, każdy musiał się trzymać w marszu ręką za pas swego poprzednika. Po kilkunastu minutach drogi zatrzymaliśmy się znowu Nie było między nami takiego, który by nie uważał, że jesteśmy już na zewnątrz pierścienia. Zarządzono nocleg. Po zmęczeniu każdy chętnie zasnął na mokrej ziemi wyszukawszy sobie pod głowę jakąś wyniosłość gruntu.

O świcie oddziały przeniosły się w krzaki Wysłano patrole, które stwierdziły, że teren jest naokoło obsadzony przez Niemców. Było całkiem jasne, że odbywa się pacyfikacja na wielką miarę. Fiedorow, umieściwszy oddział w dość ciasnym trójkącie świerkowego zagajnika, tłumaczył nam sytuację. Mieliśmy leżeć spokojnie w świerczynie nie odzywając się wcale, choćby Niemcy ostrzeliwali nas. Ponieważ Niemcy podczas pacyfikacji najczęściej szli przez las kilkoma oddziałami, zostawiając między nimi duże przerwy, można było przypuszczać, że zagajnik ominą, najwyżej postrzelają sobie trochę, a gdy im nikt nie odpowie, pomyślą, że nikogo nie ma i pójdą dalej.

Leżeliśmy więc w świerkach i czekaliśmy. Całkiem niespodziewanie spostrzegłem, że mój erkaemista jest z nami. Trzymaliśmy się znowu razem.

Tymczasem po całym lesie słychać było poszczególne strzały i serie maszynowe. Widać było, że Niemcy obsadzili dokładnie przejścia w lesie. Zdawało się nam nawet, że na tym obsadzeniu poprzestaną i czekać tylko będą, żebyśmy znowu wpadli w ich zasadzki. Strzały trwały do południa i sytuacja się nie zmieniła. Około pierwszej godziny po południu tłumaczyłem z głębokim przekonaniem młodszym kolegom:

— Możemy być pewni, że nas dzisiaj już Niemcy nie zaatakują. Oni zawsze zaczynają atak do południa. Tak było pod Matyldowem, pod Rędzinami i pierwszy raz pod Ewiną. Wyjątkowo pod Ewiną zaczęli drugi raz w samo południe, ale po południu nigdy.

Pocieszałem kolegów i siebie. Szczególnie ci, którzy nie przeżyli jeszcze ani jednej pacyfikacji, wypytywali się ciekawie o szczegóły, a ja udzielałem chętnie informacji. Rozmawialiśmy też o wczorajszej zasadzce. Okazało się, że z tych, którzy szli pierwsi, kilku zostało na placu.

Im bliżej wieczora, tym nastrój był weselszy, pomimo że wszyscy byli głodni Jednak jakoś o godzinie pół do drugiej zaniepokoiły nas krzyki dochodzące od strony zagajnika. Kilka minut leżeliśmy nadsłuchując, wreszcie usłyszeliśmy już całkiem wyraźnie: las krótkimi skokami przeczesywała tyraliera niemiecka. Słyszeliśmy podawane po linii rozkazy:

— Halt, halten, halten, halt, halt...

Wtedy wrzawa cichła, a po chwili słychać było znowu:

— Aufstehen, aufstehen, aufstehen... — i znowu: — Vorwärts, vorwärts, vorwärts, vorwärts...

Słychać było wtedy wrzawę i trajkot motorów i znowu wszystko się uciszało na rozkaz: — Halten, halt...

Niemcy zbliżali się. Po niedługiej chwili słychać było nie tylko rozkazy i motory, ale i trzask łamanych gałęzi. Ostatnie „halt“ wypadło zaledwie kilkanaście metrów od nas. A my ciągle mieliśmy nadzieję, że Niemcy nas ominą i leżeliśmy cicho jak mysz pod miotłą, żeby czasem się nie zdradzić. My obaj

ZBIGNIEW STOLAREK

SOBIE

Chodziłem. Pod wiatr, pod deszcz.
Spokoju znaleźć nie mogłem.
Ugłaskać chciałem dni wzburzonych sierść
— sparzyły ręce mi ogniem.

Krzyczałem wierszem — pięścią chciałem krzyknąć,
żeby inaczej, że nie tak, że dość
— nic nie wynikło, nic nie wynikło
— pięść za słaba, za słaby był głos.

Lecz to nie koniec, lecz to nie przystań,
szedł będę dalej pod wiatr miesięcy,
choćby mnie jutro miał świat wygwizdać
na siedmiu palcach tęczy.

obok erkaemu prawie że na samym szpicu. Niepokoił nas tylko warkot motorów. Auta czy tanki? — na ziemi po odgłosie nie do rozpoznania.

I znowu komenda „aufstehen", znowu „vorwärts", znów wrzawa, znów warkot motorów. Ściskając w ręku granat, jedyną moją broń, myślałem:

— Ominą nas jednak, nie będą się pchać w krzaki.

Po niespełna dwu sekundach zaszeleściły przesuwające się ciała między świerkami. Niemcy pchali się prosto na nas. Po chwili krótka seria tuż koło mnie z lewej strony i nagle okrzyk naszych Rosjan „urra!" i cały trójkąt świerkowy rozebrzmiał strzałami. Bitwa rozpętała się momentalnie.

Słysząc okrzyk „urra!" byłem przekonany, że idziemy do szturmu, okazało się jednak, że to było niemożliwe. Podczołgawszy się trochę naprzód, żeby lepiej zobaczyć co się dzieje, przekonałem się, że wielu wprawdzie drze się „urra", ale wszyscy leżą na miejscach i zasypują Niemców strzałami. Sytuacja stała się przez moment jasna: Z prawej strony miałem mojego erkaemistę, dalej na prawo kończył się zagajnik, nieco z tyłu po prawej stronie leżało kilku Polaków, po lewej ręce miałem paru Rosjan, a przede mną w samym szpicu zagajnika umieścił się Niemiec i bił do nas prawie bez przerwy z automatu, ubezpieczony przez kilku swoich kolegów, którzy też w pierwszym zamieszaniu zdołali się umieścić w zagajniku. Odległość od Niemca do mnie wynosiła coś 10 metrów. Zupełnie bezmyślnie, nie licząc się, co mi zostanie na dalszy ciąg bitwy, wyrwałem zatyczkę z granatu i rzuciłem nim w Niemca. Wśród ryku automatów nie słyszałem wybuchu, tylko dymek wskazał mi, że granat wybuchł, a ponieważ automat nie odezwał się już więcej, słusznie mogłem przypuszczać, że Niemiec został albo trafiony, albo zwiał. Zdziwiło mnie tylko, dlaczego po chwili ukazały się prawie na tym samym miejscu dwa inne dymki eksplozji. Jakoś nie przyszło mi na myśl, że to moi koledzy wykurzyli do reszty Niemców z zagajnika.

Po pierwszych sekundach walki świerki zostały z Niemców oczyszczone, ale prawdziwą klęską był dla nas całkowity brak rozkazodawców i zły układ stanowisk. Zgodnie z rozkazem Fiedorowa, oddział był przygotowany na przetrwanie w zamaskowaniu, a nie na obronę. Wielu leżało tak, że w ogóle nie mogło brać udziału w walce. Nie było wyznaczonych dowódców poszczególnych odcinków. Zresztą oddział składał się z resztek, które wyszły z wczorajszej zasadzki, a reorganizacja nie została przeprowadzona.

Sytuację prędzej opanowali Niemcy, którzy po prostu otoczyli cały zagajnik pierścieniem i prażyli, ile się dało. Po chwili ktoś rzucił hasło „Przerywamy się!" i wszyscy kupą rzucili się na nasz prawy bok. Pierwszy z zagajnika wybiegł jeden z Rosjan i momentalnie padł, jęcząc tylko:

— Praszczajtie druzja, praszczajtie tawariszczi...

Nikt nie odważył się już próbować szczęścia. Każdy przycupnął gdzieś czekając na jakiś rozkaz, który znikąd nie miał nadejść. Tymczasem ranny Rosjanin jęczał:

— Tawariszczi, pristreltie, pristreltie... — I po chwili: — Wazmitie mai czasy... Dobiejtie, tawariszczi...

Nikt nie zdecydował się, aby go dostrzelić i tak leżał jeszcze czas pewien, dopóki druga kula niemiecka nie rozsadziła mu czaszki.

Tymczasem ktoś rzucił hasło: „Przerywamy się w lewo!" i znów ten sam rezultat: ktoś zabity, ktoś ranny, reszta cofnęła się. Hasła takie, podawane nie wiadomo przez kogo, powtarzały się jeszcze kilka razy i za każdym razem wszyscy biegli w jakimś kierunku i dobiegłszy do brzegu zagajnika zatrzymywali się. Ja tymczasem siedziałem sobie pod krzakiem i jakąś dziwną przyjemność sprawiało mi obserwowanie tego, co się dzieje naokoło. Nie biegałem z wszystkimi w lewo i w prawo, bo wiedziałem, że to nie ma sensu. O walce też nie było mowy. Z początku próbowałem trzymać się mojego erkaemisty, ale ponieważ ten rzucał się na wszystkie strony razem z innymi, więc pomyślałem sobie tylko: „Lataj sobie przyjacielu, mnie się **nie chce**" i siedziałem dalej, nie bacząc na przelatujące obok kulki i nie kryjąc się przed nimi. Wiedziałem zresztą, że mam szczęście i że kulka mnie nie trafi. A to, co się działo naokoło, było naprawdę ciekawe. Dobry psycholog miałby wiele do obserwowania. Widziałem po zmienionych twarzach, że klęska jest pewna, a właściwie już się zaczęła w chwili, gdy zabrakło komendy. Wszystko to przypominało mi jakąś scenę z filmu, gdy okręt tonie lub jakiś urywek z fantastycznej powieści. Tuż obok mnie jeden plutonowy żegnał się nie wiadomo po co z łączniczką. Całowali się.

— Pocałuj mnie jeszcze, może nie zobaczymy się już nigdy.

— Nie, lepiej się nie całować i nie żegnać.

Czy to nie scena z powieści? Było mi jakoś głupio wesoło. Wtem zobaczyłem znowu mojego piotrkowiaka z „dichtiarowem". Dojrzał mnie i zaczął przywoływać ręką. Podbiegłem myśląc, że ma mi coś ciekawego do powiedzenia, ale on milczał patrząc głupio.

— Wystrzeliłeś już amunicję? Chcesz nowy dysk? — zacząłem pierwszy.

— Nie, ja jeszcze wcale nie strzelałem.

— Więc po co u cholery mnie wołasz?

Za odpowiedź musiało mi wystarczyć głupkowate spojrzenie. Właściwie musiałem przyznać, że moje miejsce powinno być przy nim. Teraz, gdy i on zrezygnował z rzucania się na wszystkie strony, położyłem się obok niego i leżeliśmy tak, nie mówiąc do siebie, dopóki jakiś Rosjanin nie zawołał głosem komendy:

— Przerywamy się naprzód.

To, że jest jeszcze ktoś, kto wydaje komendę, od razu dodało mi ducha.

— Chodź! — zawołałem na kolegę — przerywamy się!

I nie patrząc, czy idzie za mną, pobiegłem naprzód. Nasi zajęli stanowiska na cyplu zagajnika i ostrzeliwali gęsto Niemców. Pod osłoną własnego ognia wybiegł jeden, drugi kierując się w stronę, skąd przyszła tyraliera niemiecka. Chciałem biec trzeci. Spostrzegłem, że nie ma mojego erkaemisty. Zawróciłem. Leżał tam, gdzie go zostawiłem uśmiechając się.

— Chodź, przerywamy się.

Gdy wróciłem, przebiegał już piąty. Piotrkowiaka znowu nie było. Wróciłem jeszcze raz po niego. Leżał w dalszym ciągu w tym samym miejscu.

— Prędzej, przerywamy się — a widząc, że nie myśli się ruszyć, zawołałem jeszcze głośno: — Niech cię cholera! — i pobiegłem na cypel.

Przede mną biegła łączniczka, ta właśnie, z którą żegnał się niedawno plutonowy. Biegliśmy w odstępach kilkunastometrowych. Teraz po wyjściu z zagajnika przekonałem się, że tam było stosunkowo całkiem spokojnie. Tu, w dużym lesie kulki leciały ze wszystkich kierunków, znacząc swe drogi w podszyciu lasu. Biegłem szybko jak mogłem, kierując się za moimi poprzednikami. W pewnej chwili zauważyłem, że łączniczka zamiast skręcić w lewo jak wszyscy, biegnie dalej prosto. Z daleka potem widzieliśmy, jak osunęła się na ziemię. Zrobiła to zresztą takim gestem, jak na ćwiczeniach na komendę „padnij". Wielu odniosło wrażenie, że położyła się tylko, aby zerwać się potem znowu i biec dalej. Dopiero po kilku dniach dowiedzieliśmy się, że będąc ciężko ranna dostała się żywa w ręce Niemców. Wtenczas dziwiło nas tylko, dlaczego biegła prosto nie skręcając z nami. My tymczasem przebiegliśmy między czerwonymi liniami telefonu polowego, który systematyczni Niemcy zakładali za sobą, i obok auta sztabowego opuszczonego przez Niemców w chwili zaczęcia się strzelaniny i wpadliśmy do sosnowego zagajnika. Tuż przed zagajnikiem wpadłem po kolana w błoto. Nogę wyciągnąłem, ale lekko schodzący but został. Nie miałem wcale ochoty wracać po niego i wyciągać. Biegłem dalej jedną nogą boso.

Bitwa trwała już około 5 minut.

W nowym zagajniku było oczywiście o wiele spokojniej niż w środku lasu. Kierowałem się trzaskiem gałęzi, żeby nie odbić się od kolegów. Po pewnym czasie moi poprzednicy zatrzymali się. Dobiegłem do nich. Było nas razem siedmioro. Z wyjątkiem mnie sami Rosjanie, w tym radzistka. Czekaliśmy na resztę, ale nikt nie nadchodził. Trudno było zgadnąć, gdzie oni są, ale wiedzieliśmy na pewno, że nie tylko nam udało się przebić. Poszliśmy jeszcze trochę dalej, ale tam zagajnik się kończył. Ostatecznie wróciliśmy i siedliśmy w dołku. Może Niemcy nie będą nas tu szukać. Wyjąłem z chlebaka ręcznik i zrobiłem z niego coś, co mi miało zastępować but. Jeden Rosjanin miał na szczęście kawałek sznurka, który mi się do tego bardzo przydał. Teraz dopiero zauważyliśmy, jak byliśmy przemoczeni przez zroszone krzaki i wytarzani na wilgotnej trawie. Było nam wszystkim zimno, toteż przysunęliśmy się jak najbliżej siebie, aby się grzać jeden od drugiego. Z naszych ubrań unosiła się widoczna dla oka para wodna. Wszyscy drżeliśmy.

Z prawej strony siedziała przytulona do mnie radzistka, młoda Rosjanka, jak się potem dowiedziałem — moja rówieśnica. Pomyślałem, że gdyby nie sytuacja, w jakiej znajdowaliśmy się, takie sąsiedztwo mogło by być dla mnie bardzo przyjemne, ale daleki byłem od erotycznego nastroju. Radzistka była teraz tylko koleżanką, z którą wspólnie wyrwaliśmy się z niebezpieczeństwa.

Obok nas przejeżdżały jakieś maszyny niewidoczne przez zarośla.

Strzały w lesie trwały jeszcze jakiś czas, nie dłużej niż 4—6 minut, potem ucichły, odzywając się jeszcze czasem tu i ówdzie. Bitwa była skończona.

Siedzieliśmy dalej niezdecydowani, czy martwić się, że oddział został rozbity, czy też cieszyć się, że wyszliśmy cało z życiem. Teraz dopiero spostrzegłem, że wszyscy byli bez płaszczów i peleryn. Przed skokiem z świerkowego zagajnika pozrzucali wszystko dla uzyskania swobody. Ja w świerkach zostawiłem mój koc, którym się uprzednio (aby się ogrzać) owinąłem, i którego nie miałem czasu zrolować. Teraz byłem tylko w lekkiej burce. Nikt z nich nie miał plecaków, ani chlebaków. Wszystko odrzucili, żeby nie przeszkadzało. Jeden rzucił nawet karabin. Tłumaczył się wprawdzie, że rzucił nim w Niemca, który w przeciwnym razie z pewnością by go zastrzelił, ale nie dawano mu wiary. Jednocześnie zwrócono uwagę na mnie. Miałem na sobie w dalszym ciągu cały rynsztunek.

— A wot maładiec, smiełyj Palak, niczewo nie brosił — a widząc dyski od „dichtiarowa" wziął mnie za amunicyjnego erkaemistę. — Ty pulomiotczyk?

— Tak — odpowiedziałem, zdając sobie sprawę, że kłamię.

Przyjemnie mi było, że nazwano mnie „maładiec" i „smiełyj Palak". Myślałem też, dlaczego właściwie mam wszystko przy sobie (nie licząc oczywiście koca i maszyny do pisania) i doszedłem do wniosku, że nie zrzuciłem z siebie nic, po prostu dlatego, że mi w ogólnym zamieszaniu nie przyszło na myśl, żeby można było to zrobić. Spotkałem się za to z uznaniem Rosjan.

Zwróciłem uwagę na radzistkę, ta też miała na sobie swoją radiostację. Ale Sonia była skromna. Nie rzuciła radiostacji, bo to był jej obowiązek. Bez radiostacji nie miałaby żadnej wartości. Nie mogłaby postąpić inaczej i wyprasza sobie, żeby się temu dziwiono. Ale i jej było przyjemnie, że w ciężkiej sytuacji nie straciła głowy.

Jesienny zmrok zapadł szybko. Radziliśmy co robić, czując się tym pewniej, im było ciemniej. Niezależnie od drobnych różnic zdań, wszyscy zgadzaliśmy się na jedno: trzeba iść do wioski i zasięgnąć informacji. Tymczasem ciemność nie była jeszcze zupełna, więc siedzieliśmy przeglądając nasze zasoby broni i amunicji. Z siedmiorga — troje nas było bezbronnych: Rosjanin, który rzucił karabin, radzistka, która miała tylko nagan nie mający znaczenia w walce i ja. Pozostali posiadali trzy „pepesze" i jeden „pepees". Amunicji było mało. Znalazłem w swoich manatkach dysk od „pepeszy" z amunicją i zardzewiały magazynek od „pepeesą" bez amunicji, który kiedyś, lubując się we wszelkiego rodzaju rupieciarstwie, schowałem bez potrzeby do plecaka. Oczywiście oddałem je teraz kolegom posiadającym odpowiednią broń. Moja amunicja karabinowa, a mianowicie 4 zapasowe talerze od „dichtiarowa" i tekturowe pudełko naboi, nie znalazła tymczasem zastosowania, bo karabinu nie było ani jednego, ale projekt jednego towarzysza, aby je wyrzucić jako niepotrzebne, spotkał się z moim sprzeciwem popartym zaraz przez innych.

— Nie ma karabinu, ale może być. Amunicja się zawsze przyda.

Ważną pozycję w naszym wyposażeniu stanowiła radiostacja. Dawała ona nadzieję łączności z dowództwem, w dalekiej perspektywie nadzieję zrzutu lub zabrania nas samolotem za front. Przynajmniej radzistka twierdziła, że to całkiem możliwe. Nie mieliśmy tymczasem bateryj. Żołnierz, który je nosił, odbił się gdzieś w innym kierunku, zresztą choćby się nawet znalazł, nic by nam z tego nie przyszło, bo widziano jak baterię odrzucił.

Wreszcie ruszyliśmy do wsi. Było zaledwie szaro, ale naokoło panował spokój. Wlokąc strzępy gałganów za swoją nogą owiniętą w ręcznik, myślałem z przyjemnością o jakiejś kolacji, która nas gdzieś w niedalekiej przyszłości czeka.

Już na pierwszym dukcie natknęliśmy się na niemiecki telefon. Od tej wąskiej czerwonej linii wijącej się w trawie powiała na mnie jakaś specjalna groza. Jeden z towarzyszy powiedział dziwnie suchym głosem.

— Swiaż jeszczo nie zniata...

Tak, pacyfikacja nie była zakończona. Na telefony natykaliśmy się na wszystkich duktach. Usiłowaliśmy iść na przełaj przez las, ale byliśmy na to zbyt zmęczeni. W końcu ruszyliśmy prosto duktem. Spotkamy Niemców — wszystko jedno. Aby do jakiejś wsi. Kierunek — przed siebie.

Las skończył się niespodziewanie prędko i o kilkaset metrów przed nami widać było jakieś kontury zabudowań. Momentalnie zaostrzyliśmy czujność. Zatrzymaliśmy się. Dwóch kolegów twierdziło, że tu na pewno są Niemcy. Radzili iść dalej brzegiem lasu. Ale większość była na to zbyt zmęczona. Postanowiono, że dwóch pójdzie na zwiady. Ale kto? Nagle jeden z Rosjan spojrzał na mnie i przyszła mu zbawcza myśl do głowy:

— Ty jesteś bez broni. Pójdziesz. Zostawisz tu plecak i rynsztunek. Udasz cywila. Zobaczysz, co się dzieje na wsi. Jesteś przecież Polakiem.

— Dobrze, udam cywila, ale dajcie mi jakąś broń.

Tu znowu kłopot. Automatu nie powinienem ze sobą brać, bo sylwetka moja stałaby się przez to zbyt wyraźna. Radzistka nie chciała się ze swym naganem rozstawać. W końcu dano mi granat, rosyjski siekaniec.

Ostrożnie poszedłem naprzód. Gdy spotkam Niemców — granatem i zanim ochłoną — w nogi. Domniemane zabudowania okazały się tylko stogami, ale doszedłszy do stogów zobaczyłem już teraz niewątpliwie dom. Poszedłem w jego kierunku. Był to początek jakiejś wsi. Było cicho. W oknach paliło się światło. Psy nie szczekały. Doszedłem do okna. W izbie koło kuchni kręciły się trzy kobiety. Na moje pukanie otworzono mi niechętnie i z ociąganiem.

— Kto tam?

— Swój, partyzanci, otwórzcie.

— My tu same kobiety. Idźcie gdzie indziej.

— Wpuśćcie, bo tu zimno — prosiłem, choć właściwie partyzantowi bardziej wypadało rozkazywać niż prosić. Po dłuższych certacjach otworzono.

— Co to za wieś?

— Kotfin.

— Niemców nie ma?

— Panie, byli i splądrowali całą wieś. Godzinę jak poszli, ale nocują zaraz na Kolonii. Mogą jeszcze przyjść.

— Po nocy nie przyjdą. Proszę przygotować coś do jedzenia. Zaraz nas tu przyjdzie siedmiu.

— Panie, gdzie indziej idźcie, my tu same kobiety, biedne.

— Przygotujcie jedzenie. Zjemy i pójdziemy dalej.

Na ostatnią zapowiedź kobieta się trochę uspokoiła.

— To wyście się z nimi bili? Szło ich tędy, a szło. Myślałyśmy, że żaden z was żywy nie wyjdzie.

— Och, nie ma tak dobrze — powiedziałem wesoło — my się na Niemcach znamy, ale kilku zabitych jest.

— Mój Boże, takie młode chłopaki...

Wesoło wracałem z powrotem. Z daleka od lasu zawołałem:

— Ka mnie, tawariszczi, dawajtie siuda. Niet Giermancow w dierewni!

Ale nikt mi nie odpowiedział. Podszedłem bliżej.

— Tisze! Na cztoż kriczysz chalera — odpowiedział mi towarzysz.

Więc ruszyliśmy do wsi.

Konrad Rudnicki

STEFAN OTWINOWSKI

WIELKANOC*)

Scena przedstawia salę restauracyjną domu zajezdnego w małym miasteczku.

PANI FREUD sama przy bufecie. Po chwili wchodzi chłopak.

CHŁOPAK: Pani Freud, pani pozwoli trzy płaskie.

PANI FREUD: Dla kogo, dziecino, trzy płaskie?

CHŁOPAK: Dla tatusia, pani Freud.

PANI FREUD: A pieniądze masz dobrze?

CHŁOPAK: Proszę.

PANI FREUD (liczy): Dobrze.

CHŁOPAK: Do widzenia.

PANI FREUD: Idź z Bogiem, dziecko.

Wchodzi Stanisław z walizeczką w ręku.

STANISŁAW: Dobry wieczór, pani gospodyni.

PANI FREUD: Czym mogę służyć?

STANISŁAW (rozgląda się po sali): Przyszedłem tutaj po informacje. Widzi pani, przyjechałem tu do wuja z Warszawy. I mam kłopot, bo nie zastałem go w domu.

PANI FREUD: Można wiedzieć do kogo?

STANISŁAW: Do doktora Przypkowskiego. Musi pani chyba znać.

PANI FREUD: Doktor Przypkowski? Zacny człowiek.

STANISŁAW: Gospodynię ma nieprzyjemną. Zauważyłem, że niechętnie zostawiłaby mnie na noc. I nie wiem, będzie jeszcze jaki autobus do Warszawy?

PANI FREUD: Właśnie przed chwilą ostatni odszedł. Rusza sprzed naszego domu.

STANISŁAW: Odszedł?... To co? Będę tu musiał nocować. Albo jest może jaki inny sposób?

Do szynku wchodzi dwóch kolejarzy.

PIERWSZY KOLEJARZ: Pani szefowa, pani zrobi nam kolejkę.

PANI FREUD: Jak tam jest, panowie — ostatni pociąg odszedł już z Cegielni?

STANISŁAW: Ach, więc jest tu gdzieś i kolej?

PANI FREUD: O kilometr od miasteczka.

DRUGI KOLEJARZ: W sobotę ostatni pociąg odchodzi o ósmej.

PIERWSZY KOLEJARZ (poprawia): W dni przedświąteczne ostatni pociąg w stronę Warszawy mamy o godzinie 19,58. Niech pani zrobi następną kolejkę.

DRUGI KOLEJARZ: Wszystko jedno, siódma 58 czy ósma, i tak się już nie zdąży.

PIERWSZY KOLEJARZ: Co, wszystko jedno? Na kolei, proszę państwa, nie ma wszystko jedno. **(w stronę Stanisława)** Kolej, to jest zegarek, a na zegarku dwie minuty, to są właściwie... to są właściwie.. Faktycznie. Pani szefowa, pani zrobi jeszcze trzy angielki. Pan szanowny nie odmówi? **(piją)** Co to ja właściwie? Aha, dwie minuty, to są. To będzie...

STANISŁAW: To będzie sto dwadzieścia sekund. Pewnie. Na kolei to ma wielkie znaczenie.

PIERWSZY KOLEJARZ (z uznaniem): Oo.

DRUGI KOLEJARZ (obojętnie): Pewnie...

PIERWSZY KOLEJARZ: Kolej to jest zegarek. **(do kolegi)** Co byś bracie powiedział, gdyby ci się twój zegarek spóźnił dwie minuty?

DRUGI KOLEJARZ: Powiedziałbym, że się spóźnia dwie minuty.

PIERWSZY KOLEJARZ (z oburzeniem): Có?

STANISŁAW: Ja powiedziałbym, że ma dwie minuty opóźnienia i albo bym sam naregulował, albo bym dał do zegarmistrza...

PIERWSZY KOLEJARZ: A na razie... Pod względem...

STANISŁAW: A na razie pod względem czasu nie polegałbym na własnym zegarku.

PIERWSZY KOLEJARZ: O, inteligencja.

DRUGI KOLEJARZ (spogląda obojętnie na zegarek): Chodź Felek, bo się spóźnimy na towarowy.

PIERWSZY KOLEJARZ: Zaraz Antoś...

DRUGI KOLEJARZ: Nie, nie, Felek, musimy. Państwo wybaczą.

Pierwszy kolejarz niechętnie odchodzi od bufetu. Drugi kolejarz wyprowadza go prawie siłą.

PIERWSZY KOLEJARZ (w drzwiach przedstawia się Stanisławowi): Felicjan Siwiński jestem. Bardzo lubię z inteligencją...

Drugi kolejarz wyprowadza Felicjana Siwińskiego.

STANISŁAW (do pani Freud): Z tego wynika na pewno, że i tą drugą drogą dla mnie na razie niedostępna. Będę musiał chyba prosić panią o nocleg. Nie wiem czy ta gospodyni wuja przyjęłaby mnie na noc.

PANI FREUD: Tu u nas będzie panu bardzo dobrze. Zaraz przyjdą moje dzieci. Nie będzie się panu nużyć...

STANISŁAW (z przestrachem): Dzieci?

PANI FREUD: Tak, moje dzieci są bardzo wykształcone. Także bardzo wykształcone.

STANISŁAW: Także?

PANI FREUD: Przepraszam, miałam na myśli szanownego pana. Pan pewnie, przepraszam, doktor? Można wiedzieć?

STANISŁAW: Nie, proszę pani, nie jestem lekarzem. Zupełnie coś innego.

PANI FREUD: Słucham. Proszę?

STANISŁAW: Jestem dziennikarzem.

PANI FREUD: O? Znaczy się, pan pisze do dzienników.

STANISŁAW: I to nie — raczej do tygodników. U nas na taki zawód nie ma właściwie określenia. Z cudzoziemska mówi się essayista.

PANI FREUD: Rozumiem. Tygodniki polityczne.

STANISŁAW: Tygodniki literackie.

PANI FREUD (z uznaniem): Aha, „Wiadomości Literackie"... Znam. Moje dzieci czytają.

STANISŁAW: Właśnie. Między innymi „Wiadomości Literackie", ale takich tygodników jest więcej.

PANI FREUD: Rozumiem, literatura, filozofia — piękny zawód. Mój syn skończył filozofię, psychologię.

STANISŁAW: O?

PANI FREUD: Gdyby nie to, że jest Żydem, zrobiłby karierę, przysłużyłby się nauce. Znawcy powiadają: byłby drugi Freud... Tak, tak, gdyby nie był Żydem.

STANISŁAW: Pierwszy Freud był Żydem.

PANI FREUD: Tak, proszę pana, ale wtedy były jeszcze inne czasy. Mój syn mówi, że ten następny rok trzydziesty dziewiąty może być naprawdę straszny. Jak pan myśli, ma mój syn rację?

STANISŁAW: Tak. Pani syn może mieć rację.

Wchodzi Ewa, córka pani Freud.

EWA: Dobry wieczór, mamusiu.

PANI FREUD: Moja córka, Ewa.

STANISŁAW: Bardzo mi miło. Nazywam się Łaski.

PANI FREUD: Piękne nazwisko. **(w stronę córki)** Siostrzeniec doktora Przypkowskiego.

EWA: Doktor Przypkowski, widziałam, wyjechał dziś do Warszawy.

STANISŁAW: Właśnie. Dlatego muszę prosić państwa o nocleg.

EWA: Nasz dom jest specjalnie dla takich okazji. Miło nam będzie, jeśli znajdzie pan tu wygodę... Mamusiu, czy mam panu czymś służyć? Może pan głodny?

STANISŁAW: Nie. Napiłbym się herbaty.

EWA: Zaraz przyniosę. **(wychodzi)**

Wchodzi nauczyciel Siciński.

SICIŃSKI: Dobry wieczór, pani Freud.

PANI FREUD: Do usług, pana profesora.

SICIŃSKI: Ma pani egipskie?

PANI FREUD: Jakżeby? Są dla pana profesora.

SICIŃSKI: Proszę pudełko.

PANI FREUD: Już daję.

SICIŃSKI (usprawiedliwia się): Obszedłem wszystkie polskie sklepy...

PANI FREUD: Inaczej nie śmiałabym myśleć.

SICIŃSKI: Dużo brakuje jeszcze naszym kupcom. **(płaci)** Nie moja wina.

PANI FREUD: Inaczej nie można myśleć.

Wchodzi Ewa, stawia herbatę przed Stanisławem.

SICIŃSKI: Dobranoc pani.

PANI FREUD: Zawsze do usług pana profesora.

SICIŃSKI: Daj Boże nie często.

PANI FREUD: Każdy ma swoją rację, panie profesorze... I my chcemy żyć.

SICIŃSKI: Gdzie indziej moglibyście żyć spokojnie.

PANI FREUD: Pan profesor myśli? Gdzie?

SICIŃSKI: Tu niedługo może być specjalnie ciasno.

PANI FREUD: Trudno. Tuśmy się urodzili. Poczekamy na swój los. Dla nas nie ma innej rady.

Siciński wychodzi.

STANISŁAW: Kto to był?

PANI FREUD: To nasz nauczyciel. Pan Siciński.

EWA: Antysemita.

PANI FREUD: Ewa, ja ciebie proszę, ty nie mów. To jest w gruncie rzeczy porządny człowiek.

EWA. Mamusia o każdym tak.

PANI FREUD: Z każdym człowiekiem trzeba dobrze. Przepraszam pana, pan mnie rozumie? Pański wuj jest naszym wielkim przyjacielem. Pan mnie rozumie. Dlaczego ja mam w każdym widzieć swego wroga. Ja wolę w każdym widzieć swego przyjaciela.

EWA: To jest żydowska ślepota, żydowska bezbronność. Z tego się nigdy nie wyjdzie.

PANI FREUD: A jest dla nas wyjście? Gdzie my możemy wyjść? Tym, co wyszli, myślisz, jest lepiej? Tu jest i tak dobrze.

EWA: Mamusia mnie nie rozumie... Zresztą to samo mówili i w Niemczech.

PANI FREUD (oburzona): Coś ty, czy można tak porównywać? Tu są dobrzy ludzie. Ewa, ja ci mówię, my tu mamy przyjaciół.

Wchodzi Samuel.

PANI FREUD: Gdzieś tak długo bawił, synku?

EWA: Mamusia się pyta? Nie zna mamusia pana Twardowskiego? Gdzie on mógł bawić.

SAMUEL: Zgadłaś, spotkałem przed apteką magistra Twardowskiego.

EWA: Rozmawialiście, chodząc przed apteką, godzinę.

SAMUEL: Rozmawialiśmy, chodząc przed apteką, półtorej godziny.

PANI FREUD: Pan pozwoli, mój syn Samuel.

STANISŁAW: Cieszę się.

PANI FREUD: Samuel, postaraj się zainteresować pana.

EWA: Po co mamusia ma narzucać panu... Pan może zmęczony.

STANISŁAW: Broń Boże. Na pewno nie jestem zmęczony. Może się jeszcze dowiem czegoś ciekawego.

SAMUEL: Dowiedział się pan tutaj już czegoś?

PANI FREUD: Pan jest siostrzeńcem doktora Przypkowskiego... Przepraszam ja pójdę odpocząć, dzieci mnie zastąpią. **(wychodzi)**

STANISŁAW: Tak, dowiedziałem się. Dzięki umiejętnościom towarzyskim pańskiej matki poznałem, przyjrzałem się kilku osobom.

SAMUEL: Mianowicie?

STANISŁAW; Komu ja się dzisiaj przyjrzałem? Najpierw dwu kolejarzom, z których jeden był służbistą, a drugi sceptykiem. Gdyby nie sceptyk, służbista spóźniłby się do obowiązku. Potem przyszła pańska siostra. Przed chwilą przysłuchiwałem się rozmowie miejscowego nauczyciela antysemity z pańską matką.

SAMUEL: No i co? Ciekawe...

STANISŁAW: No i nic. Antysemita. Nawet rzeczywiście trochę ciekawszy od innych... Potem dowiedziałem się czegoś o miejscowym aptekarzu.

EWA: W jaki sposób?

STANISŁAW: Przeszło godzinna rozmowa na ulicy z zawodowym filozofem, coś to o człowieku mówi.

SAMUEL: Z zawodowym filozofem?

STANISŁAW: Dowiedziałem się czegoś i o panu... A kto to rzeczywiście ten aptekarz?

SAMUEL: Potomek Twardowskiego ze Skrzypna.

EWA: Raczej Twardowskiego z księżyca.

SAMUEL: Bez żartów, Ewa.

STANISŁAW: Twardowski, Przypkowski, a ja żeby było śmieszniej nazywam się Łaski.

SAMUEL (zdziwiony): Naprawdę?

STANISŁAW: Naprawdę. A co? Zbiera pan może odpryski z nieudałej polskiej reformacji?...

SAMUEL: I to mógłbym robić, gdybym miał więcej wolnego czasu.

STANISŁAW: A ten półtoragodzinny spacer przed apteką?

SAMUEL: To nie jest marnowanie czasu... Ale niech pan raczej powie mi coś o sobie. Są jeszcze ci Łascy? Wie pan przecież, że zmuszeni do emigracji za koncepcje powszechnego demokratyzmu i pacyfizmu udali się najpierw do Holandii, gdzie jeden z nich stał się prawodawcą Braci Polskich i holenderskiej reformacji. Potem znajdujemy ich w Anglii...

STANISŁAW: Wiem, wiem. Ale ja nie urodziłem się jako Brat Polski na obczyźnie, tylko jako syn aptekarza w Wielkopolsce. Ojciec mój, podobnie jak magister Twardowski, lubił łapać ludzi przed apteką i przez dwie czy trzy godziny trzymać w napięciu umysł swój i swego rozmówcy. Zwojował może mniej niż tamci Łascy, ale w intencjach był równie silny. Fanatyk przyjaźni międzyludzkiej, filozof i filosemita w przeciwieństwie do waszego Sicińskiego... Siciński?

Z oddali głos pani Freud.

PANI FREUD: Samuel, Samuel.

SAMUEL: Przepraszam, do obowiązków moich należy asystować matce przy wieczornych rachunkach.

Samuel wychodzi.

STANISŁAW (chodzi po izbie): Ciekawi ludzie... **(staje przed oknem)** Ładny ten wasz rynek. Jakaś stara studnia... I pomnik. Czyj to pomnik?

EWA: Pomnik Kościuszki.

STANISŁAW: Ta studnia dziwna...

EWA: Ta studnia ma swoją legendę.

Przez chwilę milczenie. Z daleka wiejska melodia.

STANISŁAW: Ooo, nawet to. Legenda. Chętnie posłuchałbym tej legendy.

EWA: Mogę ją panu opowiedzieć, ale to opowiadanie będzie miało przykre zakończenie.

STANISŁAW: Przykre?

EWA: Przykry symbol naszych stosunków. Stosunków, które idealizuje na przykład moja matka. A właściwie wszyscy głupi Żydzi.

STANISŁAW: O ile mi wolno zauważyć, pani matka ma niegłupią filozofię życiową. Nie sądzę, żeby ten idealizm płynął z czego innego niż z długiej praktyki życia, to znaczy współżycia... Ale słucham tej legendy.

EWA: Boję się, że pan się rozczaruje. Kto wie czy w innych miasteczkach polskich nie opowiadano panu już takiej samej...

STANISŁAW: Nie zdarzało mi się często być w takiej sytuacji jak dzisiaj. Zresztą bardzo ważne, kto opowiada.

EWA: Dziękuję panu.

STANISŁAW: Proszę bardzo. O ile pani pozwoli, jeszcze jedna uwaga specjalisty. Nie ma opowiadania bez jakiegoś tonu, prawda?

EWA: O, stanowczo pan za dużo ode mnie wymaga. Wiem co pan chce we mnie wmówić. Nie zdobędę się chyba na poetyczny ton.

STANISŁAW: Niech pani nabierze do mnie zaufania. Czy pani nie rozumie, że i między nami są krytycy tych stosunków... Zresztą, o ile to naprawdę dla pani przykre — porzućmy ten temat, nie ruszajmy tej legendy.

EWA: E, nie. Musi się pan czegoś koniec końców dowiedzieć, skoro aż tyle było wstępów.

Przez chwilę cisza. Muzyka w oddali wyraźniejsza.

EWA: Słyszy pan? Gdzieś w dali grają.

STANISŁAW: Słyszę.

EWA: O, ma pan już aż tyle: widok, który pan pochwalił, odgłosy, które pan na pewno lubi... Zresztą trudno zaprzeczyć, to lubię i ja.

STANISŁAW: Co pani lubi przede wszystkim?

EWA: Przede wszystkim lubię myśl. Myślących ludzi.

STANISŁAW: Co by pani zrobiła, gdybym to wziął jako komplement dla siebie.

EWA: Utwierdziłoby mnie to w przekonaniu, że jest pan myślącym człowiekiem... Ale o czym innym mieliśmy mówić.

STANISŁAW: Pani miała mówić.

EWA: Kiedyś, przed laty, odbywał się w miasteczku latający festyn. Karnawał zimowy czy wiosenny. I tego nikt dokładnie nie wie. Było to w każdym razie w czasie, kiedy Polacy lubili ponad wszystko taniec i muzykę. Takie festyny z biegającą muzyką odbywają się i teraz. Ale teraz, to już nie ma swego charakteru — teraz, to jest już zwykła, powszechnie praktykowana zabawa z fokstrotem i tangiem przede wszystkim. To, cośmy słyszeli przed chwilą, to nie było tango, ale to są już melodie coraz rzadsze.

STANISŁAW: Wiatr przyniósł nam ten ton, jakby tylko dla nas...

EWA: Pewnie, że jest w tym jakaś dzika, groźna poezja kontrastu. Pan to może oceni. Rynek małego miasteczka — spotkanie dwóch światów. Łagodni zwykle Polacy, podnieceni wódką i muzyką — ponury czarny Żyd, wracający z modlitwy, która u nas nie jest łagodna... A więc właśnie było tak. Muzykanci i tancerze, wracający, a może przechodzący tylko z jednej gospody do drugiej — spotkali przy studni wracającego z modlitwy chasyda. Otoczyli go kołem, zagrali, żeby tańczył. A kiedy próbował się bronić, tym bardziej chcieli go zmusić. Wreszcie ktoś wpadł na pomysł, że skoro nie chce tańczyć, niech zaśpiewa swój majufes. Tego tym bardziej nie chciał uczynić. Wtedy wrzucili go do studni, grożąc, że jeśli i tam nie zaśpiewa — nie wydobędą go z wody. Chwilę przed śmiercią wydobył z siebie śpiew, a może tylko krzyk grozy. Muzycy łagodnego narodu przerazili się i uciekli, nie chcieli słuchać tej strasznej pieśni. Żyd w studni utonął — może umarł z zimna, zanim przyszła pomoc. Odtąd w sobotni wieczór ze studni dobywa się wyraźny śpiew. Nie słyszałam tego śpiewu, ale to widzę codziennie — nikt ze studni wody nie czerpie. Jest to zresztą bardzo stara studnia, wody już w niej niewiele.

STANISŁAW: Teraz by się już nikt w niej nic utopił.

EWA: Tego nie wiem.

Wchodzi pani Freud.

EWA: Jeśli pan chce, możemy obejrzeć tę studnię z bliska.

PANI FREUD: Ewa, idź, pokaż panu kościół, pomnik Kościuszki, cudowną figurę św. Józefa. Co ty będziesz panu pokazywać studnię?

STANISŁAW: Chciałaby pani naprawdę przejść się ze mną?

EWA: Chodźmy.

Wychodzą. Pani Freud patrzy przez okno za wychodzącymi.

PANI FREUD: Poszli. Dlaczego ja mam widzieć w każdym wroga... Idą przy sobie. Ja już widzę przyjaciela.

Wchodzi mała dziewczynka.

DZIEWCZYNKA: Pani Freud, pani pozwoli trzy płaskie.

PANI FREUD: Dla kogo, dziecko, trzy płaskie?

DZIEWCZYNKA: Dla tatusia, pani Freud.

PANI FREUD: A pieniądze masz dobrze?

DZIEWCZYNKA: Proszę.

PANI FREUD (liczy): Dobrze.

DZIEWCZYNKA: Dobranoc.

PANI FREUD: Idź z Bogiem, dziecko.

Dziewczynka wychodzi.

Pani Freud znowu przy oknie.

PANI FREUD: Zmierzch. Niewiele widać. Ale oni stoją przy studni. Tak. Po co oni stoją przy studni. Głupia Ewa. **(po chwili)** Poszli wreszcie... Śliczny wieczór.

Kurtyna

Stefan Otwinowski

*) Prolog dramatu w trzech aktach.

TEODOR GOŹDZIKIEWICZ

KRADZIEŻ

rysował MACIEJ MAKAREWICZ

I

Spotkałem się gdzieś z twierdzeniem, że nasz naród jest najbardziej złodziejskim narodem na świecie. Zawsze mi imponowało cudze zdanie, jeśli w jakichkolwiek ustach było wyrazem pewnych międzynarodowych paraleli. A że te porównania nie zawsze były pochlebne.. Trudno — od dawien dawna przyzwyczailiśmy się do roli krzywej jabłonki, na którą każda koza statystyczna wlezie.

Rzecz jest jednak o tyle ciekawa, iż wszelkie statystyki wyglądają tak, jakby chciały powiedzieć prawdę, a mówią impertynencje. Należy bowiem — według naszego skromnego rozumienia — do rzędu największych nietaktów mówić zezowatemu, że ma krzywe oko. Delikatność uczuć jest widocznie zjawiskiem bardzo rzadkim.

Będę jednak szczery i powiem, co myślę: węszę w tych wszelkich internacjonalnych zestawieniach jeden wielki szwindel. Bo jeśli ja ukradnę — dajmy na to — w Kopenhadze szczoteczkę do zębów, z którą mnie przyłapie policeman, to znajdę się w wykazie kryminalnym: Polak, lat trzydzieści osiem (dane fałszywe), wyznanie itd., urodzony z matki, skradł dnia tego a tego szczoteczkę do zębów albo klarnet (przedmiot obojętny). Ale jeśli zrobi to ktoś inny, to międzynarodowe statystyki o tym milczą.

Ha! Bolączką ludzkości jest wielość kryteriów przykładanych do jednego i tego samego zjawiska. Nie wymagajmy za wiele.

Wojna jest jak powódź — jednemu zabierze, a drugiemu da. Zabierze mieszkańcom gór, a zostawi mieszkańcom dolin. Jest to ze wszech miar szczęśliwe powiedzenie: dobre w znaczeniu prostym i w przenośni. Byłem przed wojną na górze, a znalazłem się na dole. Miałem... ale po co sobie rozkrwawiać serce!

Wiem, co miałem kiedyś, nierównie jednak lepiej wiem, co mam teraz, a jeszcze lepiej, czego nie mam. Tamto, to wspomnienie, to brutalna rzeczywistość. Wspomnieniem kraszę sobie jałowe dni wojny i braków, rzeczywistość ma na nogach pocześnie zdeptane pantofle i nieco zaniedbaną koafiurę i przez nią jak przez transformator moje braki przeistoczyły się na dźwięki.

Oto wiem, że nie posiadam drzewa. Zwyczajnego drzewa na opał. Rzeczywistość — moja żona w zdeptanych pantoflach i cokolwiek zaniedbanej koafiurze — tak utrzymuje, a ja nie mam dość argumentów na to, ażeby zaprzeczyć jej zdaniu. Trudno: są nieraz takie sytuacje w życiu, w których człowiek musi uznać swoją porażkę.

— Nie ma drzewa do palenia — słyszę trzy razy dziennie uprzykrzony refren mojej sympatycznej połowy.

— Tak? To się zrobi — udaję za każdym razem coś w rodzaju miłego i rzeźkiego zdziwienia i podkreślam tonem całą bagatelną stronę problemu.

Mści się na mnie mój zawód. Jestem bilansistą, więc z fachowego nawyku a podświadomego ulegania rachmistrzowskim kanonom stawiam po jednej stronie życiowe aktywa, a po drugiej pasywa. Kolejność lokowania tych walorów nie gra roli. Jest tylko dowodem, jak umysł ludzki chętnie dąży po drodze omijania banałów.

Mam syna. Ośmioletniego fąfla, który w naszych małżeńskich kontrowersjach otwarcie staje po stronie słabszej, czego mu nie mam za złe, gdyż jest to niezbity dowód, że dziedziczy w sobie cenne właściwości mojej krwi. I ja kiedyś...

— Tatuś to tylko tak mówi, a nigdy nic nie zrobi — dodaje z uśmiechem, który ma mnie zdruzgotać.

Tak? — Dobrze. Ja wam pokażę, że jeszcze lew we mnie drzemie. Wiem, że w niezbadanej otchłani ludzkiej Psyche mieszczą się nieograniczone możliwości. A ja pod tym względem nie stanowię przecież smutnego wyjątku.

Mam osiem królików. Z ich siwych jednakowych futerek, z ich ciemnych, jakby nieruchomych oczu, z ich długich, miękkich, różowo prześwietlających uszu — biją właściwości czystej rasy. Zespół cech najwyższych, urastających w jedną doskonałość — słowem szynszyle. Jedzą trawę, mieszkają w klatce nie używają nocników. Jakże szczęśliwe to stworzenia, które mogą wegetować w czas wojenny zupełnie znośnie!

Kiedy niosę im jedzenie, podnoszą się na tylnych łapkach, przednie wspierają na oczkach siatki i kiwają mi ruchomym końcem nosa, chcąc wybadać, co im spadnie za specjał: mlecz, podróżnik czy bylica. Ich królicze gusty nie są ani zbyt wygórowane, ani zróżnicowane — byle świeże i byle dużo.

W ich obecności przeżywam niejednokrotnie tkliwe uczucia. Króliki są takie miłe! Będę miał z nich osiem futerek — starczy na podbicie kapotki dla syna — i licząc jednego na trzy razy — dwadzieścia cztery obiady mięsne!... Czy to nie wzruszające?! Jeśli do tego dojdzie mięso kartkowe, pokaźny szmat czasu będzie zabezpieczony w jedzenie.

Żeby jeszcze to drzewo! —

Swoją drogą stępieliśmy. Nie — mało: upadliśmy. Jeśli w ogóle spraw bieżącej wojny — tak strasznej, tak krwawej — interesy żołądka są najważniejszymi sprawami, to nie ulega najmniejszej wątpliwości, iż sprawy ducha zeszły na plan drugi, albo całkowicie zaniknęły. Nie mam sobie jednak wiele do zarzucenia. Jestem tak samo dzieckiem czasu, jak tylu, tylu innych — jak są ich miliony, jak są dziesiątki milionów Takie czasy — takie obyczaje.

To są moje aktywa. A pasywa?...

Szkoda mówić.

Post scriptum: chcę być dokładny — mam jeszcze pchły. Ale tu moje talenty buchalteryjne zawodzą. Nie wiem, czy to strona czynna czy bierna w dzisiejszym bilansie wojennym.

II

Moją cechą jest — krótkość decyzji i upór w wykonaniu.

Godzina szósta tego dnia widzi mnie już w ogonku przed urzędem gospodarczym. Jestem osiemnasty w kolejce, więc moje szanse dobrnięcia przed oblicze czynników decydujących są całkowicie realne. Ogonka pilnuje „czarny". Jego głowę stroi kominiarka z jajowatym dnem, a twarz zdobi świeże, pachnące wodą kolońską wygolenie. Ogonek załamany kilka razy tworzą ludzie nijacy. Szare to, kobiety na równi z mężczyznami, lekko obdarte, cokolwiek przybrudzone, znudzone staniem i zatroskane o wynik czekania.

Urząd gospodarczy, o, to jest cenna instytucja. Można tu dostać „becugszajny" na naftę, na buty, na ubranie, na nici, na opał.. I na drzewo. Ustawicznie o nim myślę. Jałowość stania, niezmienna obecność mojego vis à vis: brudny, obtarty kołnierz jesionki i taki sam dół czapki, nastraja mnie do fantazjowania. I raczej optymistycznie. Z wróżebnego rytmu — dostanę, nie dostanę — odgrywanego na przedmiotach otoczenia: ludzkich głowach, palcach rąk, guzikach obok stojącego żandarma, wybieram „dostanę" i już widzę „oczyma duszy" bladoniebieską kartkę z czerwonym paskiem w poprzek, swoją drogę do nadleśnictwa — „Oberförsterei", szeleszczące asygnaty w dwu egzemplarzach do gajowego, las i suchutkie, oblane w końcach zastygłymi łzami żywicy szczapy sosnowe. Razem z dwudziestukilkoma widokami obiadów z króliczego mięsa stwarza to we mnie czasem nastrój wcale radosny, który niwelująco wpływa na uczucie przygnębienia spowodowanego staniem i czekaniem.

Rzecz dziwna, jak tacy towarzysze ogonka są niezmiernie drażliwi. Jakieś potrącenie, jakieś małe udepnięcie świeżo rozkwitłego odciska powoduje tak głębokie urazy, tak straszne sponiewieranie godności, że towarzystwo reaguje natychmiast, zawsze ostro i prawie zawsze skutecznie. A oto inny obrazek. Jakaś paniusia świeżo przychodzi, podnosi brwi ze zdumienia nad długą kolejką, mija ogonek i udając zainteresowanie okienkiem, czy otwarte, bokiem strzyże oczyma, czy gdzie nie otwiera się szpara, ażeby mogła przylgnąć niby niechcący i przyśpieszyć czołobitną prośbę o „becugszajn".

Ale wszyscy doskonale się orientują w tej taktyce. Sami przecież przez nią przeszli. Na pewno i to z różnymi skutkami.

— Proszę pani, za ogonkiem! Tak nie można! Jabym też tak potrafił(a)! — sypią się okrzyki ze wszystkich stron zygzakowatego ogonka.

Te protesty budzą czujność żandarma, który interweniuje:

— Albo za ogonkiem, albo do domu!

O, to rozumiem — decyzja.

Wreszcie o właściwej godzinie punktualnie otwiera się duże okienko i pokazuje się postać bladego, nalanego pana. Zebranym spadają kamienie z piersi. No, nareszcie mgłące uczucie niepewności pryśnie: albo tak, albo nie.

Widzę stąd — głowa nachyla się w ramę okna jak w jarzmo i dysertacja trwa pewien czas. Wreszcie interesant robi w tył zwrot przez lewe ramię i odchodzi zawiedziony.

Znowu nowe zjawisko. W pewnej chwili przychodzi kilka pań. Wykapeluszowane, wyondulowane, wyperfumowane, śmiejące się i sympatyczne. Mijają nonszalancko kolejkę, rozmawiają między sobą ostentacyjnie po niemiecku z akcentem znad Wisły, „czarny" im salutuje — wiadomo, znajomi. Z bladym, o nalanej twarzy panem prowadzą dłuższą chwilę rozkoszny cercle, za jego plecami sekretarze dłubią pośpiesznie coś w jakichś blokach. Strzela świeży papier gnieciony manicurowanymi palcami. Nareszcie odchodzą wolno: razem, zwarte, radosne, — kolonia, prawdziwe rodzynki. Dostały „becugszajn" na jedwabne pończochy, będzie je miał po czym głaskać okolicznościowy wielbiciel na urlopie — stąd radość. Klapnięty rubasznie przez ramię „czarny" rozkosznie salutuje i trzaska obcasami butów.

Dochodzę i ja do okienka. Tonem, który miał oznaczać grozę położenia rodziny, a jednocześnie podkreślić moją niezależność duchową, wyłuszczam o co chodzi.

— Drzewo opałowe? Kto pan jest?

— Jestem księgowym. Wysiedlony z Kalisza.

— Gdzie pan mieszka?

— W Bolechnowie.

— Zaświadczenie z gminy i podanie napisać. Złożyć tu nam do rozpatrzenia.

— Tu do pana?

— No tak, tu. Przecież panu wyraźnie mówię — w głosie rozlanego pana brzmi nuta zdecydowanej niecierpliwości.

— Ale proszę pana, ja już drzewa nie mam — próbuję go sprowadzić na konkretniejsze tory — a za nim mi odpowiecie...

— Złoży pan podanie z zaświadczeniem gminy. Następny!

Ha, trudno. Więcej nie można widocznie żądać. I tak mimo mojego natręctwa był dla mnie stosunkowo uprzejmy. Cechą umysłu, który posiadam, jest zdolność filozoficznej oceny danego zjawiska. Bądź co bądź sprawa mojego opału została zdecydowanie pchnięta naprzód. Wiem przynajmniej co robić. Nie będą teraz moje czynniki domowe wykłuwały mi oczu, że nic nie robię.

Dziwna to rzecz, zaiste, człowiek. Wysłucha tysiąc kazań podniosłych i nie kiwnie palcem. A jakaś małoznaczna uwaga, jakieś skrzywienie warg, mrugnięcie okiem będzie tak silnym bodźcem, że człowiek nie zawaha się zaryzykować głowy. Odtąd często jestem w wypadach, a właściwie w wymarszach, żeby utrzymać mój dom w przekonaniu o intensywności moich starań.

Jeden dzień zabiera mi gmina, gdzie nawet dość chętnie wbrew powszechnej opinii, że sekretarz jest ludożercą, wydano mi zaświadczenie. Było w nim moje nazwisko, mój adres, mój zawód oraz to, że naprawdę jestem wysiedlony z Kalisza i że istotnie potrzebuję drzewa na opał. Człowiek jest człowiekiem — nawet ja sam, gdy zobaczyłem swoje warunki bytowania obok moich personaliów, uczułem w sobie coś podobnego do odrobiny dumy: oto ja, nikt inny, jestem wysiedlony i to ja potrzebuję drzewa na opał. W każdym bądź razie jest to dokument. A dokument swoje znaczy.

Drugiego dnia pojechałem z podaniem. Było już dość późno i chciałem oddać kopertę bez stania w kolejce, ale moje towarzystwo ogonkowe węsząc podstęp, że po przekroczeniu przeze mnie pewnej linii demarkacyjnej załatwiał będę co innego, podniosło taki wrzask, że czym prędzej wróciłem na koniec. Nim doszła kolejka do mnie, okienko zostało zamknięte, a ja zostałem na lodzie. Z obawą w sercu poleciłem cenne dokumenty wojennej cnocie poczty.

Odczekałem cały tydzień. W czas ten wliczałem czynność poczty, czynność urzędu gospodarczego i nie chciałem ich narażać na subiekcję dawania mi odpowiedzi. Wystałem się w ogonku po to, ażeby się dowiedzieć, że podanie jeszcze nie rozpatrzone i żebym cierpliwie czekał, bo oni sami mnie zawiadomią. Podania załatwiane są kolejno w miarę wpływania do urzędu i moje dopytywanie nic tu nie przyśpieszy.

Tak, istotnie logiczni ludzie. Przyznaję im rację i nawet dopatruję się w tym pewnej dozy uprzejmego traktowania ludzi. Zaczynam się ćwiczyć w cnocie cierpliwości. Tymczasem żona pali wiórkami, porąbałem jeden zdezelowany taboret i nawet — strach mówić! — przyniosłem jedną oderwaną po kryjomu sztachetę.

Życie człowieka jest przekleństwem. Mogłoby być doskonałością, świętością, samym absolutem szczęścia. Tymczasem przychodzi potrzeba i kazi doskonałość, profanuje świętość. Po tygodniu udałem się, aby znów dowiedzieć się o los mego podania i otrzymałem niezmienne zapewnienie, że odpowiedź dostanę prędzej czy później. Nawet podobno prędzej.

W domu... Ale już lepiej nie mówić o tym. Rzeczy te rzucają cień na mnie i na mojego syna. Dość wspomnieć, że ja przyniosłem kawał bariery z mostu, a chłopiec suchą żerdkę. Nawet się go nie pytałem, skąd to wziął. W taki to sposób potrzeba życia stawia człowieka wobec konieczności kradzieży. Kradzież staje się koniecznością przedłużenia warunków fizycznego trwania. My jesteśmy od wieków co pół pokolenia skazani na to, by kraść. I kradniemy. Inaczej zginęlibyśmy w burzliwych nurtach dziejów bez śladu.

W ten sposób minął miesiąc czasu i nareszcie otrzymałem odpowiedź z urzędu gospodarczego. Brzmiała ona ni mniej ni więcej tylko tak, że w sprawie drzewa opałowego należy się zwrócić do miejscowego urzędu gminnego. No — myślę sobie — to już jest coś. Moje zabiegi zaczynają się konkretyzować. Teraz tylko gmina, a gmina jest dostępniejsza. Ten urząd gospodarczy to była właściwie wstrętna jama, gdzie urzędował cyklop o nalanej bladej twarzy.

Więc jestem w gminie. Przyleciałem tu na skrzydłach nadziei będąc przekonany, że stąd droga powiedzie nie gdzie indziej, tylko wprost do kancelarii „Oberförsterei", a z niej do gajówki, do lasu, gdzie sosnowe szczapy...

Sekretarz wziął do ręki papier, przeczytał i uśmiechnął się nie bez politowania.

MALARSTWO POLSKIE

PIOTR MICHAŁOWSKI (1800—1855) **Niebieski chłopiec**, olej

Obraz pochodzi z roku około 1845. Dzieło najwybitniejszego malarza polskiego epoki romantyzmu.

TADEUSZ SOKÓŁ

PROŚBA

Wieczory moje rzadkie,
gdy Balatonu toń
złocą zachody
cichnące na grzbietach karpi!
Otwieram szyby okna
z kwiatów i z zieleni,
patrzę na las,
w którym kona dzień
przebity strzałami drzew.

Mamo, chwyć mnie za rękę,
wyprowadź z nocy
sunącej drzew cieniem!

Połóż mi dłonie dobre
na skroniach,
bo tylko dęby i graby
mają tę moc,
że idą w nocy głąb,
stają świtaniem ponad stawem
w moim... w dalekim...

— Kraju
pełen ognia czardaszy
i zadumanej dojrzałości brzoskwiń! —

W Polsce
dziewczyny blade uśmiechami
i drżące troską
przenoszą
z lasów do lasów
granaty.
Jesień nie patrzy pożądaniem,
nie kusi
kibicią przegiętą na róży,
jesień
rumieńcem kalin
nienawiść oczu przysłania
i krew
spod serii automatów.

Przyjdź do mnie mamo —
z wieczoru,
z nocy musującej winem
wyprowadź mnie w dzień,
na ścieżkę
do mego domu.

Balaton—Boglar, 1943

— Proszę pana, przecież my nie mamy żadnego drzewa... My możemy najwyżej dać panu zaświadczenie, że pan jest wysiedlony, że pan jest w ciężkich warunkach, że pan...

III

W dwa dni później, na szczęście, spotkałem swoją „przyjazną duszę". Był to gospodarz, który w czasie wojny kupił tylko jedną kanapę i duma jego stąd była stosunkowo mniejsza. Można było się z nim dogadać, gdyż nie wymagał, ażeby mu się kłaniać za każdym spotkaniem i żeby go tytułować „jaśnie panie". Wystarczało zwykłe: „proszę pana".

Opowiedziałem mu swoją dziwną odyseję.

— Panie łaskawy — zaczął mówić w sposób właściwy ludziom przerażająco prostą drogą idącym do celu — ktoby tam podania składał? Ktoby prosił? O, widzi pan?!

Tu wskazał palcem na niedaleki widnokrąg.

— Niech pan przyjdzie jutro godzinę przed świtem, ja dam wóz, konie, wezmę siekierę, piłę i pojedziemy. Machniemy wóz drzewa w trzy godziny... Tam podania... gdzie podania — dodał z najwyższą wzgardą — to przecież wszystko państwowe...

Zmilczałem, więc w zasadzie się zgodziłem. Ale ukryty nurt refleksji nie przestał płynąć. Zawsze to jest kradzież, niech co chce ktoś mówi. Jeszcze kradzież ze świadkiem. Przestępstwo popełnione tylko jednostkowo, wobec własnego sumienia wyłącznie, jest tylko półprzestępstwem. Obecność drugiej osoby nadaje mu już pewną społeczną sankcję, więc odpowiednio je pogłębia. W zestawieniu z taką żerdką lub barierą z mostu wyprawa wozem do lasu z chłopem po drzewo urasta do granic zbrodni.

Nie, nie wypada. Ja, inteligent wychowany na Ibsenie i Żeromskim, mam postąpić jak człowiek prosty, który potrafi mówić różaniec i paść krowę w koniczynie sąsiada, rad, że spełnia za jednym zamachem dwa dobre uczynki. W tym stanie rzeczy zszargam godność człowieka, który nie powinien obniżyć swojego poziomu życia pod wpływem nieprzyjemnego zbiegu błahych okoliczności.

Nie, nie pojadę. Chodzi jeszcze i o tę „przyjazną duszę". Fakt, żem posłuchał jego namowy, spowoduje u niego podświadomie lekceważący stosunek do inteligencji w ogóle, a do mnie w szczególności. Posiadanie wspólnej tajemnicy płaskiego przestępstwa zrodzi spoufalenie, a spoufalenie, to wyrzeczenie się możności wpływu. Oto co jest.

Nie powinienem jechać.

Ale z drugiej strony, jak rozstrzygnąć ową sprawę opału? Iść do gminy, znowu nieść podanie do urzędu gospodarczego, czekać miesiąc, ażeby się przekonać, że należy wszystko zacząć da capo al fine? A tu w domu słyszeć piekielny młyn braków i obchodzić się drobnymi świństewkami żerdek i sztachet? Las jest państwowy. Szkodzenie własnemu państwu jest zbrodnią. Szkodzenie państwu wrogiemu jest najwyższą cnotą.

*

Wóz turkocze głucho po zapiaszczonej drodze. Piła pobrzękuje w deskach. Nad głową mroczy się zamglone niebo, tkwią w nim jak zmoczone w wodzie nieliczne gwiazdy. Od wschodu rośnie pomarańczowo-srebrny pobrzask, znak niedalekiego świtu.

A więc jednak jedziemy. W resztkach wczorajszych skrupułów fruwających strzępami po sennej pamięci króluje wspomnienie, jak to podczas tamtej wojny przedsiębraliśmy z ojcem wieczorami na jesieni wyprawy po kartofle chłopskie dla zabezpieczenia sobie zapasu na zimę. To odbiera mojej decyzji surowość potępienia przez wzgląd na analogiczną ojca.

Jedziemy drogą, potem dróżką, następnie dróżeczką i oto las. Jak dziwnie cicho. Słychać głośne oddechy koni i bicie mojego serca. Porozumiewamy się szeptem jak w wielkiej świątyni lub w zaczarowanym świecie. Żeby czego nie spłoszyć.

Wóz staje. To tu.

— Ta? — pytam syczącym szeptem.

— Ta — odpowiada mi taki sam szept.

Zgrzyt piły jest tak przerażająco głośny, że wierci uszy i serce aż do bólu. To jednak straszne, że nie można po cichu tego załatwić. Sapiemy głośno i pracujemy wytrwale, szybko, nerwowo. Jeśli już kraść, to dobrze, żeby się nie nadziać na gajowego lub żandarmów. Oto nasze niewyjawione życzenie.

Łoskot padającego drzewa jest tak wielki i przerażający, że schnie mi w gardle z wrażenia. Gdzieś tam daleko budzą się echa, rozsypują po drzewach i zdaje się wracają szczytami sosen w postaci gęstego szumu, jakby spadających kropel deszczu.

Oto prawo nawyku. Oto prawo doznania. Powoli się uspokajam. Piła już tak zastraszająco nie piszczy. Drzewo spada głucho raczej, stłumiwszy siłę głosu rozstawionymi gałęziami. Już ostatnia sosna. Im bliżej końca, tym odwaga moja rośnie. Zapala się delikatna wstążka brzasku. Majaczeją drzewa w rozpierzchłym świetle. Znaczą się ciemne sylwetki koni. Widzę zgarbioną postać mojej „przyjaznej duszy". Przez mgnienie oka zdaje mi się, że oglądam czyjś obraz: Mackiewicza czy Weyssenhoffa.

Dzieło spełnione. Wracamy. Konie się rozpierają w piachu pod ciężarem. Robi się coraz widniej. Nad polami snują się mgielne opary. Zakręcamy w podwórko domu i budzi się we mnie dziecięca radość — udało się! Bez przygód! Na czysto!

Już w pełnym świetle dnia sprzątamy z żoną porżnięte szczapy chowając je po różnych zakamarkach, robota ma się ku końcowi, gdy rzucam okiem na okno i widzę, że za szybą stoi mój syn i patrzy na naszą skrzętną gospodarkę. Oczy ma zdziwione, buzię znacząco uśmiechniętą. Otwiera okno.

— Tatuś, skąd tyle drzewa?

— Drzewo? — czuję się zaskoczony — a dostałem... — rzucam niedbale i w dalszym ciągu noszę mokre i ciężkie kawały drzewa — że też ten fąfel jak na złość się obudził i złapał mnie na gorącym uczynku — dodaję w myśli zły — przecież on i tak nie uwierzy.

— Oj ty tatusiu, tatusiu... Ty myślisz, że ja nie wiem?... — dodał domyślnie.

Masz babo placek! A tak nie chciałem, żeby uczestniczył w moim przestępstwie!... Uważam jednak, że przeciągnął strunę swoją wybujałą domyślnością. Ludzie nie zawsze są zadowoleni, gdy się odczytuje ich skryte myśli i czyny.

— Zejdź z okna i spać! — rzucam ostro ojcowskim tonem: muszę mu pokazać, że albo jestem ojcem albo nie.

IV

Rąbię każdy kloc drzewa na drobne szczypki i układam je w staranne piramidki drabinkowe. Drzewo jest ciężkie, mokre i w tym stanie ogień by tego nie chwycił. Ręce mam używiczone, żywica pachnie mdląco naokoło. Wrześniowe słońce i wschodni suchy wiatr wysuszą moje drewka aż do zupełnej przydatności kuchennej.

Po sześciu dniach skutek znać. Każdy kawałek drzewa jest lekki, biały od środka a przyrumieniony słońcem od zewnątrz: będzie się już palił. Sprzątam je starannie do komórki i wzdłuż jednej ścianki układam poprzecznie aż po pułap. Wkładam w to staranność i prawie rachmistrzowską dokładność. Drzewo jest dla mnie zbyt cenne, żebym je rzucał byle jak. Wiem, co kosztowało trudu

Moja komórka godna jest teraz szacunku. Ma wszelkie cechy spichrza. Po prawej stronie w dwu przegrodach osiem jednakich szynszyli (coś koło dwudziestu czterech obiadów). Po lewej cała ścianka od ziemi aż do stropu wyłożona schnącym, pachnącym żywicą drzewem sosnowym. Na wprost leży kupka żółtych kartofli. Niedawno ukopane, świeże. Niektórym łuszczy się cokolwiek zdarta skórka.

Ilekroć stanę w drzwiach komórki otworzywszy je z kłódki i spojrzę po moich zapasach, tylekroć nie mogę się opędzić uczuciu dumy, że to moje dzieło, i refleksji, że człowiek jest to najdziwniejsze stworzenie na świecie — w najcięższych chwilach życia pociesza się namiastką radości. Równocześnie bije mnie w oczy malarski układ przedmiotów. Gdyby moje króliki wisiały zabite, uwieszone nogami do góry, całość wnętrza komórki stanowiłaby klasyczną treść obrazu „martwej natury".

Trzeba jednak skończyć z tym pięknoduchostwem. Jakkolwiek jest, musi mi tego wszystkiego starczyć aż do Bożego Narodzenia. Upominam żonę ustawicznie: — z drzewem ostrożnie! pal tylko w najbardziej koniecznych momentach! — o króliki dbaj, teraz one dostają futerka i obrastają w tłuszcz, muszą dużo jeść! Może do tego czasu postaram się znów o nowy zapas, może się wojna skończy? Rzecz nie do wiary, ażeby te mordy trwały dłużej niż cztery lata.

Jest we mnie jakaś irracjonalna nadzieja skrycie karmiona przykładem z tamtej wojny — że ta ponura rzeźnia narodów zamknięta zostanie po czterech latach, jak zamknięta została tamta. Wierzę w to, choć Churchill zapowiadał, że „wojna może się skończyć w roku 1942, niewykluczone że w 1943, prawdopodobnie w 1944, a na pewno w 1945". Ładny sobie starzec i dyplomata! A dziś mamy wrzesień 1943, więc według niego... niewykluczone! Może listopad? —

*

Wkrótce po wiadomości, jaka obiegła wieś, że przychodzi niemieckie wojsko na kwatery, nadjechali kwatermistrze, a w ślad za nimi „słowo ciałem się stało". Przyszły spore szarozielone kolumny, trochę koni i znaczna ilość samochodów. Pozajmowali budynek szkolny, próżne izby, niektórym gospodarzom nakazali przenieść się do stodół, mieszkania ich całkowicie objęli żołnierze. Rozpoczęło się przy studniach i po rowach mycie, szorowanie, golenie. Zadymiły kuchnie. Na drodze i po obejściach stało się gwarno i rojno. Ciężkie, kute buty stukały po suchych ścieżkach i znaczyły charakterystyczne ślady w ziemi.

Zaraz też obowiązywać zaczął rygor prawdziwie wojenny i wojskowy. Musiano naprawdę zasłaniać okna. I naprawdę przestrzegać czasu wyjścia z domu. Za tym i owym strzelili na postrach. Tego i owego zatrzymali do rana na wartowni. Miało to zbawienne skutki. Ludzie stali się dokładni.

Owego wieczora żona mnie pyta, czy nasza komórka istotnie zamknięta. Potwierdziłem, choć miałem co do tego pewne zastrzeżenia. Wyjawiłem je głośno.

— Słuchaj — zaperzyła się żona — warty chodzą po wsi i po podwórkach. Nikomu od siódmej nie wolno wyjść, więc złodziej nie ma mowy, żeby przyszedł. Będzie ryzykował głowę dla głupich naszych zapasów! A przecież żołnierze nie wezmą. Mają swoje, a poza tym Niemcy to najkulturalniejszy naród na świecie... Kradzież? Ha ha ha! wypluj to słowo!

Przekonała mnie — czasem i rodzona małżonka ma rację. To jest logiczne, nie mogę zaprzeczyć. Byłbym naiwnym uparciuchem, gdybym polegał na własnych podejrzeniach.

Na drugi dzień wstaliśmy koło siódmej. Poszedłem pierwszy otworzyć komórkę i nakarmić króliki. Hm! Widzę z daleka otwarte drzwi i wyrwany skobel. A jednak było zamknięte — myślę swoje, choć „złe przeczucie ścisnęło mi serce". Czyżby?... Staję w drzwiach... No tak!

Tu, gdzie były króliki, pozostał tylko chłodny nawóz w grudkach. Po ziemniakach widniało kilka małych sztuk wciśniętych w ziemię. Po drzewie — po moim cennym, ciężkim drzewie — znalazłem kilka białych, lekkich wiórków...

Po ziemniakach...

Po królikach...

Po drzewie!...

Ach!

To jednak dziwne, jak człowiek ceni takie drobiazgi. Naprawdę mi żal się tego zrobiło. O żonie już nic nie mówię... Żebym chociaż był nie zamknął, byłoby na mnie. I w żalu można by było znaleźć ten zasadniczy warunek zdarzenia: gdyby się było zamknęło. Tymczasem było zamknięte i mimo to...

Kiedy żal ucichł, najważniejszym problemem dnia stało się pytanie: kto? Mimo tych wart, mimo tylu ubezpieczeń złodziej podszedł i zabrał wszystko do czysta. Nie wiadomo było, kogo obarczyć ciężarem grzechu. Złodziej był spryciarz i odważny. Musiał pracować całą noc. Rozumiem osiem królików. Ale kartofle? Ale wóz drzewa? Prawda, że wyschło, ale „swoją drogą"...

Któż to mógł ukraść? Przypominam sobie wszystkie wiejskie twarze i dochodzę do wniosku, że każdy ma minę, jakby to on ukradł. Zasadniczo jest to możliwe. Wojna ta porobiła w psychice ludzkiej tak straszne spustoszenia, że kradzież wysiedlonemu odrobiny dorobku nie stanowi znów tak wielkiego zła w pojęciu przestępcy, człowieka o rozluźnionej dyscyplinie moralnej.

Boleję, wymyślam w duchu i złorzeczę skrycie, ale to nic nie pomaga. Dyskretnie zaglądam tu i owdzie do obór, a czasem do domów o południowej porze. A nuż tam ktoś pali moim drzewem? I gotuje mojego królika?

Nic z tego. Przepadło, amen, bez śladu. „Kto ukradnie, ten schowa ładnie"...

*

W dwa tygodnie wojsko ze wsi wyszło. Tak samo sprawnie jak weszło. Kolumny piesze, tabor konny i samochodowy. Wraz z kurzem, który się wlókł za nimi, zabrali z sobą ową aureolę obcości, dali, niezwykłości, co idzie w ślad za żołnierzem. Zostało po nich trochę śmiecia: norweskie puszki od konserw, gazety sprzed dwu miesięcy, butelki od francuskiego wina. Ludzie pędnym instynktem stada gruchnęli się oglądać pozostałość największego skupiska — szkołę; a może ta co będzie?

Poszedł między innymi tam i mój syn.

W pół godziny wraca. W lewej ręce trzyma kawałek drewka, w prawej — worek. Czuję z daleka zaduch zepsutego mięsa.

— Tatusiu, tatusiu — mówi zdumiony — to jest nasze drewko, a to skórki z naszych królików... Były w worku na strychu. To żołnierze ukradli... Mięso zjedli, a skórki rzucili na strych dla zatarcia śladów. Ja tam patrzę, a one leżą...

Tak, tak — rozgrzebuję kijem — poznaję... Osiem jak obszył. Tak, tak.

O, skrzydłonogi Hermesie, cóż mam teraz uczynić?

Teodor Goździkiewicz

JADWIGA KOZŁOWSKA

W Wańkowej *)

Wieś dzieciństwa Teresy leżała w niewysokich górach, na uboczu, przycupnięta nisko w kotlinie, niby w kołysce. Dookoła — rozsiane hojną ręką natury — ciągnęły się wieńcem rzucone w gęsty bór szpilkowy kopalnie ropy naftowej z lasem wieżyczek szybowych, nasiąkłe — jak cała okolica od nich — ostrym zapachem wydobywanego oleju. Teresa — w najpierwszych, mgliście zapamiętanych wspomnieniach rozróżniała już ten miły, znajomy zapach, unoszący się w powietrzu, dający się odnajdywać wszędzie: w małym górskim strumyku, i w stawie, i we wszystkich źródłach, w które wieś obfitowała. Łączył się on w jej umyśle z ich przyjazdem w te strony, a potem z pierwszym doznanym upokorzeniem. Może dlatego poprzez długie lata pamięć tego zapachu zachowała się w niej świeża i niezatarta i powracała nieraz jak uporczywy i natrętny wariant.

Nim przesiąknięte były wielkie i mocne ręce Jagusi, którymi głaskała jej, Teresy, głowinę w dniu ich przyjazdu w te strony przed wielu laty. On zalatywał potężnie od wysmarowanego tłustą ropą kombinezonu Walka, Jagusinego męża, ich pierwszego gospodarza, do którego wtedy zajechali. On wreszcie wraz z posmakiem nafty wydobywał się z niesmacznego, musującego płynu, jaki zaraz pierwszego dnia pobytu we wsi kazano jej pijać dwa razy dziennie, a który był — jak się później okazało — znakomitą szczawą słono-jodobromową.

Wieś nazywała się Wańkowa i była najstarszym w Polsce zdrojowiskiem, „królową wód jodowych". Oddalona o kilkanaście kilometrów od traktu kolejowego, przy niewątpliwym poziomie cywilizacyjnym zdołała zachować — w ludziach, ich duszach i sposobie myślenia — ową pierwotną świeżość odczuwania i reakcyj, jaka jest udziałem natur prymitywnych.

Wańkowa odznaczała się szczególniejszą budową. Długa kiszka ciągnąca się kilometrami: pośrodku gościniec, dookoła chałupy. Gdyby nie to jej niefortunne uformowanie, już by była miastem, słynna nie tylko w Polsce, ale i za granicą ze swych leczniczych, wspaniałych wód.

Rodzice Teresy przybyli tu, gdy miała niespełna pięć lat. Rudy Abram i jego żona Chana, z drugim dzieckiem nieurodzonym w łonie. Teresa, małe diablę o rdzawych lokach i wilgotnych, błyszczących brązowych oczach podbiła od razu serca tubylców. Choć po prawdzie — nikt przyjazdowi Abrama do Wańkowej zbytnio rad nie był. Jakby mało było Żydów we wsi — przybywali jeszcze i ci. — I po co się te Żydy tu pchały? — Teraz, w marcu? W prędce się okazało, że sklep będą zakładać. Niewielki, zawierający wszystkiego po trosze. — Szwarc, mydło, powidło i inne delikatesy — śmiał się Walek Jagusin. — A dlaczego właśnie tu, w Wańkowej? Dość tu swoich Żydów jest, jeszcze jedna rodzina obca, z daleka... — Abram chory jest, leczenia potrzebuje — objaśniali skwapliwie przybyli — na złą przemianę materiału cierpi... Właściwie mówił przez cały czas milczek — Abram Chana, zmęczona podróżą, przez grzeczność tylko brała udział w rozmowie. Mówiła mało co, tu i ówdzie dorzucając słówko. — I Tirsa — tak nazywali małą: Tirsa — także nie jest zupełnie zdrowym dzieckiem: ma coś z gruczołami limfatycznymi, lekarz przepisał koniecznie leczenie w Wańkowej. Tak, mieszkali stale na Podolu pod Czortkowem, w małym miasteczku sklep także prowadzili. Ludzie ich tam wszyscy lubili, oj, jeszcze jak lubili, bo oni wiedzą jak z ludźmi się zachodzić, na kredyt dają i cen nie wygórowywują jak inni... Ale teraz przyszła choroba i szwagier Abrama, krawiec Boruch Tymowski, który do Wańkowej rok rocznie na kurację jeździ i u Walków mieszka, doradził mu przyjechać tu na stałe. I Abram się wyleczy ze złej przemiany materiału i Tirsa odzyska zdrowie, bo wody wańkowieckie cuda czynią...

— Tak mówił Boruch, tak im radził i oni go posłuchali...

Z tej przemiany materiału śmiali się oboje gospodarstwo, obeznani z tym terminem. — Nie materiału ale materii — poprawiła wreszcie Abrama Jagusia z miną, jak gdyby wiedziała co ta tajemnicza nazwa oznacza. I powróciła znów do Tirsy — przezwała ją od razu Teresą — tak ją to dziecko za serce chwyciło. Żywe to było jak iskra, chwili nie usiedziało spokojnie. — Nic to żydzię na żydowskie nie wygląda — stwierdziła Jagusia wobec Walka. — Tak się toto kręci jak wrzeciono... I włosy ma ładne, nie takie czerwone jak Abram...

Prawda to była, Abram był rudy jakby na głowie mu się paliło. I twarz miał zbyt długą, chudą i wąską. Tak, ładny nie był ten Abram, Teresy ojciec. Chana za to urodziwa była nad podziw: czarna, smagła, z długimi egipskimi oczyma, z małym wąskim nosem i pięknie wykrojonymi ustami miała wygląd szlachetny i wcale na prostą, nieuczoną Żydówkę nie wyglądała. Teraz z powodu ciąży nogi miała nieco obrzmiałe i figurę zniekształconą, ale w normalnym stanie niejedną jeszcze dziewczynę zakasować mogła ta Chana Temkin, brzydkiego Abrama żona. Nie można też powiedzieć, żeby spostrzegawczy mieszkańcy wsi na szczegół ten nie zwrócili byli uwagi. W krótki czas bowiem po przybyciu Temkinów do Wańkowej wyrostki śpiewały Abramowi pod oknem lub drzwiami:

Ożenił się rudy Abram
Ze Żydówką ładnom, ładnom!

Od razu także otrzymał aż dwa przydomki: rudy Abram i koński łeb. Mówiło się po prostu: — skocz-no do rudego Abrama po zapałki! Albo: — jak nigdzie nie dostaniesz, to wstąp jeszcze do końskiego łeba, może już sprowadził te nici, co mi obiecał...

Wańkowianie odznaczali się — między innymi — niezwykłą fantazją w przypinaniu łatek. Nie było tu niemal gospodarza, który by nie miał przezwiska, co z czasem tak do nazwiska rodowego przylgnęło, że stawało się jak gdyby przydomkiem. A to Żubrówka, a to Bylica, a to Tyrowy, to znów Basista, spod figury, Bujna, Libatowic i inne. Nie wiadomo było z czego brały początek, wystarczało jakieś jedno zdarzenie, jakieś jedno odezwanie się, czasem głupie i błahe, a już wieś cała zdawała się nie pamiętać, że człowiek rodzi się z nazwiskiem i tylko przezwaniem rozbrzmiewała wszędy.

Przezwania te niekiedy zresztą przydawały się na coś. Wieś — jak głosiła legenda — była starą osadą jeszcze z XVII wieku, z czasów potopu szwedzkiego. Roiło się tu od nazwisk o cudzoziemskim brzmieniu: Kuner, Miler, Weiss, Undefer, Has i tym podobnych. Listonosz obcy, nie wańkowianin, gubił się wśród tych rozlicznych Jędrzejów Gleichów, Wojciechów Naperów, Antonich Gozów i innych rozprószonych po całej długiej jak tasiemiec wsi, w przysiółkach i odnogach Wańkowej, sięgających aż po wioskę Łęgi, z którą wieś sąsiadowała. Tubylec musiał pilnie baczyć komu wręcza pocztę, bo z powodu tych powtarzających się wciąż nazwisk i imion nieraz dochodziło do zamiany adresatów, lub pomyłek w doręczeniu, co powodowało przykre kłótnie, swary, a nawet raz proces. (Dopiero w ćwierć wieku później wieś otrzymać miała ulice i numery domów, w jakie od dawna zaopatrzony był zdrój, czyli „góra"). Z czasem przyjęło się dopisywanie przydomka, jeśli ten — nota bene — nie był obraźliwy, lub nie powstał z jakiejś przygody czy zdarzenia, na śmiech wystawiającego adresata. Z tej strony na rzecz patrząc, musiało się przyznać, że przydomki te, którymi wieś tak obficie raczyła swych mieszkańców, miały i swoje dobre strony.

Żydów było w Wańkowej niewielu. Oprócz rudego Abrama cztery rodziny. Ale i to dość; ba, zadość, uważali wańkowianie. Choć nie można powiedzieć, Żydy były ciche, spokojne i dość poczciwe. Tylko stary Bartek zadziorny był bardzo i w sądzie często miał sprawy. Od lat był tu rzeźnikiem, miał drugą żonę i mnóstwo dzieci, z których coraz któreś umierało. Nazywał się Wigdor Walker, ale wańkowianie zapomnieli już nieomal, jak się Wigdor naprawdę nazywa. Bartek — wołali go starzy, młodzi i dzieci. Dzieci zwłaszcza doprowadzały go do pasji owym ustawicznym „dobre było?" Co tych kilka niewinnych słów oznaczało, wiedział tylko sam Bartek, wieś bowiem zapomniała już z kretesem, od czego to przezwisko i owo pytanie poszło. Wigdor Walker miał już około siedemdziesiątki, a Bartkiem zwano go już chyba z pół wieku.

A naprawdę było tak: — Jeszcze młodzikiem będąc — opowiadała Jagusi matka, zmarła na krótki czas przed przyjazdem Temkinów do Wańkowa — pojechał był do pobliskiego miasteczka Rumanowa na jarmark. Parobek, który go wiózł, syn jego stałego woźnicy, nazywał się Bartek Naper. W Rumanowie spędził Wigdor cały dzień, chodząc po targu, oglądając i targując bydło, przeznaczone na rzeź. Pod wieczór wracali setnie zmęczeni do domu, a z nimi — z tyłu furmanki — jechały, pobekując, dwa młode cielaki. Bartek głodny, raz po raz wyjmował z koszałki chleb z kiełbasą (własnego wyrobu, bo to niedawno wieprzka zabił!) — przeznaczony na drogę. Do Wańkowej był spory kawał, osiemnaście kilometrów. Smakowity zapach wędliny dochodził do Wigdora i drażnił jego nozdrza. Z początku na poczęstunki Bartka był głuchy: nie chciał złamać zakonu. Kiedy już minęli Łęgi i do Wańkowej było tylko parę kilometrów, Wigdor nie wytrzymał i zawołał: — Bartek! — Czego chcecie? odparł parobek. — A nie powiesz ty nikomu? — A o czym? — No, ale czy nie powiesz? — Eee, zaś bym tam gadoł... — No to dej! — Co wam mom dać? — Ano to, coś mi dawoł... — Com wam dawoł? udawał greka Bartek. — Ano to spod opołki... wystękał na poły ze wstydem, na poły z ulgą Wigdor. Zjadł podobno cały kawał, tylko bardzo prosił, żeby nikomu ani słowa...

Żona Bartka nazywa się Bajla, nosiła perukę i miała olbrzymi brzuch, jakby stale była w ciąży. Bartek był jej drugim mężem a ona jego drugą żoną. On miał swoich czworo dzieci, a Bajla swoich dwoje, razem sześcioro. Ale troje Bartkowych z pierwszego małżeństwa, zamężne kobiety i żonaci mężczyźni stale mieszkali w Rumanowie. Przy ojcu był tylko najmłodszy Szlomek, który też się na rzeźnika kierował; jej zaś obydwie córki siedziały w Wańkowej tylko latem, zimą było im tu nudno, były więc u ojca w Przemyślu. Bo Bajla, wychodząc za Bartka, nie była wdową tylko rozwódką.

Bartek nie pozbawiony był poczucia humoru. Kiedy w wiele lat później najmłodszy syn jego, Szloma, wrócił szczęśliwie z wojny, opowiadał znajomym: — Jak mój Szlomuś wrócił z wojny, to wszyscy w Wańkowej się cieszyli... Nawet ciele się cieszyło i wołało: Szloj — meee!

Ten Szloma zresztą wkrótce po przyjeździe z wojny wyjechał do USA, gdzie stał się pono po latach — nie wiadomo czy dzięki swoim zdolnościom, czy też nadzwyczajnemu szczęściu — jednym z najbogatszych ludzi w Chicago, „małym królem konserw". Byłby też z niego dumny Bartek, gdyby żył, oj byłby! Ale to już było po śmierci obojga rodziców.

Oprócz Walkerów był tu jeszcze krawiec, Salomon Strumpf, chory na skrofulozę, z szyją całą poprzeszywaną szwami chirurgicznymi. Zwano go Ancik. Przezwanie poszło z tego, że przyjechawszy do Wańkowej obiecywał swoim gospodarzom uszyć piękny „Anzug". Było to przed dwudziestu z górą laty, później Ancik nauczył się po polsku i nie robił już żadnych błędów, ani nie używał wtrętów żydowskich. Był to Żyd tłusty i majestatyczny, cierpiący na kompleks mniejszej wartości, z pretensjami do wykształcenia, filozofujący na temat modnego wówczas spirytyzmu.

Jego żona, Lola, zaraziła się od męża tęsknotą do wyższej sfery, czytywała Maeterlincka i ignorowała pozostałe żydówki wańkowieckie, uważając siebie za „coś lepszego". Dzieci ta para nie miała.

Trzecią rodzinę żydowską stanowili suchy i kościsty starzec, Sacher Buck oraz jego żona Brucha, która stawiała najlepiej we wsi bańki. W młodości Sacher był w Ameryce, wrócił tu, bo taka była wola ojca; ten ojciec, despotyczny i nieznośny staruch, nawet poprzez ocean umiał przeprowadzić swoją wolę. Przyjechawszy, aż do śmieci ojca był z nim i znosił jego starcze grymasy i wymysły. Do czasu kiedy umarł, Sacher zdążył się postarzeć i zmienić w takiego samego jak ojciec despotę i zrzędę. Buckowie dzieci nie mieli, adoptowali krewniaczkę — sierotę, którą wydali za mąż za młodego kupca, Izraela Dyma. Ten Dym, to był konkurent rudego Abrama z przewagą pierwszeństwa. Miał w Wańkowej od lat sklep, w którym, jak u Temkina — począwszy od śledzi a skończywszy na szkiełkach do lamp — wszystko można było dostać. Dymowie mieli jedno dziecko, kilkuletnią niedorozwiniętą dziewczynkę z olbrzymią, bezmyślną głową idiotki. Matka kąpała ją w wodach Wańkowej bez końca i miary, co oczywiście nie dawało rezultatu.

Jednego roku latem sprowadził się był jeszcze piekarz, Heinech Grob, z młodą i ładną, ale ogólnie nielubianą żoną i kilkorgiem dzieci. Ta Heineczka (tak ją zwano powszechnie od imienia męża), okropnie zaniedbana i brudna, wśród wańkowieckich Żydów nie czuła się dobrze. Odbijała od nich zarówno całym swoim niechlujnym wyglądem, jak obyczajami, a nawet sposobem wyrażania się. Wańkowieccy Żydzi byli czyści, pracowici, gościnni, doskonale władający polskim. Heineczka była skąpa, nieużyta, niepospolicie leniwa i brudna i mówiła po polsku tak, że uszy więdły od samego słuchania. Grobowie nie popasali tu długo. Po roku wynieśli się. Mówili, że dlatego, iż Heineczce nie służy nadmiar jodu, unoszącego się w powietrzu, że choruje na „chorobę Bazedową". Ale wańkowianie podejrzewali, że nie to było przyczyną. Po prostu nie chciała być pośmiewiskiem wsi. Kiedy opowiadała, że „dziś po bułeczki przyszła die Urene vyn die Post", wiedziano, że to chodzi o małą Irenkę, córkę pocztmistrza, ale z tego przekręconego imienia śmiano się jej prosto w twarz. Albo kiedy mówiła, że „nie poczebuje mieć z Walkerów do zaczynienia", jakiś dowcipniś tłumaczył wszystkim obecnym, że Heineczka nie chce mieć do zaczynienia z Walkerami bo woli mieć do zaczynienia z ...ciastem.

Wańkowianom nie trzeba było więcej. ...Nie chcą tu takich przybłędów, przywłoków. Niech idą skąd przyszli... sarkano. Na szczęście po sezonie Heinechowie wynieśli się gdzie pieprz rośnie, razem ze swymi dziećmi, pluskwami, brudnymi, nigdy nie szorowanymi garnkami. Ona młoda i ładna, zawsze niedomyta, w poplamionej sukni i on, o wiele lat od niej starszy, z długą, lśniącą czarną brodą, powolny i uległy żonie we wszystkim.

Wszystkich tych ludzi (oprócz Heinechów, których już wtedy w Wańkowej nie było), zobaczyła Tereska w komplecie, gdy w lipcu przybyło Temkinom dziecko i kiedy urządzili „chrzciny". Małej cała ta uroczystość nie bardzo się podobała. ...Niedawno u rodziców Jędrzka Undefra urodziło się dziecko, z którym pojechali powozem aż na dół, do kościoła! (Jeszcze nie było sezonu i kaplica zdrojowa była zamknięta). Powozem jechał chrzestny ojciec i chrzestna matka i dziecko w powijakach ze ślicznymi koronkami. Później było przyjęcie, grano, śpiewano, bawiono się wesoło do północy...

A u nich? Ponieważ zabrakło „miniemanów" — w Wańkowej było ich pięciu, tylu ilu mężczyzn: Buck, Bartek, Dym, Ancik i ojciec nowonarodzonej, Abram — (Szloma Bartków miał dopiero 14 lat) więc pozostałych pięciu sprowadzono z Wiszyc, pobliskiego miasteczka, bliżej od Rumanowa leżącego. „Miniemani" pomodlili się przez chwilę (niedługo, może dziesięć minut), potem krzyknęli „lychaim!" „Chawe Sure bas Chane! Ad maje szunym!" Potem złożyli życzenia: „Mazel tow!", „Mazel tow!", „Mazel tow!" ojcu i matce, zjedli trochę lejkechu, napili się wódki i po wszystkim.

Mała Chawcia za to podobała się Teresie bardzo. Z początku — co prawda, była brzydka, troszkę czerwona i łysa, ale później jakoś nagle wyładniała, włoski jej urosły, takie czarne jak u matki i oczy miała takie same, długie i błyszczące... Tylko, że od czasu jej urodzenia, nią, Teresą, przestano się zajmować. Wszyscy myśleli tylko o Chawci: czy już czas ją nakarmić?... A może nie dawać jej dziś mleka, bo znów ma żołądeczek zepsuty?... Chawcia płakała w nocy, Chawci ząbki idą, Chawcia się już śmieje... Chawcia już siedzi... Chawcia... Chawcia... Chawcia....

Ona, Tereska, nic już nie znaczy... Z początku płakała po kątach, że jej nikt nie kocha, ani ojciec, ani matka ...Tylko pani Walkowa ją kocha jeszcze. ...U pani Walkowej przesiadywała Tereska po całych dniach, jadała tam prawie codzień podwieczorki, a nawet nie-

*) Fragment powieści pt. „Zmierzch".

LEOPOLD STAFF

KRĘGI

Widział, zamknąwszy oczy:

Siedzieli dokoła horyzontu,
Gęsto, jak jaskółki na drucie jesienią,
I bliżej, coraz mniejszymi,
Współśrodkowymi kręgami,
Amfiteatralnie, —
Wprzód pochyleni
W pokłonnym podziwie, w zachwycie,
Patrząc przez szkła szmaragdowe
Na niego, który był w środku.
I napiętymi jak struny mosiężne,
Natężonymi spojrzeniami hołdu,
Wydźwigali go w górę,
Wysoko, wysoko,
Aż zawisł pod niebem w powietrzu,
Jak Szymon Słupnik
Bez słupa.

Lecz było zupełnie inaczej:

Siedzieli dokoła horyzontu,
Rzadko, jak krople na drucie w dzień słotny
I bliżej, coraz mniejszymi,
Współśrodkowymi kręgami,
Amfiteatralnie, —
Zwróceni do środka plecami,
Twarzami poza horyzont,
I przez szkła szmaragdowe
Badali rżnięte dukaty,
Czytali ceduły giełdowe
Lub listy miłosne.
I nienapięte,
Wiotkie struny pajęcze bez spojrzeń,
Których nigdy nie było,
Zelżały i puściły tak,
Że on, co był wysoko,
Zapadł się w ziemię,
Jak w wodzie w niej utonął,
Rozbijając ją w kręgi
I leciał na dno, poza dno,
W lej Disa,
Gdzie się zatrzymał u samego końca,
Sterczęc przez otwór głową
Na drugą stronę świata,
W czarną noc nicości.

A w górze dokoła horyzontu,
Anioły i diabły,
Trzymając się za ręce
I wysoko wyrzucając nogami,
Tańczyły wariackim kręgiem
Śmiejąc się do rozpuku.

kiedy kolacje. Pani Walkowa pokazywała jej „drukowane". z panią Walkową była przyjaźń.

Jagusia wybierała się do kościoła.

Był maj, pochmurny, zadeszczony maj, jak zwykle w Wańkowej. Do południa lało jak z cebra, później wypogodziło się nieco. Tak, klimat tu nie był najlżejszy... Dżdżyste lata i jesienie, długie i ciężkie zimy. Jak to na Podkarpaciu... — wzdychali mieszkańcy.

Spojrzała na zegar do naciągania wiszący w pokoju, słabość i dumę Walka. — Czwarta dochodzi, a Walka jeszcze z kopalni nima — mruknęła, chowając mu obiad do rury, żeby miał ciepły, jak przyjdzie... Czego to marudzi dziś tak? Chciała mu jeszcze powiedzieć o liście z Ameryki, żeby se zaraz dziś na poczte po niego poszedł, bo jej listonosz nie chciał wydać, choć przecie żona ślubna jest i we wspólności małżeńskiej żyją, wszyscy wiedzą... Jakieś nowe rozporządzenie takie przyszło, że sobie każdy sam listy zza granicy odbierać ma, bo podobno zdarza się czasami, że żona wybierze dolary z listu mężowskiego, albo mąż z żoninego, i potem szukej wiatru w polu!... Nie przyzna się. „Nie było" i już. Takie to teraz małżeństwa są, takie — myślała ze zgrozą.

Zegar wybił czwartą. Jagusia wsłuchiwała się przez chwilę z lubością w jego jasny, srebrzysty podźwięk... Potem przypomniała sobie, że już czas do kościoła. Nabożeństwo zaczyna się o pół do piątej, nim dojdzie będzie w sam czas. — A Walka jak nie widać tak nie widać... — Ee, na pewno nigdzie nie poszedł! Uspokoiła się sama — Gdzieby zaś! Chłop był porządny, nie pijak, nie dziwkarz... zatrzymała się w połowie pomyślanego zdania. — No, baby to on tam trochę lubił... Przed ślubem Marcyna Tatarzanka, Józka od Szweda, Wikta Borsuczka... Z każdą się żenić miał... A po ślubie tyż się nieroz dał zbałamucić... Może dlatego, że ona, Jagusia, była odeń starsza... A może, że dzieci nie mieli... Westchnęła. Stale miał do niej z tego powodu pretensje. A może i ona temu winna, może... — Choć kto ta wie, czy baba, czy chłop winien... zakonkludowała ostatecznie.

Ubrała się starannie w tę nową brązową spódnicę, co jej uszyła Kaznerka, włożyła czystą kremową bluzkę, suto ozdobioną zakładkami, którą dostała w prezencie od żony Borucha Tymowskiego, stałego gościa wańkowieckiego, szwagra rudego Abrama, na to wdziała nowy żakiet i już chciała opuścić izbę, gdy wzrok jej padł na Tereskę. Dziecko siedziało cichutko pod oknem, oglądało obrazki z nowego kalendarza. Umiało już składać litery, samo się nauczyło, nie wiadomo kiedy i jak. — Takie zmyślne to dziewczę — mówili między sobą Walkowie. — Takie mądre, że jaż!, szkoda tylko, że żydoskie...

Teresa czytała sobie półgłosem. O jednym takim panu dentyście, co plombował zęby i równocześnie dyktował list do narzeczonej i co z tego wyszło. Okropnie śmieszne.

Nagle podniosła głowę i zobaczyła, że Walkowa jej się przygląda, już ubrana do wyjścia. Pewno do kościoła... Ach, jak tam ślicznie! Tereska była tam raz z innymi dziećmi i wróciła olśniona. Kościół ogromny, wysoki, aż przytłaczał ją swą głęboką ciszą i uroczystym, skupionym rozmodleniem obecnych. Zapalone świece,. obrazy, kwiaty, wota, organy grające słodko i podniośle, wszystko to działało na wrażliwą duszę dziecka. — To nie to co bożnica — myślała z pogardą, wyszedłszy. Tam wcale nie było uroczyście. Mała salka u Bartka w domu, mężczyźni w tałesach na ubraniach i twilinach nad czołami, kiwający się nad księgami o tajemniczych i niewiadomych znakach... W kościele całkiem co innego: organy grają, ludzie leżą krzyżem lub klęczą, kajają się, nie kiwają tak jak u Żydów... myślała.

I znów jak po tylekroć, przeniknął ją dojmujący żal, że nie należy do nich, do chrześcijan. Od dawna już nie lubiła Żydów: mówią głośno wszyscy naraz, szwargocą po żydowsku i nie wierzą w Pana Jezusa... — Żyd nie pójdzie do nieba — mówiły dzieci wiejskie. — Bo nie ochrzczony, a kto nie ochrzczony, ten w piekle smażył się będzie...

...Piekło — Tereska ujrzała w wyobraźni ogromny piec, czerwony, buchający ogniem, do którego stale dosypywał paliwa diabeł Lucyper. W tym piecu smażyć się będą nieochrzczeni: i ona i ojciec i matka i mała Chawcia... Wszyscy... wszyscy... I będą płakać i będą zgrzytać zębami... Okropne — wzdrygnęła się.

Po nocach śnił się jej Pan Jezus, rozpięty na krzyżu, lżony i bity przez Żydów. — To Żydzi zamordowali Pana Jezusa — mówiły do niej dzieci po wyjściu z kościoła Marysieczka od Bylicy była najgorsza. Wciąż jej tym dokuczała. — To Żydzi zrobili — a ty tyż jezdeś żydowica...

— Żydowica, żydowica — przezywała ją wciąż, aż Jędrek Undefer ujął się za nią. — Jak żydowica jezd — powiedział — to nie musisz się z niom bawić, a jak się bawisz, to stul morde i ju. — Siepiesz sie? — odparła na to zuchwale Marysieczka. — Siepiesz sie? — Siepie! — To ci kurz oblepie!

Nie powinnaś nawet chodzić do kościoła — powiedziała jeszcze wtedy Marysieczka. To grzych... Czy to naprawde grzych? rozmyślała potem Tereska. Ale nie mogła się oprzeć po-

KAZIMIERA KOSIŃSKA

Przyjaźń

„Cień zmienia się, gdy ku mnie skiniesz ręką.
Bo on nie kłamie!
Nic od ciebie nie chcę — —"

Norwid

Czasem się do mnie z nagła przybliżasz
i znów oddalasz:
jesteś jak wielka, ożywcza cisza,
jak wiatru fala.

I nigdy nie wiem, co twoje kroki
ku mnie przywiodło;
Jesteś, jak lustro wody głębokiej,
jak zmienny obłok.

Czasem twe słowa kwitną przelotnie
na gorzkiej drodze,
i znów, jak przedtem, stoję samotnie,
i znów odchodzę,

bym później, gnana mym niepokojem
ku tobie biegła,

nigdy nie wiedząc, gdzie myśli moje,
czyś je spostrzegła?

Kim jesteś dla mnie? Wiekiem, czy chwilką,
mgłą, albo cieniem?
Nurtem pod ziemią skrytym, czy tylko
moim złudzeniem?

Wzywam cię, chociaż nie ufam tobie
milczącym krzykiem;
twój kształt zamykam w pierzchliwym słowie
widmem muzyki.

Czy kiedyś wzrok twój w mym wzroku spotkam
ciepła zarzewiem?...
Tyś jest samotna i ja samotna:
— Stań mi się śpiewem...

Cel

Po to, bym w słowa mogła przelać
człowieczą troskę, ból i trud,
aby, jak sztandar, wiersz wystrzelał
nad szare dni — i naprzód wiódł;

po to, by słowem, co się żarzy
i płonie — nowy wznosić świat —
aby w nim żyła myśl: towarzysz,
a wraz z nią druga: b r a t,

po to, by nadać moim strofom
dźwięk, którym dudni stal,
aby w nich dzwonił szczęk kilofów
i gwarny ruch fabrycznych hal,

po to dziś śpiewam, — lecz nie muzom,
lirycznym wizjom — i nie sobie;
lecz, aby z ruin, zgliszcz i gruzów
z których powstaje życie nowe,

na których wolność pełnią kwitnie,
dniom nadchodzącym zręby kładąc,
wiersz mój wyrastał — bym w jego rytmie
z tobą szła naprzód, bratnia gromado.

kusie myślenia o kościele i oglądanym tam misterium. Nie mogła zapomnieć słodkiej, natchnionej twarzy Boga chrześcijan.

— Niech mnie pani weźnie także — poprosiła przymilnie. Tam tak ślicznie... Ja tak lubie chodzić do kościoła...

— Ee, gdzie bym cie ta brała... I co byś tam robiła zresztom...

— Pomodliłabym się... Niech mnie pani weźnię, pani Walkowa, dobrze, dobrze? przymilała się Tereska.

Walkowa pomyślała przez chwilę. Może jom i naprawdę wziąć? Przecież to nie żaden grzych, a Panu Jezusowi może jedna duszyczka przybyć... Jak się ta w tym rozmiłuje, to może potem się i nawróci, kiedy dorośnie i do rozumu przyjdzie...

Tereski nie trzeba było przebierać. Zresztą, gdyby ją posłała do domu, żeby ją matka przebrała, zaraz by wyszło na jaw, gdzie idzie... Rudy Abram krzyku by pewnie narobił... A tak pojdzie w tym, w czym jest. — To nie żaden grzech — uspokajała Jagusia swoje sumienie. — Dziecko aż się trzęsie z radości, że do kościoła idzie, tak jom do wiary świenty ciągnie... Mała miała na sobie czystą sukienczynę, Jagusia włożyła jej jeszcze 'adny, niebieski sweterek, w którym przyszła, przerobiony z Chaninego. — Chyba ze dwa miesiące matka go na drutach robiła. Już to nie można powiedzieć, żeby Chana, choć Żydówka, nie była gospodarna i czysta — myślała po drodze. — Schludnie u niej było zawsze, nawet i teraz, choć małe dziecko majom, zawsze pieluszki czyste som, a sama mała Chawcia tyż nigdy kwasem nie śmierdzi, jak dzieci w brudzie trzymane. Jakby nie to, to by przecież rudego Abrama tak długo u siebie nie trzymali... A ta Tereska, to przylepka, jaże szukać...

Wzięła ją za rączkę, ciepłą i miękką. Do kapliczki zdrojowej było niedaleko.

— Pójdziemy bez las — powiedziała do dziecka, skoro doszły do mostu. Bedzie bliżej...

Weszły w las, zielony i chłodny, mokry od niedawnego deszczu. Jagusia z premedytacją nie szła gościńcem: nie chciała, żeby ją wszyscy widzieli z tym dzieckiem, miłym i dobrym, ale zawsze żydowskim. ...Tego jej nikt chyba za złe nie weźmie, że chce duszyczkę nawrócić? rozmyślała niespokojnie. Znała ostre języki wańkowian, ale chyba zrozumiom, dlaczego to robi? Przez chwilę dała się ponieść wątpliwościom. — Ee, gdzieby zaś, uspokajała sama siebie.

Pusto tu było, cicho i mroczno. Raz po raz skrzypnęła pod ich stopami uschła gałązka, leżąca tu jeszcze od jesieni. Tereska dreptała żwawo, uszczęśliwiona perspektywą nabożeństwa.

W kościele siedziała przy Jagusi cicho, niby myszka. Klękała, gdy wszyscy klękali, składała rączki jak i wszyscy; kiedy Walkowa śpiewała litanię do Matki Boskiej, śpiewała z nią razem swoim wysokim, dziecięcym głosikiem.

Jagusi aż serce rosło. Na wszelki wypadek poczekała aż wszyscy wyjdą i nieomal ostatnia opuściła kościół.

Nagle, kiedy się tego najmniej spodziewała, zetknęła się oko w oko z Wiktą Borsuczką, wychodzącą z zakrystii. Jagusię aż zatkało. Zapomniała o niej na śmierć! Prawda, wychodziła zawsze ostatnia, miała się tyż za

co modlić i błagać Boga o przebaczenie, miała! Była to długoletnia księża gospodyni, właścicielka niewielkiego, ale doskonale położonego pensjonatu w zdroju. (Pamiątka od księdza za wierną służbę!) Miały ze sobą na pieńku jeszcze z dawnych lat. O Walka im poszło, miał się żenić z Wiktą, ale za mało mu było morgów, zostawił ją potem i z Jagusią się ożenił. Dawna uraza odżyła, kiedy się ujrzały. Wikta spojrzała i zatrzymała się zdumiona. Rudego Abrama Tereska! Z Jagusią! Za rączkę jom prowadzi jak swoje...

— Coście się to, Walkowa, za niańke do końskiego łba zgodzili? — zagadnęła słodziutko, wymijając ją.

— A juści... A wam pewno żal... Sami byście pewnie poszli, bo swoich dzieci mieć nie możecie, wiadomo dlaczego, to was do cudzych ciągnie — odpowiedziała Jagusia, zdumiona trochę, ale nie tracąca rezonu. Nie darmo, kiedy była panną, miała przydomek „pyskata". Potem to przezwanie poszło jakoś w zapomnienie, ale pyskatość jej została.

Szły przez chwilę w milczeniu. Jagusia, nie ochłonąwszy jeszcze z oburzenia, puściła rączkę Teresy.

— Jeszcze mnie żydowskom niańką okrzykną! mruknęła do siebie. — Taka k . . . a! Mało jej było księdza, tyli szmat czasu z niem żyła, przez nijakiego wstydu, pamiątka jej po niem została, syn osiemnastoletni i dom w zdroju zapisany, a jeszcze se francowatego gościa znalazła, co do Wańkowy chorość jeździł se leczyć i ten jej lepszom pamiątke ostawił! Choć drugi raz za mąż wyszła, ale dzieci nie może mieć, bo jom ten zaraził...

Tereska szła cicho obok niej, zamyślona nad tym co widziała... Marysieczka mówi, że w komunii świentej jezd Pan Jezus... Jak to możliwe, żeby w takim małym opłatku się zmieścił?

— Pani Walkowa — zaczęła.

Ale Jagusia przeżywała po raz wtóry odczutą zniewagę. — Taka francowata k . . . a a porzondnych ludzi — i to gdzie? zaroz przy kościele — zaczepia . . . Przez nijakiego wstydu . . . przez wstydu . . . mruczała do siebie.

— Proszę pani — mówiła Tereska — prawda, że ja już nie Żydówka, bo mnie ksiądz pokropił?

— Oj, pokropił cie, dziecino, pokropił — westchnęła Jagusia. — Jakie to zmyśne! — myślała. Szkoda, że żydowskie Oj, biydneś ty, dziecko, biydne, niechrzczone, zbawienia wiecznego nie osiągniesz, choć cie ksiądz pokropił...

— A kiedy? Bo dziś przecie nie kropił? — spytała.

— A raz byłam z Marysieczkom od Bylicy i inszymi dziećmi na sumie...

Dzień się robił pogodny, niebo się przecierało. Było przed zachodem słońca.

Pierwszy to i ostatni raz zabrała Jagusia Tereskę ze sobą do kościoła. Dał jej też za to Walek, dał! — Wstydu nima z żydzięciem się włóczyć — i to gdzie jeszcze! do kościoła nieochrzczone prowadzić! Słyszane to rzeczy! Nawróci ci się ono, nawróci jak wyrośnie! Tyłek ci pokaże i tyle! — mówił rozsierdzony.

Bo jakże! Ledwie nazajutrz wyszedł na ulicę, a już ten i ów do niego z prześmiechami. — Cóżem słyszał, Waluś, żona ci się za niańke do rudego Abrama zgodziła... Albo: — Ładnieś, Walek, zaawansował — to mówił syn listonosza Wajchla, Leon, co w szkołach był, na uczonego się kierował, ale potem na oczy zachorował i odebrali go. Zawsze się tak ładnie wyrażać lubił. — Aleś zaawansował, żona twoja Tereske Temkinów do kościoła prowadzi za rączkę...

Szczęście miała Jagusia, że jak pierwszym razem tamto przezwanie, tak i to nie przylgnęło do niej na stałe. Trochę ludzie pożartowali, pośmiali się i ucichli. Poszło w zapomnienie. Pan Jezus za jej dobrą intencję nie dał jej na pośmiewisko — myślała.

Ale Tereska z kościoła nie zrezygnowała. Chodziła teraz sama. Nie wiadomo, czy do rudego Abrama to doszło, na pewno nic o tym, jak się Tereska prowadzi nie wiedział, bo jakże? Gdzieby się na to pobożny Żyd zgodził, żeby mu dziecko do kościoła chodziło, chrześcijańskie modlitwy odmawiało, znakiem krzyża świętego się żegnało?

Miałaby też dziewucha za swoje, gdyby się tak dowiedział, miała! Tylko, że jej tej żarliwości religijnej i bez Abramowej interwencji miał przyjść niebawem kres.

Ale to się stało dopiero w jakiś czas po tym wydarzeniu. A stało się tak: Był w Wańkowej kierownik kopalni, długi, chudy, brzydki bardzo, Janusz Pomian Rybieński, ze starej, szlacheckiej rodziny pochodzący. Nazywali go powszechnie „ciężko przystojny". Syn Rybieńskiego, Lucek, dwunastoletni drybias, był największym urwisem w całym zdroju. Ptakom z gniazd wybierał jaja, muchom i owadom na żywo skrzydła wydzierał, motyle chwytał i męczył, koty dręczył za ogony je ciągnąc, słowem, miał w sobie coś z sadysty. Baby mawiały, że „zły duch w nim siedzi". Bachory zwały go „Lucyper", bo Lucyper to był jako żywo. Choć już chłopak był duży i wyrośnięty, lubił bawić się z dziećmi młodszymi od siebie, zwłaszcza z dziewczynkami.

Raz, kiedy u Kaznerów bawili się w chowanego (Kaznerki Antka, listonosza Wajchla Maryna, Naperów spod figury Kazek i mała Tereska Temkin), Lucek, który szukał, pierwszą znalazł Tereskę w kącie stodoły przykucniętą. Zamiast wydać zwyczajny okrzyk: „Teresa szuka", Lucek zachował się bardzo dziwnie. Stał blisko Tereski, zanosiło od niego ropą, jak zwykle. Nic nie mówił, tylko oddychał szybko i usiłował włożyć Teresce rękę pod sukienkę. Przestraszona mała broniła się rozpaczliwie wyczuwając instynktem złe zamiary chłopaka. Kiedy to nic pomogło, rozpłakała się lękliwie i zawodząco. — Nie wrzeszcz tak — syczał wściekły. — A to wstrętny tchórz! Słyszysz? Jesteś tchórzliwa żydowicą, wszystkiego się boisz... Ależ te żydy to tchórze! — mówił ostrym szeptem z bezmierną pogardą, niezrażony ponawiając swój manewr. — Ugryzę ci kawałek czy co? Ciicho, głupia!... krzyknął ze złością widząc, że rozpłakała się na dobre. — A rozpuść ozór, to zobaczysz! — zawołał jeszcze uciekając.

Słychać było czyjeś kroki. Ktoś wchodził do stodoły Była to Kaznerka, matka Antki. — Coście tu robili? — spytała podejrzliwie, ujrzawszy Tereskę, stojącą w kącie z zarumienioną buzią i nieobeschłymi łzami na długich rzęsach. — Ee, nic, bawimy się w chowanego... Ja szukam...

— Teresa szuka! Teresa szuka! — zabrzmiał równocześnie w obejściu tryumfalny okrzyk Lucka.

Tej nocy Tereska długo nie mogła zasnąć. Dlaczego wkładał jej rękę pod sukienkę? Czego od niej chciał? Przygoda z Luckiem napawała ją lękiem i wstydem. Nie wiedziała w jaki sposób postępowanie chłopaka wobec niej było niegodziwe, ale wyczuwała niejasno, że należy go unikać. Zgodnie z jego zakazem ozora nie rozpuściła, nie tyle ze strachu, co ze wstydu. Nie powiedziała o tym nawet Antce, ale Lucyper zapamiętał sobie to zdarzenie.

Było to z końcem lata, pod jesień. Dzień był jeszcze piękny i pogodny, choć w powietrzu już snuł się smętek. Tereska wychodziła z kościoła. Skupiona, jak zawsze po nabożeństwie, nie zauważyła, że krok w krok idzie za nią Lucek. Kiedy już byli na stopniach, Tereska zatrzymała się, żeby poczekać na Antkę (od pewnego czasu obie małe najlepiej się ze sobą czuły). Antka, która tego lata po raz pierwszy przystąpiła do komunii, była dziś do spowiedzi. Tereska była okropnie ciekawa, jak wypadła spowiedź i co ksiądz mówił? Dał jej rozgrzeszenie, czy nie?!

Ludzie przystawali, gawędząc. Mieli czas, była niedziela. Przed Tereską stanął nagle Lucyper. — Powiało znów ropą (smołą) jak z piekła... pomyślała.

— A to co znowu?! — krzyknął na cały głos stając przed nią. — Żydowica w kościele? Wynocha stąd! Żeby mi twoja noga więcej w kościele nie postała! Mało ci, żeście zamordowali Pana Jezusa? Jeszcze będziesz kalać święte miejsce?! Wynocha! — krzyczał zły i rozczerwieniony, podniecając się własnymi słowami. Zaraz utworzył się koło niego tłum gapiów i dzieci.

Tereska stała blada i drżąca pod obstrzałem licznych spojrzeń, wlepionych w nią z ciekawością. Ale się nie rozpłakała. Powoli, z godnością odwróciła się i poczęła biec w stronę domu. Tam, w pewnym dyskretnym domku dała upust swemu żalowi i zranionej ambicji. Płakała gorzko i długo ciężkim, męczącym płaczem dorosłych.

Jadwiga Kozłowska

MIECZYSŁAW PRUSZYŃSKI

Kłopoty błyskawicznej wojny

Pierwsza połowa września 1939. Batalion nasz wycofywał się drogą wśród lasu, gdy nagle nadleciały samoloty. Na rozkaz dowódców żołnierze rozbiegli się w mgnieniu oka i ukryli w cieniu drzew. Tymczasem samoloty pędziły jak szalone nad naszymi głowami, zataczały koła, skręcały w pice, migały jeden za drugim, tuż nad wierzchołkami dębów. Huk, skowyt motorów, rzężenie karabinów maszynowych zamieniły naraz w istne piekło dantejskie ten spokojny jeszcze przed chwilą lasek Podlasia. Byliśmy przekonani, że to cała luftflota Goeringa sprzysięgła się na nasz, Bogu ducha winien, batalion zapasowy. Żołnierze nie ukrywali swego przerażenia: jeden koło mnie objąwszy ramionami pień drzewa, przytulił twarz, jakby chciał znaleźć schron w jego korze. Inny przykucnął za drzewem, twarz pełną zwierzęcego lęku kierując w stronę nieba i pędzących po nim piekielnych maszyn. Gdy sam ochłonąłem z pierwszego strachu i stwierdziłem, że jednak dalej żyję, podbiegłem do dowódcy batalionu, pytając:

— Czy można otworzyć ogień z erkaemów?

Dowódca energicznie zaprotestował:

— Niech Bóg broni. Jeszcze się zdradzimy i wszystkich nas tu wymiotą bombami.

Jeszcze jakąś chwilę trwał nad naszymi głowami ten diabelski harmider, aż nagle rozległ się przeraźliwy huk, od którego zatrzęsła się ziemia i zaraz potem słup gęstego czarnego dymu wzbił się nad lasem. Samoloty odleciały. Znów spokój zapanował nad starymi dębami. Ktoś ruszył w stronę dymu i wołał po chwili radośnie: „Niemiec zleciał, Niemiec się pali". Co za radość, jednego mniej! Aż inny żołnierz znalazł przyniesiony wiatrem, na wpół spalony papierek. Bilet wizytowy. Odczytaliśmy nazwisko polskie, kapitana z toruńskiego pułku lotniczego. Ktoś inny rozpoznał palący się samolot: R. W. D. Stuknąłem się w głowę. Teraz dopiero zrozumiałem co się działo przed chwilą nad naszymi głowami: bitwa powietrzna. Messerschmitty dopadły naszego bezbronnego erwudziaka. Bawiły się nim jak kot z myszą, pastwiły, aż zadźgały. A my zachowaliśmy się jak stado ogłupiałych baranów: nie strzeliliśmy ani razu. A mieliśmy ze trzydzieści karabinów maszynowych. Cóż w tym zresztą dziwnego? Nikt mi przed wojną w czasie ćwiczeń w pułku nie pokazał nigdy sylwetki Messerschmitta. Tym bardziej sylwetek naszych własnych samolotów — były przecież ściśle tajne.

Potem, po skończonej kampanii, w czasie wędrówek przez Polskę, Węgry, Francję, nieraz lotnicy nasi się skarżyli: we wrześniu najwięcej ucierpieliśmy od ognia karabinowego własnych oddziałów.

Czerwiec roku 1940. Niemcy przełamali front, zdobyli Paryż i pędzą na Zachód, by dopaść portów atlantyckich. W bretońskim miasteczku kompania piechoty Brygady Podhalańskiej, stary żołnierz po kampanii norweskiej, otrzymała zadanie wstrzymania Niemców. Burmistrz wyszedł do żołnierzy, zaklina, by nie stawiali barykad: Niemcy i tak miasteczko zdobędą, jeśli spróbujecie go bronić to je przedtem spalą. Szosą płynie nieprzerwana struga cywilnych i wojskowych uchodźców: jadą końmi, autobusami, ciężarówkami, rowerami, czym kto może. Nagle w tym zmotoryzowanym potoku mignęła ciężarówka jedna i druga, a w niej coś jakby mundury „feldgrau". Ktoś krzyknął: Niemcy! Ktoś zaprotestował: Niemożliwe, przecież Francuzi jadą obok, a nikt do nikogo nie strzela! Aż naraz zza ciężarówek wyładowanych francuskimi poilusami wyskoczył motocykl jeden i drugi, a w nim już na pewno Niemcy. Przejechali Francuzi, przejechali Niemcy, a za nimi przewalały się dalej wozy osobowe, ciężarowe, rowery, konie francuskich, belgijskich, holenderskich uchodźców. Front był przerwany raz jeszcze.

Lato roku 1941 w Afryce. W gorące piaski przybyły właśnie oddziały Karpackiej Brygady, na razie stoją w odwodzie Armii Nilu w pustynnej twierdzy Natruh. Rommel baraszkuje o stopięćdziesiąt kilometrów nad granicą Egiptu i Libii. Posłano czwartą hinduską dywizję, elitę wojsk lądowych Brytyjskiego Imperium, by go poskromić. Zmotoryzowana Kolumna Transportowa Brygady (tak obecnie zowie się z angielska intendentura i tabory) dowozi Hindusom pod przełęcz Diabelską amunicję, benzynę, żywność, wodę. Brawo intendenci: oni pierwsi z Polaków zobaczą wojnę w Libii.

Sznur polskich ciężarówek sunie raźnie stepowym szlakiem. Wicher pędzącego samochodu mile chłodzi promienie afrykańskiego żaru. Naprzód, naprzód! Major, dowódca kolumny, dodaje gazu, zdaje mu się, że jest Farysem. „O szalony, gdzie on goni..." Hen, na horyzoncie, na tle szarych burzanów, którymi obrosła tutaj pustynia, czernią się wozy, dziesiątki, setki. Fatamorgana? Nie, to swoi, Hindusi, spragnieni oczekują wody, amunicji, benzyny. Major dodaje gazu, mknie im naprzeciw. W ostatniej chwili tknęła go jakaś zła myśl, bo sygnałem każe się zatrzymać dudniącym za nim wozom. Sam pędzi dalej, zamiast na Hindusów, wpada na... Niemców. Nie ujrzy już słodkiej Aleksandrii, nie zazna rozkoszy Kairu, czeka go ponura niewola do końca wojny.

W czasie pierwszej światówki żołnierz miesiącami siedział jak kret w tej samej ziemiance. Przez cały rok nic się w geografii jego okopu nie zmieniało. Wiedział, że z przodu jest nieprzyjaciel, z boków sąsiedzi, z tyłu latryna. Wojna zmotoryzowana wszystko zmieniła. Teraz, gdy tak swój jak i nieprzyjaciel kotłują się po ziemi i w powietrzu w tempie dziesiątek i setek kilometrów na godzinę, największy kłopot ma żołnierz, by odróżnić swego od wroga.

Grudzień roku 1941. Tragiczna noc pod El Pelhamed. Batalion angielskiej piechoty wsparty dwoma bateriami Dyonu Przeciwpancernego Brygady Karpackiej ma bronić ważnego skrzyżowania traktów pustynnych. Z ciemności na przedpolu dochodzi naraz jakaś wrzawa. Słychać warkot motorów, wołania. W ciemnościach szlakiem pustynnym posuwa się jakaś zmotoryzowana kolumna, sunie wprost na tkwiącą tam na stanowiskach kompanię angielskiej piechoty i polski pluton działek. Żołnierze polscy znają język niemiecki, rozróżniają wyraźnie wśród wrzawy nadciągającej ku nim, niemieckie słowa. Porucznik Kapica biegnie do angielskiego kapitana: „Idą na nas Niemcy!" Ten telefonuje do dowództwa batalionu, skąd go uspokajają: „To Nowozelandczycy dążą wam na pomoc, tylko nie otwórzcie do nich ognia!" Niemcy, bo oni to byli, wykorzystali tę chwilę wahania. Pod osłoną ciemności rozbroili przejścia w polu minowym, i wkrótce przez nie waliły się w nasze pozycje niemieckie czołgi, z łoskotem, hukiem, ziejąc ogniem. Anglicy uciekli. Polacy bronili się tak długo, aż niemieckie czołgi rozjechały stanowiska obu działek.

Bogaty w to doświadczenie wydałem działonowym rozkaz: „Gdy tylko będziecie mieli wątpliwość, czy własny czy wrogi czołg idzie na was — strzelajcie; angielscy czołgiści muszą się nauczyć, by nie wjeżdżać we własną pozycję bez zawiadomienia nas przedtem; zresztą, gdy Anglicy stracą jeden czołg, to wreszcie wyfasują nam lornetki, których dotychczas nie możemy się doprosić". Brak lornetek był dla nas klęską. Dopiero później zdobyliśmy je na Niemcach.

Dwa tygodnie potem. Po bitwie gazalskiej stary plutonowy Hrehorowicz czuje się w swym żywiole: goni uciekających Niemców pełnym gazem swego Morrisa. Mści się za wrzesień, za Wogezy, w których go wzięli do niewoli. Zapomina o szóstym krzyżyku, który dźwiga już na karku, w tym cudownym pędzie samochodu, w tym grudniowym, mroźnym powietrzu, przeżywa raz jeszcze swą młodość. „Panie plutonowy, tam samochód pancerny ucieka" — woła kanonier z obsługi. Już samochód nawraca, już działko, polskiej produkcji Bofors, szczerzy swą zgrabną paszczkę i pluje ogniem. Spudłowali. Dobrze się stało, bo z samochodu ktoś kiwa: swoi, Szkoci. „Dlaczego nie macie znaku dnia, podwójnej chorągiewki na antenowym maszcie?" — gniewa się na Szkotów plutonowy. „Kiedy nam niemiecki pocisk tylko co maszt urwał" — tłumaczą się grzeczni, niedostrzeleni Szkoci.

Luty, 1942. Brygada Karpacka broni pustynnej twierdzy Mekili, zagrożonej nową, trzy dni temu rozpoczętą, ofensywą Rommla. Wraz z dwoma działkami mej baterii jestem na placówce kapitana Zająca. Z wieczora, ze sztabu Brygady przysłano nam przez radio ostrzeżenie: „Samolot własny rozpoznał kolumnę nieprzyjacielską, paręset ciężarówek i ze czterdzieści czołgów, zdążającą traktem wprost na waszą placówkę".

Noc minęła bez wydarzeń, jem spokojnie śniadanie, popijam kawą udo z kury, resztki zdobyczy z okupacji Cyrenajki, gdy nagle ktoś krzyknął: „Czołgi". Już rzucam menażkę z kawą, już jestem przy działku. Przede mną pustynia skamieniała od czasów faraonów, naraz jakby ożyła. Suną nią wielkie, żółte kraby, żółwie. Wyłażą zza fałd terenu wprost przede mną, w prawo, w lewo. Jest ich więcej jak burzanów na tym stepie. Nie ma wątpliwości, czołgi, jakby szum fal, słychać głuchy rytm motorów. Suną przed siebie, wprost na nas, raźnie, pewnie. Mam tylko dwa działka. Strach ściska mi gardło. O Boże, gdyby to był tylko zły sen. Czuję, jak kolana mi miękną, chęć jakaś mnie bierze położyć się na piasku, tym gorącym miękkim piasku, zamknąć oczy, zapomnieć o bożym świecie, nie patrzeć na to, co za chwilę się tu stanie. A czołgi dudnią i mkną ku nam, dudnią i z każdą sekundą są bliżej. Już dzieli nas tylko metrów osiemset, już tylko sześćset.

Podchorąży Kobrzyński, poeta, jakżeż spokojnie wydaje komendę: „Celownik — pięćset, cel — czołg na wprost najbliższy nas..." Ma już powiedzieć: „Ognia", gdy nagle wołam: „Przerwij ogień".

Tak, to są własne czołgi. Anglicy już otworzyli klapy czołgów i kiwają z nich przyjaźnie. Idioci: jadą wprost na pole minowe, które ciągnie się przed placówką. Za chwilę z czołgów pójdą w niebo fajerwerki. Biegnę co siły w nogach na ich spotkanie, staję przed polem minowym, sygnalizuję, wołam rozpaczliwie: „Mines, mines"! Najbliższy czołg wreszcie mnie zrozumiał, skręca gwałtownie aż zaryl się w piasku. Za nim inne. Angielski porucznik z czołgu wyjaśnia: Niedobitki brygady pancernej cofają się przed Rommlem; po rajdzie paruset kilometrów pustynią gonią resztkami benzyny; obawiali się, że w Mekili zastaną Niemców.

W południe sztab nas zawiadomił, że meldunek lotnika z wczorajszego wieczora był mylny. Wziął on własną wycofującą się kolumnę za nieprzyjacielską.

Po raz drugi już Brygada jest pod Gazalą. Teraz bronimy tych stanowisk, które zdobywaliśmy dwa miesiące temu. Rommel wciąż prze naprzód, ale tu dowódca 8-ej Armii postanowił go zatrzymać. Przygotowujemy więc obronę na tym dobrze nam znanym i dobrze krwią polską zroszonym kawałku pustyni. My pod Gazalą, w prawo od nas, aż do Śródziemnego Morza Południowi Afrykanie, pierwsza ich dywizja, starzy znajomi z Marsa Matruh; w lewo, pod Bir Hakeim Wolni Francuzi, pierwsza ich brygada pod dowództwem Koeniga. Trzon obrony w pustyni jak zwykle stanowią działka przeciwpancerne. Przygotowujemy więc powiązania ognia, oceniamy pola obstrzału, odmierzamy odległości w terenie, na kierunkach, skąd najprawdopodobniej wyjadą nieprzyjacielskie czołgi. Trudno jest nawet naszym zeissowskim, zdobytym pod El Belhamed dalmierzem, wymierzyć odległości w pustyni — brak jest tu bowiem punktów charakterystycznych, jak drzewa, domy, krzaki. Na szczęście po przedpolu walają się kadłuby pogruchotanych w czasie grudniowej bitwy czołgów, trupy popalonych wozów. Wymierzamy więc do nich odległości, działanowi nanoszą je na szkicach ogniowych. Naraz co się dzieje: angielskie ciągniki zajeżdżają na przedpole i odwożą gdzieś do przodu te pogruchotane wozy. Protestujemy. Bezskutecznie. Anglicy wyjaśniają, że mają rozkaz od generała zgrupować na przedpolu te pogruchotane graty, by tam pozorowały naszą pozycję główną, wprowadzając w błąd nacierające oddziały Rommla. Machnęliśmy ręką, niech się Anglicy bawią, skoro mają czas. Aż dwa dni potem nadleciało ze dwadzieścia niemieckich bombowców, krążą nad pozycją brygady. Już przylgnęliśmy do piasku, przekonani, że za chwilę na nasze głowy luną bomby, gdy nagle ujrzeliśmy, jak Dorniery jeden za drugim grzecznie zrzucają bomby na zgrupowanie pogruchotanych wozów na przedpolu. Obserwując fontanny dymu i kurzu tryskające na kilkadziesiąt metrów w górę, oddawaliśmy w sercu hołd przemyślności Anglików.

Pojedynek w pustyni. Jestem na patrolu w no men's landzie. Patrol jest nowoczesny, zmotoryzowany. Mam działko wmontowane na samochodzie. Przede mną wśród pagórków pustyni ukrywają się Niemcy, też wybrali się na patrol w teren bezpański. Dowcip polega na tym, aby podjechać do nich ukradkiem, jakąś dolinką wśród pagórków, na odległość celnego strzału, i znienacka do nich otworzyć ogień, potem znów szybko schować się za fałdą terenu i zaskoczyć ich z przeciwnego kierunku. Zajechaliśmy właśnie Niemców zgrabnie, już mieliśmy otworzyć ogień, gdy nagle widzę, że nasz cel to stary znajomy: angielska lora z wmontowanym na niej charakterystycznym angielskim dwufuntowym działkiem. Jakżeż strzelać do swoich? To pewnie Południowi Afrykanie, wyjechali w no men's land tak jak my zapolować przed lunchem na Niemców. Tymczasem jak nie świśnie nam coś nad uchem raz i drugi, jak nie huknie, nie błyśnie — ledwie zdołaliśmy schować się za zboczem górki. Co się stało? Naprzeciw nas nie byli Afrykanie, ale po prostu Niemcy, posługujący się angielskim zdobycznym działkiem. A my właśnie mieliśmy niemieckiego Brauna. Aż miałem ochotę krzyknąć na Niemców za górką, zaproponować im wymianę zdobycznego sprzętu: skończyłyby się wzajemne kłopoty z zaopatrywaniem w nieprzyjacielską amunicję.

Na Dalekim Wschodzie Anglicy i Amerykanie odnoszą klęskę za klęską. RAF wycofał z Libii znaczną część samolotów, kierując je do zagrożonego Singapoore. Toteż oddziały 8-ej armii, pozbawione lotnictwa, są teraz narażone na bezkarne raidy bombowców niemieckich. Dzień po dniu odwiedzają nas Junkersy i Messerschmitty. Mam wrażenie, że cały dzień bez przerwy brzęczą po niebie niemieckie maszyny i spuszczają nam bombki na głowy. Wreszcie koło wieczora, gdy zasiadamy przy ognisku do kolacji, mając nadzieję, że Niemcy dadzą nam już na dziś spokój, znów słychać warkot maszyny. O tam, dość nisko leci, pewnie już postrzelona.

Dalejże ją wykończyć, jedyna okazja. I już za chwilę setki erkaemów brygady kropią do znienawidzonego intruza. Kto by się tam nawet poważył przypuścić, że to maszyna własna, wszyscy by go wyśmiali, od trzech dni barw RAFu nie widziało się już na libijskim niebie, a tylko czarne niemieckie krzyże. Tak, maszyna wyraźnie dostała, już tam przymusowo ląduje, gdzieś koło stanowisk Francuzów. Hurra, korned beef jakżeż lepiej smakuje teraz, humory się wszystkim poprawiły, Szef się pyta, czyby nie wypić z tej okazji resztki włoskiego koniaku? Aż dwie godziny potem sygnalizują ze sztabu: ostrzelaliście własnego Hurricana. Na drugi dzień historia się powtórzy, tylko że dla odmiany Francuzi postrzelą własny samolot, a będą zwalać winę na Polaków.

Trzy miesiące potem pod tymże Bir Hakeim siedemdziesiąt czołgów nieprzyjacielskich przypuszcza atak na pozycje francuskiej brygady: tego bowiem dnia 27 maja 1942 Rommel rozpoczyna swoją ostatnią ofensywę afrykańską, ofensywę, która doprowadzi go do wrót Aleksandrii i Kairu. Wolni Francuzi z brawurą odparli jednak ten pierwszy atak czołgów. Wieczorem jakaś długa kolumna ciężarowych wozów zbliża się pewna siebie do pozycji francuskich: oczywiście Anglicy, wiozą zaopatrzenie. Francuzi wybiegają naprzeciw, wskazują przejazd przez pola minowe,

MALARSTWO FRANCUSKIE

PIERRE BONNARD — **Martwa natura z cytryną**, olej (1941)

nagle obustronne zdziwienie: w ciężarówkach siedzą Włosi! Tak, cała kolumna jest nieprzyjacielska. Kwatermistrz włoski jest prawdziwie zdumiony: według planu ofensywy Rommla, Bir Hakeim miał paść dnia tego w południe.

Przeniosłem się do lotnictwa i znalazłem się na wyspach brytyjskich. W Blackpool, na dancingu, bawiło się kilkunastu lotników polskich na urlopach z dywizjonów. Ktoś mi wskazał wesoło bawiącego się pilota, mówiąc: ten to się wykazał w czasie tej wojny, wyprawił na tamten świat pół tuzina brygadierów sprzymierzonych. Otworzyłem usta ze zdumienia... Jak to, w jaki sposób? Bardzo po prostu. Był na patrolu bojowym nad wybrzeżem. W chmurach dostrzegł samolot, nie mógł go dokładnie rozpoznać, widoczność była słaba, zameldował przez radio kontroli naziemnej. Odpowiedziano: to nieprzyjaciel, strzelaj. Puścił serię jedną i drugą, samolot w płomieniach spadał w dół, znikł w chmurach. Potem się okazało, że to nie był bombowiec niemiecki, ale własna maszyna, którą podróżowała do Anglii komisja międzyaliancka.

Nic też dziwnego, że w okresie całego szkolenia w RAFie, nie dawano nam chwili spokoju bez nauki recognition czyli rozpoznawania samolotów. O ile w czasie mej przedwrześniowej służby wojskowej w Polsce oraz w czasie wojny w brygadach Podhalańskiej i Karpackiej nikt nigdy nie pokazał mi sylwetki własnego czy nieprzyjacielskiego samolotu, to w szkołach RAFu bez przerwy miało się je przed oczami. Malowano je na kartach do gry, wyświetlano na specjalnych seansach filmowych, sylwetki Messerschmittów i Dornierów wisiały nawet w klozetach. Poza tym uczono nas rozpoznawania czołgów i okrętów. W czasie egzaminu ustawiano przed nami modele wszystkich okrętów wojennych świata: pancerników amerykańskich i angielskich, krążowników niemieckich i włoskich, łodzi podwodnych japońskich i polskich, i trzeba było je wszystkie rozpoznać. Niewypowiedziane to były męczarnie dla mnie, który mam antytalent do poznawania nawet znajomych na ulicy. Przed końcowym egzaminem zawarliśmy spółkę: każdy z nas miał się nauczyć jakiejś specjalnej grupy okrętów, i potem w czasie egzaminu miał je innym sygnalizować. Ustaliliśmy, że za każdy okręt jego grupy, którego nie zdoła rozpoznać, wypłaci pozostałym wspólnikom odszkodowanie po dolarze od okrętu na głowę. To nas miało zachęcić do nauki. Mnie przydzielono lotniskowce, jako że są jeszcze najłatwiejsze do rozpoznawania, mimo to za moje dolary koledzy spędzili co najmniej jeden week-end.

Czy nauka ta na wiele się przydała? Niewątpliwie. Niemniej, gdy tylko rozpoczęła się inwazja Europy, zaraz doszły nas paniczne wiadomości. W Normandii ciężkie bombowce RAFu miały zbombardować pozycje Niemców, na które Polacy i Kanadyjczycy mieli nacierać. Wszystko szło dobrze, nasi zacierali ręce z radości, obserwując jak przed nimi słupy ognia i dymu wznosiły się z pozycji niemieckich. Nagle żołnierze zobaczyli, że z pierwszego bombowca nowej nadciągającej fali coś czarnego się urywa i leci na nich: bomby. Nie zdążyli upaść na ziemię, a tu grad bomb wybucha już wkoło nich. Czołgi się palą, ranni jęczą, idą telefony do dowództwa, sygnały, radio, wszystko za późno, jeszcze następna fala bombowców widzi wybuchy. Kładzie koło nich swe bomby. Zwłaszcza Kanadyjczycy ponieśli wtedy ciężkie straty. Potem znów kogoś zbombardowali Amerykanie. Armia lądowa była oburzona — wolimy w ogóle nie mieć wsparcia lotniczego, jeśli część własnych bomb ma spadać nam na głowę! Sprawa dostała się na łamy prasy. Opinia publiczna domagała się wyjaśnień. Armia lądowa nie pozostawała lotnictwu dłużna. Gdy zimą 1945 roku zjawiałem się po operacyjnym locie w sali przesłuchiwania załóg, niemal nocy nie było, by któraś załoga nie meldowała ostrzelania przez własną artylerię. Zwłaszcza obawialiśmy się artylerii amerykańskiej, która miała opinię nie tylko najbardziej nowoczesnej, ale i walącej bez różnicy do każdego samolotu, który się zjawił w jej zasięgu. Toteż bardziej obawialiśmy się jej aniżeli nawet niemieckiej.

Na wiosnę tego roku dowództwo 21 Grupy Armij brytyjskich wpadło na doskonały pomysł: by lotnicy odwiedzali swych kolegów z armii lądowej, a żołnierze z pułków pancernych odbywali staże parodniowe w dywizjonach lotniczych. Nasz dywizjon stacjonował wtedy w północnej Francji, a dywizja Maczka na froncie w Holandii. Z punktu widzenia turystyki zarządzenia Montgomerego było szczęśliwe. Cóż to była za przyjemność, zamiast latać nocami nad Niemcy, wsiąść do samochodu i puścić się w pięciodniowy wojaż przez tętniącą życiem tyłów Brukselę, dojechać do krainy wiatraków i pól tulipanowych, pozalewanych zresztą wtedy przez Niemców wodą, odwiedzić starych przyjaciół w naszej walecznej dywizji. Ujrzawszy tam mundury lotników, przyjmowano nas zresztą wymyślaniami: to wy jesteście te dranie, co nas tak stale bombardują? Odpowiadaliśmy niewinnie: przeciwnie, to wy zawsze do nas kropicie. Po czym dyskusje na temat, kto komu większe krzywdy wyrządza, topiły się w morzu wspólnie wypitej holenderskiej i belgijskiej wódy.

Innym razem tejże wiosny mieliśmy w dywizjonie wieczór wolny i pojechaliśmy na kolację do francuskiego kupca win z sąsiedztwa, wielkiego naszego przyjaciela. Kolacje dawał wyśmienite, jak za najlepszych przedwojennych czasów. Raczył nas tuzinem gatunków aperitifów, win, likierów, koniaków. Przy wetach nasz francuski gospodarz zapytał nieśmiało: dlaczego wasi koledzy zbombardowali trzy dni temu Calais? Potem do dywizjonu nadeszło wyjaśnienie tej zagadki. Grupa szkolących się w Anglii załóg otrzymała za zadanie użyć zamiast strzelnicy miasto Dunkierkę, w której bronili się jeszcze Niemcy. Były chmury, nawigator prowadzącego samolotu się pomylił, zrzucił bombę na sąsiednie Calais. Inne bombowce poszły za jego przykładem. Dowódca niefortunnej wyprawy poszedł pod sąd polowy.

Najwięcej baliśmy się własnych okrętów. Do takiego pancernika samolot własny nie ma prawa podlecieć na odległość mniejszą niż 10 kilometrów, bo pancernik ma prawo strzelać do każdego samolotu, który na tę odległość doń się zbliży. A w nocy, gdy się z Anglii latało nad Morzem Północnym nad Niemcy, jakżeż łatwo było napatoczyć się na własny konwój, prujący z zaopatrzeniem do Antwerpii. A perspektywa kąpieli jesienną nocą w zimnych falach Morza Północnego jakżeż była ponura. Spotkałem wtedy na urlopie w Londynie dzielnego oficera naszej marynarki wojennej i przy drinku wyrzucałem mu gorzko tak nieprzyjazne odnoszenie się marynarki do lotnictwa. A ten mi na to odpowiedział: „No dobrze, ale czy wiesz, że parę tygodni temu Tajfun nad Morzem Śródziemnym się pomylił i przypikował na nasz kontrtorpedowiec, spuścił bomby — okręt w ciągu kwadransa poszedł na dno. Wszystkie okręty sprzymierzone na Morzu Śródziemnym otrzymały wtedy rozkaz pomalowania w ciągu dwudziestu czterech godzin swych kominów na czerwono. Czy się dziwisz, że strzelamy do zbliżających się do nas samolotów? Lepiej niech zginie kilku ludzi z załogi samolotu, aniżeli paruset ludzi załogi okrętu".

Parę miesięcy po zakończeniu wojny z Niemcami, na lotnisku brukselskim, w towarzystwie pilota z polskiego Spitfire'owskiego Skrzydła, oczekiwałem na mający przylecieć po nas samolot. Wylegiwaliśmy się na trawie w gorącym słońcu i mój towarzysz opowiedział mi w pewnej chwili taką historię. „W czasie inwazji Normandii, któregoś dnia zaalarmowano dwa Skrzydła, nasze i brytyjskie, Tajfunów wiadomością, że okręty nieprzyjacielskie wypłynęły z portu Calais. Wzbiliśmy się w powietrze i niezadługo odnaleźliśmy na falach Kanału tę okręty. Było ich trzy. Mieliśmy wrażenie, że są to okręty brytyjskie. Dowódca drogą radiową podzielił się swym wnioskiem z kontrolą naziemną. Kontrola odpowiedziała: wykluczone, są to okręty nieprzyjacielskie, atakujcie. Dowódca brytyjskich Tajfunów upierał się jednak: to są okręty własne Ukryty gdzieś daleko w Anglii czy Normandii oficer z „flyin control" złośliwie zauważył: aha, cierpnie wam skóra, rozumiem.. To wystarczyło pilotowi myśliwskiemu. Po chwili już Tajfuny spływały z nieba na morze, spadły bomby, gdy fontanny wody opadły, dojrzeliśmy, jak jeden okręt, przewrócony na bok, tonął. Teraz nasze Spitfire'y w ostrej pice spłynęły na pozostałe dwa. Przelecieliśmy nad masztami, ogniem karabinów i działek wymiatając pokłady okrętów. Coś nam w pędzie mignęło: tak, nie było wątpliwości, flaga brytyjska na maszcie. Ale już było za późno: i drugi okręt tonął. A trzeci, gdy dopłynął do brytyjskiego portu, miał na swym pokładzie stu trzydziestu rannych. Kapitan okrętu nie tail swego podziwu dla skuteczności walki lotnictwa z okrętami, przed składającymi mu potem wyrazy współczucia lotnikami.

•

Takie to były kłopoty błyskawicznej wojny. Przyszła wojna, atomowa, przyniesie z sobą znacznie większe niebezpieczeństwa: uczeni w czasie rozkładania atomów się pomylą i cała kula ziemska się rozleci.

Mieczysław Pruszyński

TADEUSZ RÓŻEWICZ

WYROK

Czekałem na Emila. W niskim pokoju było ciemno, tylko przez okno padał na ścianę prostokąt światła, przełamany czarnym krzyżem okiennej ramy. Prostokąt podnosił się i opadał, posłuszny znakom lampy, którą rozkołysał na ulicy wiatr. Umówiona godzina minęła. Emil znów nie przyszedł.

— Może nie wydębił jeszcze tego Visa — myślałem — a jutro ostatni dzień, jeśli jutro się nie uda, trzeba wracać do oddziału...

Światła nie zapalałem. Czytać mi się nie chciało, pisać też — pisać... o czym, do kogo? Przyglądałem się ptaszkom na tapecie i liczyłem ile ich siedzi w jasnej, prostokątnej klatce światła, ale ptaszki wymykały się z klatki i ciągle myliłem liczbę. Powtarzałem bezmyślnie dawno słyszany wierszyk:

„Ecie pecie na tapecie
na tapecie ecie pecie".

Powtarzałem sobie ten wierszyk, plątałem jego bezsensowne słowa — nie liczyłem godzin, które wybijał ścienny zegar ukryty w mroku. Myśleć! O czym myśleć... Emil, Emil...

Nagle zabrzęczała szyba, w oknie zarysował się ciemny kształt kobiecej głowy. Szamocąc się z zasuwkami, łańcuchem i haczykiem, otwierałem drzwi. To Ludwika przyszła z różańca.

— Co ty, Gustaw, spałeś? O mało szyby nie wybiłam! — wykrzykiwała.

Zasłoniłem okno i zapaliłem światło. Ludwika uśmiechnięta mrużyła wielkie, modre oczy. Cała okryta była nikłą siatką deszczu, który srebrzył się na czarnym palcie, chustce, włosach i drżał na wywiniętych rzęsach.

— Będziemy gotowali kolację — powiedziała i w mieszkaniu zrobiło się zaraz jakoś milej i przytulniej.

— Ludwiko, czy ta świnia przyjdzie czy nie, co?

— Akurat, przyjdzie! Za tydzień, dwa. Już ja go znam, nie masz co czekać dzisiaj...

— No to wyjdę, bo mnie głowa boli, cały dzień w chałupie.

— Gdzie ty znów, przecież cię zobaczą...

— O, zobaczą, zobaczą! Ciemno, a zresztą gwiżdżę.

— Ale weź parasol, Gustaw!

— Co mi po parasolu, daj spokój.

— Weź, mówię, co to za chłopaczysko, deszcz pada.

— Deszcz, deszcz. „Kapuśniaczek se siąpi", jak mawiał mój polonista, nie deszcz. Żebyś ty dziewczyno wiedziała, ile wody nalało mi się za kołnierz, to...

— No, masz i uciekaj, wy wszyscy jesteście ważni a potem stękacie, Marysiu, Kasiu, Zosiu kłuje mnie, boli mnie... tylko zaraz przychodź, bo kolacja.

W ciemności, rozpuszczone w gęstym, lazurowym deszczu tliły nieliczne gazowe lampy. Ślepe fasady domów z szeregami wygaszonych okien przesuwały się w blasku dalekich reflektorów, które obmacywały nieprzeniknioną bryłę jesiennego wieczoru. Pod ścianami domów przemykali spłoszeni przechodnie. Kiedy zbliżyłem się do starostwa, z bramy wyszło dwoje ludzi. Poznałem ich, to był mój dawny szef Słupnik i „frojlajn" Larisch; ona stawiała szerokie, marynarskie kroki, Słupnik drobił obok jak mały piesek.

— Kopę lat, pomyślałem, przecież to już rok, jak opuściłem „Kreishauptmannschaft", a z pół roku od naszej wizyty na ulicy Zielonej, ciekawe czy „szef" ma jeszcze ślady na d...e... ale co z tym naszym? Zresztą niech się Emil o niego martwi.

Zatrzymałem się na rogu, koło słupa, było na nim pełno kolorowych ogłoszeń. Kino „Metropol" reklamowało jakiś film z Paulą Wessely „nur für Deutsche", pod tym afiszem wisiał biały, prosty „Bekanntmachung" wyższego dowódcy SS i policji o rozstrzelaniu dziesięciu zakładników, obok tłustymi literami były wydrukowane nazwiska dziesięciu dalszych zakładników, którzy „zostaną rozstrzelani w wypadku powtórzenia się zamachów na życie i mienie członków SS i policji, obywateli Rzeszy i państw sprzymierzonych oraz osób pozostających pod opieką władzy niemieckiej". Na tej liście znajdował się też Marek. Jeśli nam się jutro uda, to ci wszyscy... kaput... szkoda ludzi.

Zawróciłem do domu. Przeszedłem szybko koło pustego parku. W jego chłodnym, mrocznym wnętrzu wył jesienny wiatr, na środku stała samotna, kamienna figura, od której uciekały ptaki i liście lata, w głębi powstało i przeminęło wspomnienie sztubackich spacerów... to było tak niedawno, można jeszcze dłonią wykryć na ławkach blizny po wyrytych sercach, literach i strzałach.

Wiatr się wzmagał, biegłem rozpryskując wodę i potrącając przechodniów; chciałem być w domu. W taki psi czas, kiedy buty opuchłe od wody piszczą a mokre nagie drzewa drżą i skrzypią żałośnie, ludzie uciekają do domów spłoszeni i nastroszeni jak dzikie koty. Dobrze jest wtedy pomyśleć, że w ciepłym, widnym mieszkaniu czeka uśmiechnięta dziewczyna, talerz zupy i herbata, taka, co parzy język i podniebienie.

Stuknąłem we drzwi, tak niedbale, ze dwa razy butem. Drzwi się otwierają a Ludwika stoi blada z przymkniętymi oczami.

— Och, ty wariacie — trzepnęła mnie po głowie ścierką — kto tak puka do porządnego domu, ty dziku, tak się... oo, co się tak uśmiechasz, właśnie wcale się nie boję — pokazała mi różowy język.

— Emila nie było?

— Oczywiście, że nie. Jak ja mówię za tydzień, to za tydzień. Zrobiłam kopytek z marmoladą, zdaje mi się, że lubisz?

— Tak, tak — mruknąłem niewyraźnie, myśląc ze zgrozą o czubatym talerzu klejących się klusek.

Po kolacji Ludwika zmywała a ja usiadłem blisko kuchni i zacząłem czytać. Ludwika nie dawała mi spokoju, koniecznie chciała, żeby czytać głośno, że ona też chce posłuchać. Trochę przeszkadzał mi szczęk zmywanych statków, ale czytałem. Były to wiersze.

Kiedy przerwałem, Ludwika spytała patrząc przed siebie:

— A ty, Gustaw, nie piszesz teraz?

— Hm, bo ja wiem, dziewczyno.

— Jak to, przecież ty takie ładne wiersze dla Dziuni pisałeś, pamiętam.

— Piszę, piszę, może posłuchasz. Mój ostatni utwór liryczny:

„Moja mamo daj mnie za mąż
albo..."

— Przecież to nie twoje — krzyknęła — ja to znam!

— Znasz? Aa, to ciekawe...

— O, wy wszyscy jesteście świńtuchy a ty najgorszy i to poeta — wydęła pogardliwie usta.

— Ee, jaki ja tam poeta, zwyczajny jędruś jestem. Inter arma silent Musae, co w przekładzie...

— No, wiesz! Przecież jestem maturzystką. Och, Gustaw, zabierz mnie z sobą! Zabierz, będę się biła jak każdy, będę wam prała, gotowała...

— Taak, ciebie tam tylko brakuje. Będziesz prała, gotowała...

— No, co się tak uśmiechasz, Boże, dlaczego ja jestem kobietą?!

— Ta znów swoje! Uśmiecham się, bo z tym praniem to kłopot, brak pralki, rozumiesz? Zresztą da ci Marek las, tylko wyjdzie...

Twarz Ludwiki zmierzchła, kiedy wspomniałem imię jej chłopca. Uśmiech wykrzywił się w dziecinną, smutną podkówkę płaczu. Zacząłem mówić szybko, z ożywieniem.

— Pewnie, kto by tam nie chciał iść. Las zielony, niebo niebieskie, w nocy gwiazdy. Swoboda. Ja wprawdzie, przedstawiałem sobie to wszystko inaczej. Zdawało mi się, że tam będzie bardzo romantycznie, panny mówią „ślicznie, cudownie, zachwycająco", zdawało mi się, że będę żył w jakimś uniesieniu, nastroju, czy ja wiem... romantyzm... niektórym ludziom zdaje się, że człowiek przed śmiercią, na dzień czy na godzinę przed śmiercią, robi jakieś ceregiele i wielkie historie, rekolekcje, rachunek sumienia, diabli wiedzą co. My jesteśmy ciągle o dzień, o godzinę odgrodzeni od śmierci, wiemy o tym. Ale co się dzieje? Gość, mimo tak bliskiego sąsiedztwa śmierci, opala sobie pępek na słońcu, użera się o repetę, patrzy jak obłoki płyną po niebie i plecie o wódzi i dziudzi, a dziudzia to Ludwika, albo inna Marysia. Śmierć mało waży. Wszystko wygląda inaczej. Rozczarowałem się, Ludwiko, rozpaczałem nawet — bo to widzisz o te „ideały" chodziło. Było, było i nagle nic. Co tam! Kiedy bractwo urżnęło się, albo kiedy kucharz Szydełko skręcił sto litrów gorzelniaka, albo, że jakiś inny skradł koszule i skóry, robiłem z tego wielkie „hallo" i tragedię, a przecież to takie proste, że muszą być świnie, prawda? Raz się nawet popłakałem nad sobą i nad wszystkim. Teraz minęło. Jestem starszy, rozsądniejszy. Wiadomo, człowiek im starszy, tym większe bydlę, tak jakoś już jest. Ale to wszystko bzdury, Ludwiko! Tam w lesie jest swoboda — rozumiesz, swoboda! I dlatego tam siedzę.

Nim poszedłem do lasu, pracowałem okrągły rok w starostwie, „Kreishauptmannschaft", jako praktykant przy kierowniku urzędu mieszkaniowego. Jeśli będziesz przechodziła tamtędy, przyjrzyj się dokładnie budynkowi. Wysoki parkan, kłęby kolczastego drutu, w oknach kraty, przed żelazną bramą wartownik, czasem dwóch. W drzwiach wejściowych jest okienko-judasz, można przez nie oglądać interesantów. W dni przyjęć stoją przed bramą długie, cierpliwe ogonki. Przyglądałem się tym ogonkom, ludzie z dnia na dzień stawali się niewolnikami. Ach, tak, to można było zaobserwować! Dowódcą Sonderdienstu jest Scharführer Mörder, ładnie mu dobrali nazwisko, znasz przecież to czarne bydlę? Scharführer uważał, że zawsze i wszędzie musi być „Ordnung" a szczególnie w kolejce.

Patrzę raz, przez okno; Mörder się wścieka i wyje a ludziska stoją. Stado. Przyskoczył do jakiegoś pana i zaczął go walić pięścią po głowie, ta siwa głowa latała śmiesznie jak u pajaca, stary pan stał wyprostowany i ręce trzymał przy sobie, kiedy Mörder przestał, stary pochylił się i podniósł kapelusz. Stał w ogonku z odkrytą głową, ocierał sobie twarz chusteczką. Jakaś dziewczyna z czerwonymi wargami uśmiechała się do Mördera i wierciła na pięcie, dostała w czerwoną, tłustą twarz i stała teraz z otwartymi ustami.

Za jakąś godzinę przyszedł do nas Mörder, częstował jak zawsze papierosami „Schmale-Flaskie", jak zawsze wziąłem, podziękowałem

i zapaliłem. A później, kiedy byłem u siebie w domu, kiedy byłem sam, wieczorem...

O czym to ja zacząłem, Ludwiko, o naszym biurze? A więc pracowałem rok. Miałem na biurku kartotekę, w której było kilkaset kart pokratkowanych, wpisywało się tam ładnym, wyraźnym pismem cyferki: wpłaty, wypłaty. Mój szef nazywał się Józef Słupnik, Ślązak z Rudy, jeszcze młody człowiek. Wtajemniczał mnie, widzisz, w arkana biurowej pracy. Stały u nas dwie wielkie szafy pełne papierów „Wohnungsamtu", w tych papierach grzebał się Słupnik od ósmej rano do piątej po południu. Klatkę piersiową miał płaską i wklęsłą, cerę żółtą. Równy, pedantyczny przedziałek na głowie wyglądał jak jakaś rubryka, ani jeden włos nie mącił tej nieskazitelnej linijki. Zacierał ciągle ręce i mówił cichym głosem. Ten ci, mój szef, Słupnik, uczył mnie na swój sposób życia. Nad sobą miał też szefa, Reichsdeutscha Maksa Kohnera, siedemdziesięcioletniego staruszka, który bardzo lubił pić „wodka". Słupnik nie chodził zwyczajnie, tak jak człowiek, on się skręcał i rozkręcał jak glista, albo przemykał korytarzem przyciśnięty do ściany; do gabinetu starego Kohnera nie wchodził, wślizgiwał się i wyślizgiwał jak szczeżuja przez szparę w muszli i zaczajony, czekał przy drzwiach na chrząknięcie starego. Przegięty, podsuwał Kohnerowi papiery do podpisu, oczy miał wtedy zawsze przymknięte. Wstrząsał się cały, kiedy czasem powiedziałem coś głosem normalnym, donośnym. Szyję miał cienką z rozlataną grdyką; trochę podobny do zbitego psa, Słupnik nosił na niej jakby niewidzialną obrożę. Kłaniał się wszystkim, począwszy od wartownika, który stał przed starostwem i woźnego Gonery, aż do „pana Kreishauptmanna", który unosił się nad głową Słupnika jak chmura i Bóg.

Ludwiko, jak on się kłania i składa przy ukłonie! Już za to powinien wisieć! Kłania się? Zrywa z głowy kapelusz i mówi „Guten Tag" albo „Morgen" i tak wygląda, jakby wysmarował się cały wazeliną, wypomadowany łebek lśni i przedziałek, ten cholerny przedziałek...

Na drugim końcu naszego korytarza była „Funkstelle", jeszcze teraz obsługuje ją ruda „frojlajn" Larisch. Chodziłem tam do niej często, do tej frojlajn i flirtowałem na zabój. No, a przy tym miałem okazję obejrzeć aparat, czasem coś posłuchać, pokręcić. Bawiłem się niewinnie, zresztą prosił mnie o to Emil. Moje jasne oczy i dziecięca naiwność podobały się rudej, nazywała mnie czasem „Wunderkind". Była biała, miała wielki biust, ruchy krowy i pochodziła z Bawarii.

W tym czasie Mörder zaglądał do nas bardzo często. Po likwidacji ghetta pozostało wiele mieszkań i mebli „pożydowskich", Mörder prowadził teraz różne handle i kombinacje mieszkaniowe, stąd jego częste wizyty w Wohnungsamcie. Słupnik w obecności Mördera zamierał, mnie też robiło się jakoś głupio i nieprzyjemnie, nie podnosiłem głowy i z podejrzaną pilnością wpisywałem do kartoteki cyfry. Mörder podobno rozwalił w ghetcie własnoręcznie stu Żydów, teraz zajmuje się Polakami. Kiedy wchodził do nas, mówił głośno z naciskiem „Heil Hitla". Słupnik mlimlał coś w gębie, jakby „heil", ale z gardła wydobywały się śmieszne, zduszone piski. Nieraz rzuciłem okiem na ręce mordercy, miał ładnie utrzymane paznokcie, bodaj czy nie pociągnięte różowym lakierem. Tak... różowym... blado-różowym... o czym to ja zacząłem, Ludwiko? Aha, o tym „heil Hitla". Odpowiedziałem mu na to kiedyś głośno, po polsku: „Do widzenia panu", Słupnik przysiadł na krześle, porażony moim głosem, a Mörder wyszedł, nawet nie spojrzał. Zresztą na kogo? Na pluskwy? Było wtedy źle, świat zaciskał się dokoła jak pętla. No, tak, teraz jest jeszcze gorzej, wiem o tym. Ale ja opowiadam ci o sobie, dla mnie teraz świat swobodny, szeroki.

Słupnik pisywał listy do Rudy, do swojej żony. Często odnosiłem mu te listy na pocztę. Zaczął się teraz podpisywać Joseph Slupnik i przy tym został. Siedzę kiedyś nad moją kartoteką i ziewam; nagle do pokoju wślizguje się Słupnik, wystraszony i blady, trzyma jakąś kartę czy blankiet i milczy. Po chwili mówi cicho:

— Słuchej zaś, Gustaw, co śnimi robić? — I mówi dalej, że pan Kreishauptmann każe mu podpisać listę, że dadzą mu dwa razy większe pobory. — Więcej o sześćset złotych, rozumiesz, Ludwiko? A on nie wie i pyta co ma robić. Przyjrzałem mu się uważnie. Tej szyjce wyciągniętej w oczekiwaniu obroży, przymkniętym oczom, klateczce piersiowej i starannie zaprasowanym nogawkom spodni.

— To pan mnie pyta czy się sprzedać? Tu nikt radzić nie może. Niech pan to robi, co panu sumienie każe.

Takich słów patetycznych użyłem wtedy, Ludwiko, jak w książce...

Słupnik podpisał volkslistę. Dostawał podwójne pobory, przydział wódki, wędliny, masła, dostawał pomarańcze, cukierki i „cygarety". Mimo, że nosił teraz w klapie kajzerkę, nie zmienił się, nie był z rasy „nadludzi". Tak samo się wił, przemykał i jąkał, tak samo niewyraźnie mlimlał „heil". Pisywał do żony gotykiem długie listy i bał się jak dawniej „różanopalcego" Mördera. Mnie Mörder zdawał się nie widzieć, nie istniałem dla niego, aż raz...

Biegłem wtedy z jakimiś papierkami do podpisu i wpadłem na Scharführera, chciałem go przeprosić, ale trzasnął mnie w twarz... ryczał, że się nie kłaniam, że muszę się kłaniać. Wyprostowany słuchałem. Spytał mnie o coś i odpowiedziałem „ja", znów coś wyskrzeczał i znów odpowiedziałem „ja Herr Scharführer"... kiedy odszedł, stałem jeszcze..

Twarz umyłem w wychodku, krew mi ciekła z nosa. No i zacząłem się kłaniać. Kłaniałem się wszystkim, i wartownikowi i woźnemu Gonerze i „panu Kreishauptmannowi". Dni szły, jeden podobny do drugiego. Jak dawniej, zachodziłem do frojlajn Larisch. Kiedyś siedzę sobie z tą bawarską krową i słucham co też ona „wystukuje", a tu wchodzi Mörder. Nogi mi jakoś zesztywniały i miałem uczucie, że połknąłem zamrożonego węża. Kłaniam się, a on nic. Wreszcie warknął: — Ausweis! Larisch patrzała na niego jak na malowane wrota. Mörder znów warknął: — Raus, co też niezwłocznie zrobiłem. I wiesz, Ludwiko, nawet podania o zwolnienie nie składałem. Już mnie w „Wohnungsamcie" nie widzieli. Dowód też sobie zrobiłem nowy, z pięknym szlacheckim nazwiskiem.

Przerwałem opowiadanie. Ludwika milczała. W jej szybkich, białych palcach błyskały srebrne druty, z rąk spływała jakaś tkanina, z wielkiej kuli wełny, którą trzymałem na kolanach snuła się czerwona nić.

— W zeszłym roku, pod koniec października, tak... koło Wszystkich Świętych staliśmy obozem pięć kilometrów od miasta, w Sucheckich lasach. Wiesz, Ludwiko, koło Psiej Górki. Tak, tak — koło tej samej, gdzie panny często latem wianki gubią. Nasze m. p. nazywało się „Niebotyczne brzozy", mówię ci, sama poezja, cudowny zakątek. Ale, może mi herbaty zrobisz, kochanie, bo trochę mdli po tych kluseczkach, „Tonga"? Przepadam za „Tongą"... Wstawałem często o świcie i obserwowałem wschód słońca, chyba jedyny partyzant, który wiedział, że słońce czasem wschodzi przed pobudką. No, cóż... liczyłem na to, że kiedyś będę te obrazeczki przyrody wlepiał do swoich nowelek, żeby jakaś panna Ludwika mówiła: „Ach, jakie to śliczne, jakie cudowne"! Nocą płonęło — zresztą, nic nie płonęło nocą, zawracanie głowy. O czym to ja zacząłem? Więc komendant korzystając z tego, że stoimy blisko miasta, rozejrzał się w meldunkach od „maglarzy" i w rezultacie wezwał Emila, mnie i trzech innych chłopców. Dał nam wszystkim zadanie. Pierwsza grupa wykona wyroki śmierci, o tej samej godzinie druga grupa wykona wyroki chłosty — powrót do obozu razem. Tamtym podał szczegóły i wyszli. Teraz zwrócił się do nas. No i dowiedzieliśmy się, że pójdziemy najpierw na ulicę Zieloną nr 25, na pierwsze piętro, na drzwiach będzie wizytówka „Joseph Slupnik", to właśnie jest ten łapownik i renegat. Następnie stary podał nam krótki rysopis Słupnika, ani mrugnąłem.

— Pamiętajcie chłopcy, dwadzieścia pięć, nic więcej, chyba, że liczyć nie umiecie — dodał stary z uśmiechem. Odsalutowaliśmy.

Do miasta obyło się bez wypadku. Ja prowadzę, jestem jak u siebie w domu. Przez okrągły rok nosiłem na Zieloną paki z przydziałami; znam dom i rozkład mieszkania. Szedłem na pewniaka.

W klatce schodowej było niebiesko i mrocznо od zaciemnionej żarówki. Zadzwoniłem. Raz długo i jeszcze raz. Zawsze tak dzwoniłem, kiedym paczki Słupnikowi nosił. Drzwi się uchyliły, taka szparka, jakby ktoś nożem wieko od trumny podważył.

— Telegram z Rudy, dla pana Słupnika — mówi Emil. Wtedy tamten otworzył, a Emil wpakował się do przedpokoju, ja sterczałem w korytarzu. Emil wyciągnął maszynę, ogromną jedenastkę — „Colta".

— Proszę o ciszę i do pokoju!

Wtedy zamknąłem drzwi wyjściowe i zgasiłem w przedpokoju światło.

Patrzę przez szparę. Słupnik stoi pod żyrandolem biały i drżący, łebek wypomadowany błyszczy. Emil siedzi w fotelu i wyłuszcza o co chodzi. Wreszcie wstaje, mówi spokojnie i głośno:

— Spuszczaj portki i kładź się tu, na tym krześle, no jazda! Emil bawi się coltem.

Słupnik zaczął coś mlamlać i bełkotać, ale prędko się położył.

— Nie tak — poprawił go Emil — lepiej się bracie wypnij, żeby i mnie było wygodnie.

I zaczął lać. Mówię ci, Ludwiko, taka scena, że można zdechnąć ze śmichu, ta urzędnicza pupka na krześle oświetlona jasno jak cyferblat i... zresztą co ci po tych szczegółach. Emil walił a ja liczyłem, do pokoju nie wszedłem. Słupnik zaczął się kręcić i popiskiwać jak mysz, potem kwilił jak maleństwo. Trzeba ci wiedzieć, że Emil ma łapę ciężką, bo po mieczu jest synem szewca a po kądzieli praczki. Przestałem liczyć i zajrzałem do wnętrza mieszkania. Wszystko było tak samo, jak przed rokiem. Te same meble i te same olejne, potworne obrazy. Na tapczanie leżała rozpakowana teczka z przydziałami: pomarańcze, papierosy, cukierki. Cztery pomarańczowe, ogniste kule na pluszowym, zielonym tapczanie i ta grupa pod różowym żyrandolem, coś wspaniałego. Martwa natura i coś jeszcze... nie, nie zapomnę...

Ludwika spojrzała na mnie i powiedziała poważnie:

— Nie wiedziałam, że jesteś sadystą.

— To nic, Ludwiko, to jeszcze nic. Wyobraź sobie, że po skończonej operacji wkroczyłem do pokoju, nie mogłem sobie tego odmówić... Słupnik odprowadził nas do drzwi. Powiedział kilka razy „dziękuję", kłaniał się, pochylał głowę, zacierał ręce, rozumiesz, ręce... w takiej chwili, no? Stał przy drzwiach skulony, wyglądał jak pies, którego można kopnąć, albo pogłaskać.

Odwrót odbył się planowo, mniej więcej na oznaczoną godzinę byliśmy w obozie, raczej mniej niż więcej, bo Emil odwiedził swe „bóstwo" w Suchej, gdzie „podaliśmy sobie porządnie w gnyk i w pijoka".

Taak, Ludwiko — przeciągnąłem się — chodźmy spać, bo mnie jutro czeka robota, no i droga przede mną daleka...

— Mógłbyś się tak nie przeciągać w towarzystwie kobiety — zauważyła, wbijając srebrne druty w czerwoną chmurę wełny.

Zgasiłem światło i zwinąłem papier na oknie. Rzuciłem się w ubraniu na łóżko. Ludwika mówiła pacierz. Leżałem z rękami pod głową, myślałem co będzie jutro o tej porze.

Ludwika wstała, podeszła wolno do mnie i usiadła na krawędzi łóżka.

— Ja wiem wszystko, Gustaw, wszystko. Tylko tu przyszedłeś... tyle krwi... Mörder, on teraz prowadzi śledztwo, widzisz... Marek, ja...

— Co, ty?

Ludwika pochyliła się nade mną nisko, nisko.

— Musi się wam udać... — wyszeptała. — Musicie go zabić — powiedziała głośno i tak spokojnie, jakby w tych słowach nie krył się wyrok śmierci na jej chłopca.

Tadeusz Różewicz

JAN TAŃSKI

Mickiewiczowska satyra na mieszczan

Twórczość Mickiewicza kryje w sobie więcej niespodzianek niż przypuszczać pozwala tradycyjny kanon literackiej oceny. Poezja mickiewiczowska to zjawisko ściśle związane z życiem. Odsłoni ona tylko temu „wnętrzne serca tajemnice", kto potrafi przekroczyć balsamujące sztukę „filologiczne" schematyzowanie. Zbyt dosłowne traktowanie obiektywnej „zawartości" materiału językowego, jakim jest utwór literacki, może zaprowadzić na manowce krytycznej fikcji.

Tak właśnie ma się sprawa z „Zimą miejską" Mickiewicza. Utwór ten, tradycyjnie brany zbyt jednostronnie, uważany jest za wyraz przejęcia się klasycyzmem poetyckich kształtów w początkowej fazie twórczości akademika wileńskiego i za chwilowe ulęganie literackiej modzie, zanim rosnący talent poety nie stworzył własnego, nowego wyrazu. Przy tej okazji podkreśla się zwyczajnie sztuczność w posługiwaniu się poetyckim obrazem, napuszoność zestawień słownych, rażącą zależność od Trembeckiego i tym podobne ciężkie grzechy przeciw kanonom „piękna". Utwór ten — to rzekomo pseudoklasyczny, wkrótce przezwyciężony etap rozwojowy poezji Mickiewicza.

Czy jednak tak jest naprawdę?

Słusznie zaznaczył prof. Kleiner: „Jako wolterianin wszedł (Mickiewicz) do grona filomackiego i w roli tłumacza Muzy wolterowskiej wytrwał do końca r. 1817" (J. Kleiner, Mickiewicz, t. I, str. 89), ale nie wyciągnął z tego stwierdzenia ostatecznych wniosków. A parę wierszy dalej zauważył w związku z „Zimą miejską": „Ale właściwa tendencja była, jak w przekładach — stylistyczna" (ibid. str. 90). Tak, stylistyczna — ale takie ujęcie zagadnienia musi nas doprowadzić do innych wniosków niż te, do jakich się zwykle dochodziło.

Wydaje mi się, że zasadniczy błąd rozumienia dzieła sztuki polega na dosłowności w interpretowaniu materiału słownego. Skoro „styl" klasyczny, więc... Należy podkreślać stale celowość w operowaniu określonymi stylami. Tak właśnie ma się sprawa z „Zimą miejską".

Ale zacznijmy ab ovo.

W rozumieniu naszego utworu wielkie usługi oddać nam mogą dwa klucze: wolterianizm Mickiewicza w tej epoce twórczości i problem stylistyczny. Do jakich wniosków one nas wiodą?

Że młody Mickiewicz zajął się bliżej Wolterem — nie było skutkiem przypadku czy kaprysu. Poeta szukał narzędzia — nie tylko ściśle literackiego — ale przede wszystkim narzędzia buntu i walki. A cóż mogło być narzędziem bardziej ostrym i skutecznym niż wolterowska kpina i szyderstwo? Czy dla chwilowego a taniego moralizowania? Bynajmniej! Szło o samą pasję „demaskowania świętości", o rewolucyjne zrywanie maski. Ta zabawa była i przyjemna i pożyteczna zarazem, bo stała się formowaniem pewnej pozytywnej postawy. Wolterianizm stał się w tym zakresie już nie wyżyciem się literackim, ale buntowniczym, młodzieńczym czynem. Nie należy naturalnie popadać w drugą ostateczność: poeta nie drapował się w szaty kaznodziei. On bawił się tematem razem z Wolterem („Mieszko", „Pani Aniela"), ale sposób ujęcia podstawowego zagadnienia — kpina z moralnej obłudy — dowodzi jasno, że Mickiewicz nie bał się tej jednoznacznej zabawy.

Nad „Zimą miejską" roztoczył swój ideologiczny patronat Wolter. On przede wszystkim. Trembecki („Do Miera, mieszkającego na wsi") postawą tego wszystkiego, co sam reprezentował, dostarczył tylko dalszego argumentu. „Zima miejska" to coś więcej niż zwykła wprawka stylistyczna skomponowana pod gust Leona Borowskiego. I w tym momencie może nam przyjść z pomocą ta „stylistyka", która w czasach ostatnich zdołała się szczególnie wyemancypować spośród pokrewnych dyscyplin— a mianowicie stylistyka „wyrazu".

Utwór literacki jako zestrój wyznaczników, sensownych ciągów zdaniowych, jest czymś więcej niż zespołem takich czy innych znaczeń. Utwór, wzięty in extenso, nie tylko coś znaczy, ale i coś wyraża. **Jest wyrazem.** Wyrazem albo osobowości autora, albo jego artystycznej postawy, albo jego programu społecznego. Aby dzieło określić jednoznacznie i właściwie, trzeba odkryć właśnie tę warstwę wyrażaną.

Jeśli idzie o „Zimę miejską", to nikt nie wątpi w to, że Mickiewicz nie dał w tym utworze obrazka autobiograficznego. Znajomość biografii poety rozstrzyga tę sprawę zupełnie jednoznacznie. A równocześnie analiza stylu tego wiersza prowadzi nas do stwierdzenia, że przedmiotowość utworu jest aż nadto wyraźna, a wszelki brak zaangażowania się „ja" poety w przedstawionym świecie każe nam wytyczyć ścisłą granicę między osobistą postawą twórcy a realiami wiersza.

Świat przedstawiony w „Zimie miejskiej" to próżniaczy żywot ówczesnych „ludzi poczciwych" (w znaczeniu zbliżonym do rejowskiego), bawidamków, lekkoduchów i aspołecznych pędziwiatrów, którzy trwonili z lekkim sercem i lekką ręką pieniądze wyciśnięte z krwawej pracy pańszczyźnianego chłopa. No cóż! Literacki temat równie dobry jak każdy inny! Ale wszak nie o to idzie. Jeśli ci „bohaterowie naszych czasów" (z mickiewiczowskiego punktu widzenia) stają się literacką pobudką, tzn. awansują z charakteru przedmiotu artystycznego do godności artystycznego tematu, to nie dzieje się to bez określonego powodu. Zebranie najistotniejszych cech ich życiowej nicości i pustki w obraz syntetycznie zwarty, a więc podkreślenie ich negatywnego charakteru i społecznego bezsensu ich życia, musi się stać literackim policzkiem i jawnym szyderstwem — na oczach wszystkich. Jest to publiczne zdemaskowanie i napiętnowanie.

Czyż ważna jest genetyczna strona utworu w tej formie, jaką podaje Kallenbach? Chyba nie. Bo oto „filomat nie ‚spał pod atłasowym cieniem firanek' i... następujące strofy mogły być tylko echem rozmów filomackich o sybarytyzmie złotej młodzieży wileńskiej..." (J. Kallenbach, Adam Mickiewicz, wyd. 4, t. I, str. 67). Nie idzie o to. Nie to jest ważne.

Czyż można się zgodzić na taką interpretację utworu: „Może (Mickiewicz) miał sposobność spędzić dzień w tak wesołym i hulaszczym gronie; olśniła go estetyczna strona przepychu(!) i dał jej wyraz w wierszu, ważnym dziś ze względu na formę..." (J. Kallenbach, op. cit., str. 68). Albo z taką opinią prof. Kleinera: „Z tym wycyzelowanym płodem chłodnej Muzy bardzo do twarzy tłumaczowi „Gertrudy" (utwór Woltera, przyp. mój). Ta sama tutaj pobłażliwość (?) wobec grzechów przyjemnych, to samo stanowisko amoralne(!) względem używania życia. Poeta, który z uśmiechem sympatii opowiadał, jak w domu Anieli „wesołość gości, i miłość i zabawy, siostrzyczki miłości"— z podobnym uśmiechem, bez gniewu satyryka(?) kreśli próżniaczy żywot bogatej młodzieży, „spijającej wielkomiejskie czary rozkoszy" (op. cit. str. 90).

Tak — gdyby każdy utwór był dosłowną kalką życia autora. Czyż można twierdzić, że „barin" Famusow to — Gribojedow? (Postać ze sztuki Gribojedowa „Gorie ot uma"). Czyż nie ma innego sposobu interpretacji celowego krycia się pod stylizację, jak proste trywializowanie tekstu? Analiza stylistyczna „Zimy miejskiej" przeprowadzona pod aspektem „wyrazu" uprawnia nas do twierdzenia, że mamy w tym utworze przykład tzw. „odwrócenia motywu". Poeta formuje obraz celowo negatywny, ażeby prawem kontrastu tym mocniej zaakcentować swą postawę szydercy.

„Zima miejska" Mickiewicza to w istocie rzeczy subtelna, choć dość wyraźna satyra „na panów". Styl pseudoklasyczny zastosowany został umiejętnie i celowo: bombastyczna forma języka wypowiada najdosadniej pustkę życia tych, którzy najzupełniej zasługiwali na taki literacki policzek, wymierzony przez wielkiego poetę.

Jan Tański

HELENA BLUMÓWNA

Malarstwo Czesława Rzepińskiego

Przed wrześniem 1939 r. były w Polsce dwie Akademie Sztuk Pięknych i dwa środowiska w których formowały się ideologie artystyczne: Warszawa i Kraków. Istniał również antagonizm, który zaznaczał się w szlachetnej rywalizacji, a nawet w walce artystów. Bezsprzecznie Warszawa mogła się poszczycić dużymi osiągnięciami, była ośrodkiem nader żywotnym, przodowała w organizowaniu wystaw, posiadała wspaniałą szkołę drzeworytniczą, wykazywała duże zrozumienie dla sztuki stosowanej czy użytkowej — ale już w dziedzinie rzeźby działo się coś dziwnego Edward Wittig, syn Warszawy, z którą był związany wszystkimi węzłami, katedrę rzeźby objął w Akademii krakowskiej na zaproszenie jej profesorów. Powiedzmy dziś otwarcie — Warszawa go nie chciała.

A co z malarstwem? Tu już zdecydowanie czas oddaje zwycięstwo Akademii Krakowskiej, mimo że w Warszawie działało wielu wybitnych artystów jak np. Tytus Czyżewski. Gdy dziś z perspektywy czasu spoglądamy na początki kształtowania się współczesnej ideologii malarstwa, stwierdzić musimy, że kolebką jej był Kraków i jego Akademia. Dla uniknięcia nieporozumień, od razu trzeba nazwać artystę, który obudził nowe dążenia w malarstwie polskim. Józef Pankiewicz był tym, który wskazał nowemu pokoleniu właściwą drogę. Nie tu miejsce na ostateczną ocenę sztuki i roli Pankiewicza. Trzeba jednak stwierdzić, że w całej swej działalności artystycznej, słowem i czynem wskazywał źródło, które mogło się stać jedynie ożywczym dla dalszego rozwoju malarstwa.

Młode pokolenie malarskie ochotnie poszło śladami mistrza i przez poznanie współczesnej sztuki francuskiej dążyło do uświadomienia sobie własnych pragnień artystycznych. Zawiązany w Paryżu przez uczniów Pankiewicza Komitet Paryski (stąd — kapizm) stał się przedstawicielem nowych idei. Nie ma jednak mowy o jakiejś ściśle określonej doktrynie formalnej, choć większość kapistów nawiązywała do zdobyczy impresjonizmu, ściśle mówiąc do postimpresjonizmu. Zaczął się nowy rozdział malarstwa polskiego, który bynajmniej nie jest jeszcze zamknięty. Czy oznacza on tylko bezwolne przenoszenie wzorów francuskich na teren polski, czy też artyści polscy wnoszą jakieś odrębne pierwiastki swoim dorobkiem twórczym?

Na tle tych dążeń zarysowuje się wyraźnie indywidualność Czesława Rzepińskiego, ucznia Pankiewicza z Akademii krakowskiej. Z kapistami łączy go kult koloru, lecz w miarę rozwoju Rzepiński oddala się od ideałów kapistowskich i coraz wyraźniej formułuje swoje odrębne założenia. W sztuce przejawia się charakter Rzepińskiego; umie on walczyć o realizację idei malarskiej, pokonując opór i niezrozumienie otoczenia. Artysta nie cofa się przed przeciwnościami, a nawet obiera sobie najtrudniejsze problemy. Malarstwo Rzepińskiego nie zna łatwizn, nie pobudza też do powierzchownych zachwytów.

Lata pobytu w Paryżu są twardym zmaganiem się z problemami, jakie mu nasuwa Monet i impresjonizm w czystej postaci. Ale przejmując te środki kształtowania, nadaje im Rzepiński swoiste piętno. W porównaniu z wzorami francuskimi odzywa się w jego zestawieniach barwnych inna harmonizacja, silniejsze kontrasty, operowanie zdecydowanymi, mocnymi barwami. Ma więc artysta swą własną wizję barwną, w której przejawia się niewątpliwie element polski, bardziej pierwotny niż subtelny prototyp francuski. Zjawisko to występuje również w malarstwie innych wybitnych artystów polskich, np. u Waliszewskiego i stwierdzić można, że element ten jest w charakterze swym bardziej żywiołowy, nie tyle w interpretacji, co w samym odczuciu. Tym się tłumaczy powodzenie młodego i nieznanego stypendysty na terenie paryskim, tak trudnym dla przybyszów z różnych krańców świata, zwłaszcza gdy nie mają stosunków. Rzepiński swą odrębnością zwraca na siebie uwagę w Salon d'automne 1932 roku, a później w r. 1933 na wystawie indywidualnej, której echa dochodzą do kraju.

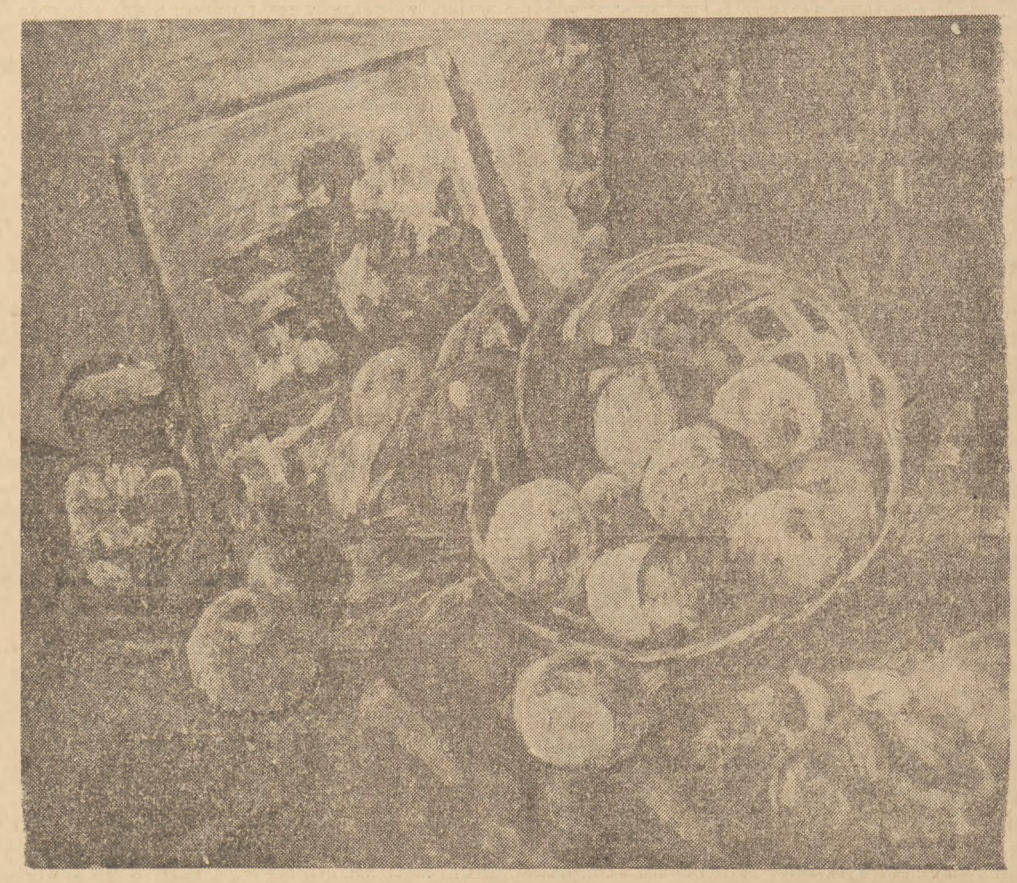

Martwa natura (1946)

Fakturą impresjonistyczną posługuje się artysta w najbliższych latach, którą pogłębia wnikliwsze spojrzenie na świat. Portret kobiecy w 1935 świadczy o tym, że artysta poza powierzchowną grą barw i światła, w duchu impresjonimu, dostrzega zmysłowe istnienie przedmiotów, które mu się objawiają w świetności kolorytu. Może jest w tym pewien wpływ Bonnarda, choć nie można mówić o bezpośredniej zależności. W okresie tym maluje Rzepiński krajobrazy, martwe natury, a zwłaszcza portrety, które „odddychają" ciepłem życia. W ogóle ten młodzieńczy okres artysty przepojony jest prawdziwą radością życia, beztroską i dużym rozmachem witalnym. Można by w tym dopatrywać się poza cechami indywidualnymi odrębnego polskiego pierwiastka. Wyraża się on nie w treści obrazów czy w jakiejś spekulacji intelektualnej, lecz w niekłamanym temperamencie artystycznym.

Równocześnie skonstatować można duże bogactwo palety malarskiej. Wprawdzie w niektórych obrazach dominują pewne zespoły barw o przewadze np. fioletu, to znów poziomkowo-niebiesko-liliowe albo też cytrynowo-lazurowo-fioletowe, to jednak bynajmniej nie wyczerpuje wszystkich możliwości kolorystycznych artysty. Już w okresie paryskim zaznacza się w jego kompozycjach wyraźne przejście od drobiazgowej analizy barw do ujęć syntetycznych w barwie i w formie, zaś około r. 1935 zaczyna się świadoma budowa kolorystyczna obrazu i pewniejsze poczucie formy.

Wyrazem tych dążeń są warianty na temat motywu „Zuzanny ze starcami" (r. 1936). Zuzanna jest nieco renoirowska w typie, ale kolorystycznie i fakturowo inaczej potraktowana. Przede wszystkim Rzepiński wprowadza w kolorystyczną budowę kompozycję figuralną, która jest tektonicznie rozczłonkowana. W układzie samej Zuzanny uderza schemat trójkąta, który powtarza się w całej postaci. Postaci dwóch starców, ustawionych za Zuzanną, mieszczą się w schemacie sześcioboku, co prawda niezbyt umiarowego, boki tej figury geometrycznej można jednak dokładnie ustalić. Również i pod względem kolorystycznym wykazuje obraz ten świadomie przeprowadzoną kompozycję. Jasna masa którą tworzy ciało Zuzanny, znajduje odpowiednik w części czerwonej draperii i w brunatno-ciepłym starcu w czerwonym czepku na głowie. Artysta jest bardzo śmiały w swej koncepcji kolorystycznej, gdyż partię tę przecina biała draperia. Tuż za tym głównym trzonem kompozycji, po lewej, błękitno-siny starzec — całe zaś tło o przewadze zimnych tonów które artysta umiejętnie różnicuje, by stworzyć w kompozycji odciążenie dla głównej partii. Drugi wariant tej kompozycji jest bardziej zwarty i zawiera schemat trójkąta prostokątnego, który powtarza się w układzie ciała Zuzanny. Obraz ten jest też fakturowo ciekawie potraktowany i bardziej jednolity.

Lata przed wojną są w twórczości Rzepińskiego bardzo żywotne, malarstwo jego spotyka się z żywym oddźwiękiem. I tak np. Tytus Czyżewski po wystawie w IPSie w r. 1938 stwierdza: „Gdy Rzepiński za kilka lat, po uczciwej pracy pozbędzie się pewnych naleciałości obcych — w swej indywidualnej a mocnej plastyce wysunie się na czoło współczesnego malarstwa polskiego".

Wojna oderwała Rzepińskiego od sztalug i dopiero od r. 1943 mógł znowu wziąć pędzle do ręki. Dokonała się jednak w artyście głęboka przemiana; znikła dawna beztroska, śmiałość poczynań na rzecz poważnego skupienia i uciszenia. Świat nie raduje go już tylko świetnością barwnej zjawy, artysta stara się go ujrzeć w całej okazałości; stąd dążenie do formy bardziej stałej i określonej, którą buduje tylko przy pomocy barwy.

Wchodzimy w drugi okres twórczości Rzepińskiego, w którym wprawdzie również dominuje kolor, ale już nie jako jedyne zagadnienie. Artysta ostatecznie dochodzi do całkowitego zespolenia barwy z określonym przez nią kształtem, choć jeszcze niekiedy wizja barwna zdaje się u niego przeważać. Ostatnia wizja barwna Rzepińskiego różni się zasadniczo od pierwotnej, która była wprawdzie bardzo świeża w swej bezpośredniości, lecz rozgrywała się jedynie na dwuwymiarze płótna. Odtąd rozczłonkowuje artysta świat widziany w kolorach również i dogłębnie, co wpływa na inny charakter plamy barwnej i inny jej układ. „Krajobraz" z r. 1944 posiada bogactwo planów ujętych w przejrzystą konstrukcję, taką jaką spotykamy u Deraina. Lecz Rzepiński inaczej kształtuje plamę niż Derain, inny jest też w kolorycie. Jego zestawienie opiera się na barwach zasadniczych, zbliżonych do spotykanych w przyrodzie — artysta unika niezwykłych harmonizacji. Niekiedy nawet skalę barw ogranicza do kilku („Gra w piłkę") dla stworzenia obrazu bardziej jednolitego.

Nie można jednak powiedzieć, by artysta nie dostrzegał kolorystycznego bogactwa świata, jakkolwiek zaczyna poddawać ten

Zuzanna i starcy (1936)

Portret pani Dygatowej (1946)

świat odczuwanym przez siebie nastrojom. Barwa jest więc również czynnikiem wyrazu: — „Pejzaż z Sidziny“ (1944), „Akt na tarasie“ (1945), „Letnie popołudnie“ (1945). Obraz ostatni składa się z dwu członów kolorystycznych — pejzaż gorącego dnia letniego za oknem i wnętrze pokoju, w którym gorącość barw z zewnątrz została przetransponowana na zimne tony, gwałtowne błękity i fiolety z gorejącymi refleksami. Te dwa różne kolorystycznie elementy obrazu zostały zespolone i ujęte w przemyślaną kompozycję. Równocześnie w tym obrazie barwa oddziaływa żywo jako czynnik wyrazu. Artysta kapitalnie oddaje nastrój upalnego letniego dnia, gdy słońce przenika wszystkie barwy, nawet tony zimne, stwarzając kontrasty gwałtowne, rażące niewprawne oko. Obraz ten do pewnego stopnia zamyka okres ekspansji kolorystycznej Rzepińskiego, artysta stanął przed dylematem, albo iść po drodze dalszej egzageracji barwnej albo dążyć do skoordynowania barwy z formą.

To drugie zadecydowało o ustaleniu się obecnego okresu twórczości artysty, okresu jak gdyby bardziej klasycznego, który charakteryzuje pewne sciszenie i wyrównanie. „Martwa natura“ (1946) jest wynikiem dojrzałej kontemplacji formy, oddanej jedynie przy pomocy barwy. Osiągnąwszy ten klasyczny umiar artysta zwraca też uwagę na przedmioty, na świat realny, a przede wszystkim na człowieka. Portret jest ulubioną dziedziną twórczości Rzepińskiego.

„W portrecie pani Dygatowej“ (1946) wypowiada się dojrzały indywidualny styl Rzepińskiego. W osobie młodej i czarującej aktorki widzi przede wszystkim myślącego i czującego głęboko człowieka. Twórczość Rzepińskiego staje się wyrazem nowoczesnego humanizmu, który bez patosu, poważnie spogląda w oblicze rzeczywistości. Temu wewnętrznemu umiarowi odpowiada forma zwarta i przemyślana, harmonijne wyrównanie czynników kształtowania, przez podporządkowanie ich głównej idei. Rzepiński sztuką swą związany jest nie tylko z istotnymi dążeniami nowoczesnego malarstwa, z którego jego własne wyrasta jako dalsza i świeższa warstwa, ale i z ogólnym nurtem epoki.

Helena Blumówna

LUDWIK SAWICKI

Organizacja nauki w Związku Radzieckim*)

Głównym celem mojej podróży do ZSRR, którą podjąłem z ramienia Ministerstwa Kultury i Sztuki, było poznanie organizacji nauki w Związku Radzieckim. Podróż ta była wyrazem potrzeby uzyskania materiałów porównawczych z tej dziedziny, a to w związku z zagadnieniem odbudowy naszych instytucji naukowych. Według bowiem mojego pojmowania sprawy, z zagadnieniem tym wiąże się ściśle sprawa przebudowy naszego aparatu naukowego — sprawa jego reorganizacji, która obecnie może i powinna być przeprowadzona, jeżeli nauka w Polsce Odrodzonej ma spełniać swoje zadanie należycie. W Związku Radzieckim nie szukałem gotowych wzorów rozwiązania problemu organizacji nauki u nas. Jeżeli mimo to są pewne zbieżności stawianych przeze mnie postulatów z praktyką radziecką w tej dziedzinie, to w żadnym razie nie jest to bezpośrednim wynikiem mej podróży do Związku Radzieckiego.

Istnieje niewątpliwie duża analogia pomiędzy obecnym stanem rzeczy w dziedzinie organizacji nauki u nas i nauki radzieckiej — bezpośrednio po rewolucji październikowej. Nie ma natomiast żadnej, jeżeli porównać aktualną sytuację i perspektywy rozwoju nauki u nas, z obecną pozycją nauki w państwie radzieckim i jej możliwościami rozwoju, zarówno ekstensywnego jak intensywnego.

Nauka w ZSRR jest uznana za jeden z czynników wzrostu bogactwa narodowego, podniesienia kultury narodów Związku oraz budowy nowego socjalistycznego społeczeństwa bezklasowego. Odpowiednio do tej roli, pozycja, jaką zajmuje w aparacie państwowym i w społeczeństwie radzieckim, jest bardzo wysoka. **Centralne instytucje naukowe oraz sprawy organizacyjne nauki w ZSRR są wyłączone z resortu oświaty i podlegają bezpośrednio Radzie Ministrów.**

Sumy, jakie państwo radzieckie, samorządy i organizacje społeczne, łącznie, przeznaczają rok rocznie na cele naukowe, są wielkości liczb astronomicznych. Prócz świadczeń pieniężnych, państwo okazuje niemniej poważne świadczenia w naturze i środkach technicznych, że zacytuję wyprawy polarne i w ogóle badania terenów arktycznych i subarktycznych, które w Związku Radzieckim prowadzone są na niezwykle szeroką skalę.

Różnorodność krain fizjograficznych oraz ludności zamieszkującej je, różnorodność gospodarki, języka i kultury tej ludności, wyłoniły potrzebę stworzenia potężnego naukowego aparatu organizacyjnego, obejmującego całość wiedzy przyrodniczej i nauki humanistyczne. Aparat ten został stworzony pod egidą Akademii Nauk ZSRR, która jest uznana za naczelną instytucję naukową w państwie, podlegającą bezpośrednio Radzie Ministrów Związku Radzieckiego (nie zaś Republiki Rosyjskiej — RSFRR).

Według § 2 statutu. „Zadaniem podstawowym Akademii Nauk jest przyczynienie się do ogólnego podniesienia nauk teoretycznych. jak również stosowanych w ZSRR, opanowanie i wzbogacenie osiągnięć światowej myśli naukowej. Za podstawę swych prac Akademia Nauk przyjmuje planowe wykorzystanie osiągnięć naukowych, w celu współdziałania w budowie nowego socjalistycznego społeczeństwa bezklasowego“

„W celu wypełnienia tego podstawowego zadania Akademia Nauk (§ 3):

a) ześrodkowuje swoje prace na wielkich przewodnich zagadnieniach nauki, we wszystkich jej działach;

b) bada bogactwa naturalne i siły produkcyjne kraju, jak również kulturalne i ekonomiczne osiągnięcia ludzkości, i współdziała w ich racjonalnym i we właściwym czasie wykorzystaniu;

c) współdziała w podniesieniu kwalifikacji pracowników naukowych ZSRR:

d) służy wyższym organom rządowym ZSRR organizacją ekspertyzy naukowej“.

Zatem, charakter Radzieckiej Akademii Nauk jest inny niż naszej Akademii Umiejętności w Krakowie, której działalność naukowa ogranicza się niemal wyłącznie do posiedzeń wydziałowych i komisyjnych oraz akcji wydawniczej prac, wykonanych przeważnie w zakładach uniwersyteckich.

Wprawdzie w całości aparatu organizacyjnego naukowego w państwie Akademia Nauk zajmuje pozycję czołową i reprezentuje najwyższą instancję naukową, nie znaczy to, ażeby posiadała monopol na prace naukowo-badawcze. Prace te są wykonywane w zakładach uniwersyteckich, różnego rodzaju instytutach, w muzeach i w instytucjach, mających cele naukowe. Nie podobna tych wszystkich zakładów i instytucyj, choćby w sposób najbardziej ogólny, tu omawiać. Są one licznie rozsiane na olbrzymim obszarze Związku Radzieckiego i wchodzą w skład lokalnych ośrodków naukowych.

Sądzę, że dla oceny aktualnego stanu organizacyjnego nauki w Związku Radzieckim i perspektywy jej rozwoju w najbliższej przyszłości, miarodajne będą pewne cyfry, dotyczące Akademii Nauk. I tak na 1. I. 1945 r. Akademia posiadała różnego rodzaju zakładów naukowych:

1) instytutów, sekcji na prawach instytutów oraz pracowni samodzielnych — 73 (w r. 1925 — 7, w r. 1916 — 5);

2) muzeów — 15 (w r. 1925 — 9, w r. 1916 — 5);

3) komisji i komitetów — 31 (w r. 1925 — 29, w r. 1916 — 14);

4) stacyj — 35 (w r. 1925 i 1916 — 16);

5) bibliotek (w instytutach i innych zakładach) — 71, (w r. 1925 — 24, w r. 1916 — 12);

6) towarzystw naukowych — 7 (w r. 1925 i 1916 — brak);

7) filii i baz — 11 (w r. 1925 — 1916 — brak).

Na 1. I. 1945 r. stan osobowy współpracowników naukowych Akademii Nauk ZSRR wynosił ogółem 4.213 osób, a w tym: kierowników i starszych współpracowników 2.988 (akademików — członków zwyczajnych Akademii Nauk — 109, członków korespondentów — 137, posiadających tytuł doktora — 682, a tylko 71 profesorów), młodszych współpracowników naukowych — 1.225.

Działalność wydawniczą Akademii ilustrują cyfry następujące: 44 pozycje czasopism specjalnych z różnych dziedzin wiedzy, 71 pozycji publikacji nieperiodycznych oraz 19 pozycji monumentalnych wielotomowych wydawnictw.

Jak już wspomniałem, centralne instytucje naukowe oraz sprawy organizacyjne nauki w RSFRR są wyłączone z resortu oświaty i podlegają bezpośrednio Radzie Ministrów Republiki Rosyjskiej. Oto parę przykładów.

Sprawy muzealnictwa i polityki muzealnej są zogniskowane w „Instytucie naukowo-badawczym pracy muzealnej i krajoznawczej“. Jest to jakby nasza Naczelna Dyrekcja Muzeów i Ochrony Zabytków przy Ministerstwie Kultury i Sztuki, z tą jednak różnicą, że jej odpowiednik radziecki posiada uprawnienia Ministerstwa. Fakt ten jest wymownym dowodem tego, jak wielką wagę przywiązuje rząd radziecki do sprawy rozwoju muzeów w państwie, które — co należy dodać — są nie tylko placówkami popularyzującymi wiedzę, ale zarazem badawczymi, posiadającymi, niejako z reguły, własne organy, w których publikowane są sprawozdania muzealne oraz artykuły naukowe. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że prócz muzeów centralnych istnieją w każdej „obłasti“ (odpowiednik naszego województwa) muzea lokalne — „obłastnyje“ i rejonowe („rajon“ jest odpowiednikiem naszego powiatu), da nam to pewne pojęcie o skali organizacyjnej muzealnictwa radzieckiego.

Już z tego, co tu zostało powiedziane, wynika, że, podobnie jak u nas, istnieje podział muzeów na muzea centralne i, mówiąc ogólnie — lokalne (prowincjonalne, regionalne, krajoznawcze). Muzea Akademii Nauk są poza tym podziałem i nie podlegają kompetencji wyżej wymienionego Instytutu. W warunkach radzieckich podział muzeów na centralne i lokalne jest podziałem względnym. Właściwym bowiem kryterium, na którego podstawie są tu muzea kwalifikowane i klasyfikowane, jest ich poziom organizacyjny i poziom ich działalności naukowej. Klasę najwyższą reprezentują muzea, którym przyznano uprawnienia akademickich zakładów naukowo-badawczych. Takim muzeum jest np. Muzeum Historyczne w Moskwie, w którym, dzięki uznaniu go za zakład naukowy akademicki, mogą pracownicy naukowi odbywać tzw. aspiranturę, tj. opracowywać (pod kierunkiem kierownika właściwego działu) rozprawy i składać egzaminy aspiranckomagisterskie. Wyższe stopnie naukowe — „kandydata“ (danej grupy nauk, tytuł u nas nieznany) i doktora mogą być uzyskane jedynie na podstawie rozpraw i egzaminów złożonych w zakładach badawczych Akademii Nauk ZSRR. Ponieważ z uzyskaniem tego rodzaju wysokiej kwalifikacji wiąże się również podniesienie kategorii uposażenia materialnego personelu naukowego muzeum, w fakcie tym nie można nie widzieć czynnika sprzyjającego podniesieniu poziomu organizacyjnego i naukowego muzeów radzieckich.

Sprawy ochrony przyrody wyodrębniono w dział specjalny. Zajmują się nim dwie instytucje: „Zarząd Główny Rezerwatów, Zooparków i Zoogrodów“ oraz „Wszechrosyjskie Towarzystwo Ochrony Przyrody“. Pierwsza z nich jest urzędem państwowym o uprawnieniach ministerstwa, druga — organizacją społeczną. Obie te instytucje są zarazem placówkami naukowo-badawczymi, podległymi bezpośrednio Radzie Ministrów RSFRR. Zgodnie z § 1 statutu, „Wszechrosyjskie Towarzystwo Ochrony Przyrody“ stawia sobie za cel: „Ochronę bogactw naturalnych kraju i współdziałanie w ich pomnażaniu, organizowanie inicjatywy społecznej w tej dziedzinie, odpowiednio do zadań bieżących budownictwa socjalistycznego“.

Instytucją, sprawującą bezpośrednio opiekę nad obiektami uznanymi za rezerwaty przyrodnicze, administrującą je oraz prowadzącą badania ich właściwości przyrodniczych, jest wspomniany już „Zarząd Główny Rezerwatów“. O rozmiarach działalności tej instytucji świadczy najlepiej cyfra 29 tego rodzaju rezerwatów, znajdujących się na terenie RSFRR, o powierzchni ogólnej 8 820 700 ha, z których najmniejszy (Siem Ostrowow) liczy 700 ha, największy zaś (Sichote-Aliński) — 1 804 600 ha.

Specjalny ustęp należałoby poświęcić sposobowi rozwiązania w Związku Radzieckim zagadnienia uniwersytetów oraz szkolenia kadr pracowników naukowych. Niestety, na dokładne zapoznanie się z praktyką radziecką w tej dziedzinie nie starczyło mi już czasu. Według tego jednak, co jest mi wiadome, z programu studiów uniwersyteckich wyeliminowano nauki praktyczne i uniwersytety mają charakter uczelni kształcących młodzież na przyszłych badaczy naukowych. Normalnie studia trwają 5 lat, w czasie wojny były skrócone do lat 4. Studiujący korzystają z daleko idącej pomocy państwowej: otrzymują stypendia, przydziały robotnicze, korzystają z internatów. W zamian państwo wymaga od nich rzetelnej pracy. Obowiązuje 8 godzin zajęć codziennie, na które składają się wykłady, ćwiczenia i seminaria. Wybrani spośród studentów gospodarze sal wykładowych mają za zadanie czuwać, aby frekwencja była pełna. Ukończenie uniwersytetu nie daje żadnego tytułu, lecz tylko normalne świadectwo z ukończenia studiów. Pragnący poświęcić się zawodowi pracy naukowo-badawczej, muszą odbyć aspiranturę w odpowiednich zakładach naukowych, wykonać w terminach przewidzianych prace piśmienne (rozprawy oryginalne) i złożyć wymagane egzaminy.

W zasadzie zakłady uniwersyteckie są zakładami badawczymi, nie mają one jednak tego znaczenia jak niegdyś, kiedy były niemal jedynymi ośrodkami oryginalnej twórczości naukowo-badawczej. Obecnie koncentruje się ona w instytucjach specjalnych, muzeach i różnych instytucjach naukowych, bogato wyposażonych we wszelkie pomoce naukowe i techniczne, liczny personel o wysokich kwalifikacjach naukowych oraz w niezbędne środki materialne.

Podobnie jak w innych dziedzinach, również w dziedzinie działalności naukowo-badawczej obowiązuje w Związku Radzieckim zasada planowości. Plany indywidualne zamierzonych prac (gabinetowych i ewentualnie polowych) służą za podstawę planu generalnego danej instytucji, obejmującego okres kilku lat. Jest duża przesada w twierdzeniu, że przyjęcie zasady planowości obniża wartość produkcji naukowej oraz krępuje indywidualność badacza. Przede wszystkim nie jest ona w sposób rygorystyczny przestrzegana a, jak to wykazała praktyka radziecka, przynosi nauce większe korzyści niż zasada bezplanowości, której wyniki ujemne znamy dobrze z własnego doświadczenia.

Mimo poważnej cyfry około 40 000 osób pracujących zawodowo w nauce, w Związku Radzieckim istnieje niedobór sił naukowych. Nie jest on jednak tak dotkliwy jak u nas. Skutkom tego niedoboru przeciwdziała możność łączenia przez pracowników naukowych dwóch stanowisk w różnych instytucjach (np. profesury i kierownictwa działu w muzeum, tego ostatniego i pracy w instytucie itp.), co ma tę jeszcze dobrą stronę, że przyczynia się wydatnie do poprawy ich sytuacji materialnej (pobieranie z dwóch źródeł pełnych poborów).

*) Artykuł niniejszy jest niemal niezmienioną, końcową częścią sprawozdania, jakie po powrocie ze Związku Radzieckiego złożyłem w listopadzie 1945 r. ministrowi Kultury i Sztuki. Pobyt mój w Moskwie trwał 6 tygodni — od 9. IX. do 21. X. 1945 r.

ANTON PRISZELEC

Matka

Żyła bez zmarszczek i bez troski;
któż od niej bardziej był szczęśliwy?
Uśmiechał się do matki los:
syn był wesoły, pieszczotliwy.

Lecz nawiedziła wojna dom
wręczając kartę powołania.
Wroga radości, jasnym snom,
każe dziś tylko tęsknić za nim.

I przypomina matka wciąż
te jego figle, śmiech wysoki:
on — życia treść,
jej życia miąższ,
on taki miły, czarnooki.

Popatrzy w lustro:
widzi ot
oczyma, które widzą syna —
zgaszony wzrok i zmarszczek splot,
siwizna — starość się zaczyna.

A tam za oknem ptaków gwizd
i maj niechętny smutnym matkom.
I ona czeka wciąż na list,
a list przychodzi
rzadko, rzadko.

przełożył **K. A. Jaworski**

GIEORGIJ SUWOROW

* * *

Jeszcze rankami czarny dym się kłębi
nad twym siedliskiem niedawno spokojnym.
I pada para zwęglonych gołębi,
które zaskoczył wściekły ogień wojny.

Jeszcze w noc białą sny nas niepokoją
jak utraconej zwiastuny miłości:
góry akacji, co zapachem poją,
i w nich słowiczych słodkich trelów pościg.

Jeszcze jest wojna. Lecz uparcie wierzym —
nadejdzie dzień, gdy ból wypijem do dna
i znowu świat przed nami drzwi rozszerzy,
i z świtem wstanie znów cisza pogodna.

Ostatni wróg. Ostatni wystrzał celny
i pierwszy ranka odblask szkliście świeci,
a jednak przyznaj, przyznaj, druhu dzielny,
jak szybko czas nam tu wszystkim przeleci.

Wspomnienie w nas tęsknoty nie obudzi
i po cóż smutkiem jasność dni zachmurzać?
Swój młody wiek przeżyliśmy jak ludzie
i ludziom służąc...

przełożył **K. A. Jaworski**

Zasada planowości umożliwia tego rodzaju kumulację stanowisk, dla władzy bowiem przełożonej decydującym momentem jest plan i termin jego wykonania, nie zaś formalnie obowiązujący wymiar czasu pracy w instytucji.

W zakładach naukowych panuje duch koleżeńskości i prawdziwego demokratyzmu. W stosunkach jednak służbowych przestrzegana jest hierarchia stanowisk i kompetencyj; zaznacza się dominująca pozycja kierownictwa (dyrektora), odpowiedzialnego za działalność danego zakładu naukowego oraz wykonanie planu. Regulamin wewnętrzny jest skrupulatnie przestrzegany. Narady wewnętrzne są opiniodawcze lub informacyjne; zwołuje je bądź dyrektor — i wtedy uczestniczą w nich jedynie kierownicy działów i starsi współpracownicy naukowi, bądź kierownicy działów — i wówczas uczestniczą w nich pracownicy zatrudnieni w tych działach. Nastrój pracy poważny, eliminujący dowolność traktowania przyjętych wobec instytucji zobowiązań.

*

Jednym z celów mojej podróży do Związku Radzieckiego było zainicjowanie stosunków naukowych w szerszym zakresie, niż to się działo przed wojną. Przyjęcie, jakiego inicjatywa ta doznała, dowodzi, że również koła naukowe radzieckie uznają potrzebę ścisłej współpracy; że leży ona w interesie nie tylko naszej nauki, lecz również w interesie nauki radzieckiej. Występując z tą inicjatywą daliśmy dowód, że hasło przyjaźni i współpracy ze Związkiem Radzieckim nie jest dla nas pustym frazesem, lecz że pragniemy je zrealizować również na odcinku nauki.

Inicjatywa nasza została przyjęta i z faktu tego wynikają pewne konsekwencje. Przede wszystkim dla naszej nauki, która, aby mogła odpowiadać tym warunkom, jakie są niezbędne dla realizacji faktycznej współpracy, musi reprezentować w niej czynnik równorzędny.

Uczonych radzieckich interesują sprawy organizacyjne naszej nauki, zakłady, muzea, nasze metody badawcze oraz nasze osiągnięcia w tych dziedzinach; wysuwano również postulat wzajemnego uczestnictwa w pracach badawczych laboratoryjnych i terenowych; wreszcie — potrzebę wspólnego wyjaśnienia zagadnień mających znaczenie podstawowe, np. dla geologii i prehistori czwartorzędu. Według zgodnej opinii, zapoczątkowaniem ściślejszych stosunków byłby udział przedstawicieli nauki polskiej i radzieckiej w zjazdach lokalnych. Ze swej strony zapewniłem, że najbliższy ogólnopolski zjazd, poświęcony jednej z dziedzin przeze mnie reprezentowanych, da nam okazję do skierowania do uczonych radzieckich odpowiedniego zaproszenia.

Zatem już w najbliższym czasie nasza inicjatywa współpracy z nauką radziecką może znaleźć konkretny wyraz. Tymczasem nic nie wskazuje na to, ażeby plan przeprowadzenia niezbędnej reformy struktury naszego aparatu naukowego istniał, a nawet — ażeby potrzeba jej oraz potrzeby materialne naszej nauki były przez powołane czynniki należycie u nas doceniane. Straty i zniszczenia wojenne mogą usprawiedliwiać wiele niedomagań, ale nie usprawiedliwiają naszego zacofania w dziedzinie organizacji nauki — braku koncepcji i planu przebudowy naszego aparatu naukowego.

Niewątpliwie, akcja zmierzająca do zreformowania organizacji pracy naukowo-badawczej oraz uświęconych tradycją instytucyj naukowych, jak uniwersytet oraz akademia, nie będzie wśród pewnej części przedstawicieli naszego świata nauki popularna. Nie powinno to jednak stanowić istotnej przeszkody w podjęciu tej akcji, bo przeprowadzenie jej leży w interesie nauki, w interesie szerokich mas naszego społeczeństwa i państwa. Nie jet to sprawa nowa. W okresie przedwojennym, okresie ostrego kryzysu również na odcinku nauki, nie mogła być rozwiązana; obecnie jednak ma wszelkie dane, aby być uznaną za jedną z pierwszych pozycyj w ogólnym planie przebudowy naszego życia gospodarczego, społecznego i państwowego.

Biorąc pod uwagę organizacyjne i materialne możliwości rozwoju nauki radzieckiej oraz wysoki poziom wymagań stawianych pracownikom naukowym, można przyjąć za pewnik, że już w najbliższej przyszłości nauka radziecka zajmie, ze względu na rozmiary i wartość jej wkładu, jedno z miejsc przodujących w nauce międzynarodowej. Postęp nauki zależy, m. in. od współzawodnictwa: **w skali narodowej** — pomiędzy uczonymi pracującymi w danej gałęzi wiedzy; **w skali międzynarodowej** — pomiędzy osiągnięciami w różnych lub tylko niektórych dziedzinach nauki, uprawianych przez poszczególne narody i państwa. Jeżeli w Polsce Odrodzonej potrzeby nauki nie znajdą zrozumienia i nie będą zaspokojone, w dziedzinie materialnej — odpowiednio do naszych możliwości faktycznych, w dziedzinie zaś organizacyjnej — zgodnie z wytycznymi gruntownie przemyślanego i konsekwentnego planu — nauka polska nie będzie mogła w sposób skuteczny uczestniczyć w tym współzawodnictwie. Dotychczas stała u nas wysiłkiem i poświęceniem osobistym oddanych jej jednostek, w czasach jednak, które idą, to już nie wystarcza, na to rachować nie można i nie należy.

Ludwik Sawicki

STANISŁAW KOWALEWSKI rysował **EUGENIUSZ WANIEK**

BOCZNICA*)

Tramwaj zgrzytając i klekocąc pędził bez zatrzymania. Granatowy policjant w drzwiach. Wewnątrz ścisk, pot, kartkowiec niedotrawiony, na barkach siedzących kosze złożone niedbale przez stojących, ktoś depce komuś po nogach. Jedziemy przez ghetto. Na zapotniałych od deszczu szybach: Abarid-puder wytwornej pani, Ankudowicz — maszyny do szycia, ubawisz się najlepiej w café-bar „Pod zdechłą kaczką" — podają najsławniejsi aktorzy.

W kawiarni-hotelu „Złota Nasturcja" wystąpi piątka Ancymonów w piątek o piątej. U Swanna fortepian rzępoli od rana. Zwolenników wyższej kultury przy pół czarnej — zapraszamy — za kotarę, czy krynolinę...

Lepią się kolorami okna, lecz spojrzeć przez nie — przez deszcz, mgłę — ulice wiją się jak przyduszone węże, nerwowym, wręcz tragicznym ruchem. Ludzie-mrówki, którym ktoś burzy mrowisko — biegną, tłoczą się bez celu, gnani pierwotnym lękiem i niepokojem więcej niż potrzebą.

Tramwaj wypadł z krętych zaułków. Dalekie, czerwone magazyny osiadły ciężko nad plątaniną rtęciowych szyn. Transferstelle. Parę wagonów ze zgniłymi kartoflami i kapustą — przesyłka od nadludzi dla ludzi wyklętych

Gwałtowny zgrzyt na zwrotnicy — ładny, biało malowany płotek. Czerwona, napuchła morda wybucha spod policyjnego hełmu. Dwóch żydowskich policjantów wyprężonych na baczność stara się uchwycić przebłysk łaski w zmętniałych od piwska ślepiach übermenscha.

Granica ghetta.

Z boku rozpięty na drutach ogrodzenia łachman. Mały Żyd w długiej kapocie-worku, wypchanej paru kilami kartofli — bezcennego przemytu, usiłował pod drutem dostać się z powrotem do ghetta. Przyłapał go granatowy policjant. Z rozkoszą tłucze pałką, maceruje i rozpłaszcza coraz bardziej na kolczastych drutach mały ludzki łachman o nieprawdopodobnie zagłodzonej twarzyczce szczura, w której świecą dwa niesamowite, czarne płomienie oczu.

Policjant pełnił swą czynność, póki nie schwytał w locie łaskawego spojrzenia Niemca. Przestał.

„Szmata" półżywa leżała na drutach. Dalej już nie było widać. Tramwaj się zatrzymał. Przystanek. Wysiadłem.

Wszedłem w ulicę chropawą, niewesołą ulicę robotniczą. Domy stały ponure, bez maquillage'u, pełne ran, odprysków tynku. Gdzieniegdzie dykta żółciła się w oknach, to znów przez mętne szyby widniały rzędem jakieś puste butelki, oberwane firanki, czasem doniczka z pelargonią. Nad domami spokojnie płakał deszcz. Gdy płynęła poszarpana chmura dymów z lokomotyw, z kroplami deszczu opadała na domy czarna sadza. Długi, drewniany parkan, wysoki na prawie trzy metry, ciągnął się wzdłuż ulicy.

Przed furtką trzeba stać i długo cierpliwie dzwonić. Kiedy basem pytają kto, odpowiada się.

Furtka zgrzyta. Twarzą w twarz znajduję się z obliczem czerwonym i okrągłym. Małe brązowe oczy i ogromne wąsiska. Ręka mocno ściska rękę.

„Już pan jest" — wita mnie Kaptur, dozorca nocny składu i bocznicy.

„Panie, cośmy mieli dziś w nocy. Była pierwsza chyba. Nasi, jak zwykle, poszli pod depo, a czarni (straż kolejowa) zrobili zasadzkie. Cholera. Jak zaczęli z tych spluw i rozpylaczy kropić, tak ciapciaki przez nasze bocznice balonem zaczęli pryskać. I zwieli, ale młodszego brata Geńka postrzelono w nogę, złapano i na wachę. A potem przyszedł ten starszy — Fryc — i wrzeszczał — wymyślał, że ja w zmowie ze złodziejami, że od nas wszyscy wychodzą — niby z naszej bocznicy i tędy wieją, że on zaskarży u władz, bocznicę zamkną a ja pójdę do kryminału. I w ogóle same weki, rausy i szwajny. Już teraz wszystkich nauczyli po swojemu. Łatwo z nimi rozmawiać. Ja tylko że nein, a on w kółko swoje...

Ale poszedł sobie, jak się zmęczył".

Kaptur raz po raz spluwając, odmaszerował do swojej kamienicy, na facjatkę — przesypiać dzień. Z jego okna widać było cały skład i bocznicę. Ciekawe, że każdy podstawiony wagon, każdy wypadek, który zaszedł w dzień, nie minął bez udziału Kaptura. Budził się natychmiast i widać było w okienku facjatki jego twarz — zamglony żółty księżyc z dwiema wiechami wąsów. Żył tak zespolony na poły mistycznymi więzami z bocznicą.

Plac składowy leżał na pochyłości, w środku ogromna wyrwa, dziura po żydowskim tartaku, na który spadła bomba w 39 roku. Liszaje starych cegieł i kawałów cementu, stosy połamanych rur, a w środku sterczący wodociąg-klepsydra nieustannie sypiąca kro-

ple wody. Wokół zburzyszcza porozsiadały się sztable desek i długie zwały drzewa opałowego. Dębina, świerczyna, sosna, olcha. Porżnięte na metrowe kłody drzewo leżało, czekając kupców i koniunktur.

Frachtowe tabliczki: Kielce, Zagnańsk, Kunów, Rozprza, Pionki — mówiły gwarą dalekiej puszczy jodłowej, wspaniałych dębaków i buczyn — świata aromatycznej, śpiewnej przyrody, rwanej na strzępy przez grabieżców.

Dni płynęły różne. W czasie deszczu trzeba było przesiadywać w maleńkiej, odrapanej chałupce zwanej kantorem, gdzie poza wspaniałym, lakierowanym telefonem stał stół z nieheblowanych desek i pokraczne krzesło z odpiłowaną poręczą, obite aksamitem w pąsowe maki i z resztką sprężyny wiszącą od spodu. Był to klubowiec nocny Kaptura, na którym spędzał godziny czuwania.

Telefon ostro terkotał. Nieznane, zdenerwowane głosy pytały: czy wagon z obladrami, który wyszedł z Radomia miesiąc temu, już nadszedł, a jak nie to dlaczego? Dzwoniono z dworca, że są nowe frachty do wykupienia.

Jakaś Iwonka trzeci raz się łączyła, prosząc pana mecenasa. Nie dawała sobie wytłumaczyć, że pana mecenasa tu nie ma i nie będzie, że ten zmieszany z potem chleb codzienny tak mało miał wspólnego z mecenasostwem, jak plugawy kantorek z persistym, fałatowym i stykowym gabinetem.

Przychodzili interesanci, znajomi kolejarze wpadali na chwilkę, by z szopy zabrać swój węgiel, zrzucony nocą z lokomotyw. Wiadomo — trzeba żyć, lepiej żyć za swój polski węgiel niż za niemieckie premie i ekstrakartki, dawane gorliwym pracownikom.

Po południu, jeśli żadne wagony nie nadeszły i nie było wyładunku, schodzili się znajomi robotnicy. Szły pogwarki. Czarny Geniek jak zawsze spalony na Cygana, w brązowych aksamitnych spodniach i bamboszach — przewodził w dyskusjach. Ze zdaniem jego powszechnie się liczono — był przed wojną najlepszym furmanem w całej dzielnicy, wyśnionym rycerzem wielu bab, panienek i dziewczyn. Obecnie zarabiał przy wyładunku i trochę „w ogóle", ale u Niemców w fabryce pracować nie chciał, ani furmanić do ghetta. Swój fason trzymał, choćby to, że chodził zawsze w bamboszach i aksamitnych spodniach. Inaczej szkoda gadać.

Mongoł — ze straszliwie przez wybuch kotła zeszpeconą twarzą i parą długich, cieniutkich wąsów spadających w dół, które czyniły go podobnym do mandaryna z paczek herbaty, wymyślał jak zawsze na sanację, że takie syny tylko z fabrykantami sztamę trzymali, że przez Becków, Szembeków, Kostków i Sławojów nie dostał należytego odszkodowania za wypadek, a teraz i tak nie ma po co się starać.

Prawie co dzień o trzeciej wpadał Lisiński. Buchało odeń wegetalem, przemysławką lub potrójną. Nerwowo i delikatnie ściskał rękę. Kazał się tytułować: panem konsulem. Podobno był rodem z obszarników ukraińskich, a przed wojną sprawował urząd konsula honorowego w Mozambiku, Radżputanii czy jakimś innym Baltazarze. Skąd się w Polsce wziął — dlaczego, kiedy rządy i urzędy emigrowały — on właśnie przyjechał — nie wiadomo.

Teraz pełnił nieokreśloną funkcję w jakiejś fabryczce w ghetcie i... miał przepustkę.

„No co, dzień dobry, dzieńdoberek, nic nowego? Żadnego drzewka — a ta dębina — ach, prawda, już widziałem ją. Pogódka nie tego... Jakby coś, to proszę zadzwonić. Już tam te moje Żydy czekają... he... he...".

Biegał po kantorku tam i z powrotem zacierając ręce, przeprowadzany zimnym, niechętnym spojrzeniem siedzących robotników. Oczy miał przedziwnie lśniące i jasne.

Najczęściej przed wyjściem ciągnął mnie na stronę i otwierał teczkę. Pokazywał bochny chleba, boczek lub baleron

„Wiozę dla Ireny. Panie, co to za kobieta, co za uroda — każdy szczegół mówię panu — te szczególiki... Przed wojną taka by na mnie nie spojrzała. A teraz — mam prima kobietę a tę trochę jedzenia... He... he... ghetto ma swoje dobre strony — tylko te wszy, panie".

Rozpinał koszulę na piersiach i szybko lustrował tors wprawnym spojrzeniem

Odsuwałem się od niego. Przypominał sam jakąś superwesz, śliskiego oberinsekta terrorującego karalucha czy prusaka.

Pan konsul honorowy wybiegał.

Przychodzili od Graffa. Przychodził Tonko olbrzym, który ongiś wielokrotnie walczył w cyrku z „Leosiem" Pineckim i Czarną Maską. Pytał się, kiedy będzie wagon. On sam jeden, brał na siebie w przepisanym czasie wyładunek całego wagonu. Chłop był wielki, serce złote.

Rozmowa stawała się ogólna i tradycyjnie żądano, by do roboty nie brać Mroczka spod ósmego. Przed wojną miał taksówkę — Cytrynę i trzymał się z góry, rżnął hrabiego, teraz dobrze się ma ze szmuglu. Po co takiemu zabierać pracę ludziom, co naprawdę potrzebują.

Tak samo Palusiński, dozorca. Ma stanowisko, rodzinę „z morgami" pod Piasecznem. Stamtąd co i raz przywozi słoninę, to schab, bo u rodziny świniaka zarżnęli, to dostaje całą furmankę kartofli... Jaja na śniadanie jada — po co wyładunek i konkurencja z takimi, co nie mają nic.

Rozmowa urywała się, kiedy wpadał inżynier Suka. Zgarbiony, deszcz nie deszcz — w kolonialnym kasku na głowie, płóciennym garniturze. Spod krótko podpiętych spodni wyglądały chude, patykowate nogi w czerwonych pończochach.

Chodził od sztabla do sztabla. Pukał w drzewo. Odwalał kłody, sapał i mruczał. Grzebał w deskach.

„Te trzyćwierciówki są zmurszałe. Kto to kupi, co?"

I wkładał wielki rubinowy nos w chustkę, smarkając z przejęciem.

Przed czwartą wracał na posterunek Kaptur. Mały, krępy, w ogromnych buciskach z cholewami, toczył się nierówno na pałąkowatych nogach. Zdawał się co chwila chwytać równowagę rozpostartymi skrzydliskami wąsów. Miał na sobie szary kaftan w małe czarne lilijki, uszyty z portiery.

Kaptur to stary pepesowiec.

W 905 musiał emigrować z Kongresówki do Danii i Szwecji, ścigany za wykonanie dwóch wyroków na szpiclach ochrany. Tam zapoznał się ze zorganizowanym ruchem robotniczym zachodnio-europejskim. Był w Finlandii, Stanach Zjednoczonych, Kanadzie i... Trypolitanii. Poznał wiele języków — stary weteran socjalista — i w ogóle kochany chłop. Wszyscy na całym przedmieściu trzymali z nim sztamę, wiedząc kto to taki.

Świetny narrator. Tylko nie łatwo go naciągnąć, by coś opowiedział ze swoich dawnych przeżyć.

Przed wojną pracował w fabryce karabinów.

Kaptur wchodząc uśmiechał się i głaskał wąsiska.

„No co ciapciaki".

„A, pan Kaptur. Uszanowanie. Co pani Kapturowa dała na obiad? Krupnik, kluski czy jarzynówkie? Był pan już na setce u Dziada?" — padały pytania.

„E, chamrane" — mówił Kaptur i wychodził.

Dziad miał obok mydlarnię i potajemną sprzedaż taniego bimbru.

Kaptur przynosił z obiadu resztki jarzyn, liście kapusty, nacie marchwiane, którymi karmił swoje piękne białe króle. Obok kantorku zbudował własnym przemysłem wspaniałą, piętrową klatkę.

Po nakarmieniu króli Kaptur wchodził do kantorku i zajmował miejsce na swym wyścielanym krzesełku.

„Ale z pana bystry chłopak, panie Kaptur, jeszcze i to i tamto... i króle chce pan hodować. Po setce to pewnie i na dziewczynki by się poszło?" — drażnili siedzący.

Kaptur zapalał fajeczkę.

„Ee, z wami ciapciaki to tylko o tym... a że człowiek żyje ze swą ślubną żoną i już niedługo złote wesele będzie obchodził — to wam się nie podoba. Tfy — ja tam jak żyję — nie od tego jestem, żeby za kołnierz wylać, ale na dziewczynki nie chodziłem. Tak, śmiejcie się, albo ja głupi co złapać... Nie".

Raz tylko, dawno, chodziliśmy z kolegą — Malinowski się nazywał, terminować do ślusarza. Po sobotniej wypłacie — a obydwaj byliśmy jeszcze żółte pętaki — mówi Malinoszczak:

„Chodź Kaptur — pójdziemy się zabawić, bawić. Nic się nie bój, już ja mam swoje chody".

Mieliśmy obaj po srebrnym rublu. Idziemy na Starówkie, na Rycerskie ulice. Bo tam

*) Opowiadanie wyróżnione na konkursie Związku Zawodowego Literatów Polskich w Krakowie.

najlepiej — mówi Malinoszczak. Idziemy — stoi taka jedna i śmieje się.

„Co, pójdziemy się zabawić?"

„I owszem".

„A forsę kotki mają, bo jak takie młode kawalery, to trzeba płacić z góry".

Patrzę na Malinoszczaka, Malinoszczak na mnie:

„A ile trzeba?"

„Po rubelku każdy".

Więc my bez zastanowienia pchamy jej każdy jeden swego rubla w łapę. Ona wzięła, schowała do torebki i mówi:

„No, to już! Chodu! Czego tu stoicie? Już was nie ma!"

„My? Jak to?!"

„No — już was nie ma! Szczeniaki, nie zaczepiajcie kobiet na ulicy. Jazda! Żeby takie młode i takie propozycje... komu to to! Bo zawołam stójkowego".

I jak się nie rozedrze na całe gardło. Więc my rzeczywiście nogi za pas.

I tyleśmy się zabawili.

„Mnie tam już nie nabierze na żadne dziewczynki" — zakończył Kaptur.

— — — — — — — —

W słoneczne dni cała bocznica tańczyła, błyskała, furkotała. Leciały rozzłocone deski. Przy bramach stały wagony. Wyładunek szedł na całego. Wszyscy pozrzucali koszule. I tak w pozie greckich herosów z falującymi mięśniami ramion i pleców — rzucali, podawali z rąk do rąk — deski i bale. Biegła z wagonów na sztable ciężka dębina, mokra, świeża sosna czy brzoza.

Pracował czarny Geniek w bamboszach razem z braćmi Zebuziak, Mongoł z Rosołowskim i Podosiem, Tońko-olbrzym... Nawet jeden wagon dostali Mroczek-szofer z dozorcą Palusińskim. Ci oddzielnie, bo ani inni z nimi, ani oni z tą całą „grandą" — nie chcieli na spółkę.

Od Wisły szedł rzeźwy powiew. Słońce się wspinało nieznacznie. Deski klaskały, padając jedne na drugie. Z daleka krótko fiukały lokomotywki-samowarki, rozstawiające wagony. Przychodził z czarną zakopconą twarzą Kiela-szczypczyk (ten co sczepia i odłącza poszczególne wagony od pociągu). Brał swe skromne dwuzłotki od wagonu, potem niknął z tajemniczą miną za szopą. Po chwili wyłaniał się z wielkim worem węgla, zrzuconego w nocy — na dyżurze. „Bóg zapłać" mówił i szedł do domu.

Robota na chwilę ustawała. Trzeba było odpocząć. „Indor, te, Indyk... gdzie jesteś. Smyk!" — rozlegały się wołania.

I nagle zza parkanu, czy też wprost z burzanów i skrzypów, co pleniły się wspaniałą, gęstą haszczą — tuż obok poplątanych torów — wyłaniał się chłopak, ze czternaście lat, bosy, w granatowych płóciennych spodniach i żołnierskiej starej bluzie, spiętej na dwa samotne guziki z orzełkami. Włosy miał zmierzwione. Chabrowe oczy biegały niespokojnie na wsze strony.

Był to Indor vel Indyk — znakomity wódz dzielnicowej młodzieży Najlepszy majster do obrabiania kolejowego depôt. Niezastąpiony organizator wszystkich wypraw, główny dostarczyciel węgla i drzewa do miejscowych składzików.

„Czego chcecie?"

„Te, Indor, poślij którego ze swoich, albo sam przynieś syfon z sodową-wodą i chleb z kiełbasą" — rozkazywał czarny Geniek.

Indor z robotnikami trzymał sztamę, więc tylko godnie się obracał i wsadziwszy dwa palce w usta gwizdał. Z zarośli wyskakiwało natychmiast paru podwładnych i biegnąc pochyleni, byle tylko ich nie dojrzał który z „czarnych" pilnujących depôt — dopadali kół wagonowych. Odbierali od Indora rozkaz i pędzili go wypełnić.

Czasem, gdy się popatrzyło między wybujałe zielsko, złociła się głowina któregoś z kapujących. Były to porozstawiane w tyralierę posterunki obserwacyjne.

W dole leżała Golkonda — depôt. Zwały wspaniałego węgla iskrzyły się, błyszczały, aż drgało niebieskie powietrze nad tymi górami czarnego kryształu.

Wokół depôt krążyło dwóch strażników kolejowych — Ukrainiec i Niemiec.

Kiedy zdarzało się, że obaj nikli za przegrodą węgla — być może, by odpocząć lub pogadać z kolejarzami — rozlegało się ciche nawoływanie.

Falował gąszcz zielska. Banda Indora szła do ataku. Ze dwudziestu chłopaków, czołgając się i podbiegając spadało na depôt. Czasem się udawało i wracali obarczeni wielkimi złomami antracytu.

Czasem było inaczej.

Robotnicy, z których każdy prawie miał młodszego brata lub siostrzeńca w Indykowym oddziale, umyślnie hałasowali, śpiewali i pracowali na pokaz, by odwrócić uwagę strażników, gdyby się któryś pokazał.

Spośród zielsk nagle wybiegał Indor, trzymając kurczowo bryłę węgla. Pędził jak szalony przez plac, otwierał sobie furtkę od ulicy i niknął. Za nim jeszcze ze dwóch. Buchały strzały. W oknach towarowego dworca stali Niemcy-urzędnicy. Jeden wyciągnął myśliwski sztucer, dwaj inni strzelali z wielkich rewolwerów. Głośno się śmiejąc, walili w biegnących dziesięcioletnich smyków — jak do zajęcy czy kuropatw. Spod nóg uciekających

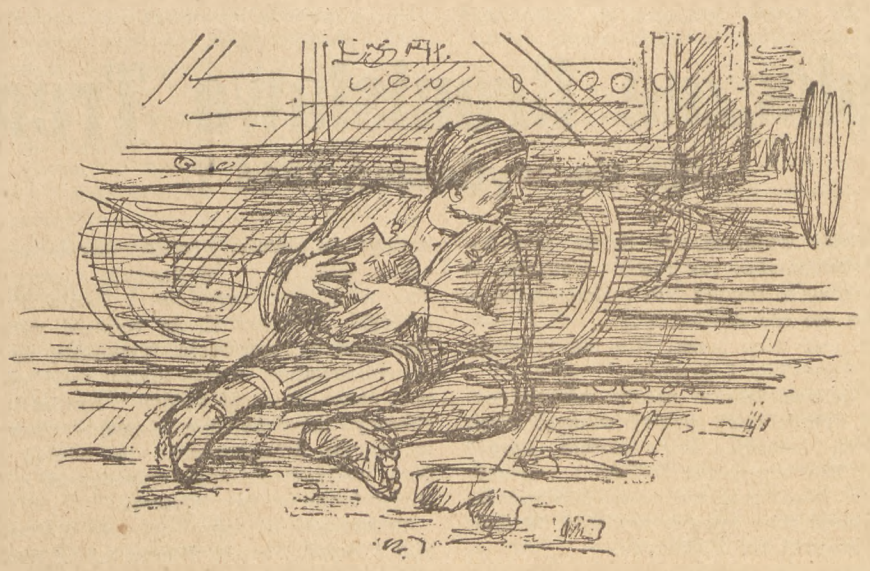

piasek wyrywał się żółtymi płomykami. Wysuwali się zza węgła strażnicy i zaczynali kropić z karabinów. Robotnicy chowali się za wagony. Kule gwizdały.

Paru najmniejszych, tych po dziesięć lat, którzy nie zdążyli zbiec z pola obstrzału, rzucało swój węgiel i instynktownie padając na ziemię poczynało się czołgać. Wreszcie dopadali wagonów. Wtedy podrywali się i jeszcze wybladli, z przerażonymi wielkimi oczyma rzucali się biegiem do zbawczej furtki, za którą była ulica.

Kiedy się Indykowi mówiło, że sam ostatecznie może ryzykować, ale dla marnego kawałka węgla nie może narażać na utratę życia brzdąców po 9 i 10 lat, śmiał się w głos i mówił:

„Co, z głodu mają zdychać? Niech spróbują przyjść do domu bez forsy. Daliby im manto. No. W całej rodzinie nieraz tylko tyle, co oni zarobią na węglu".

— — — —

Bywało, że wagony przychodziły wieczorem. Wyładowywać trzeba było po nocy — na wyścigi z policyjną godziną.

Hukały i klaskały spadające deski. Gwiazdy srebrne, czerwone i zielone mieszały się z bukietami iskier rzucanych przez lokomotywy.

Czasem błysnęły węzły szyn polizane latarką kolejarza. W trawach parę świerszczy monotonnie odrabiało swe nocne muzykowanie.

Ktoś westchnął, ktoś cicho zaklął.

Mimo hałas lecących bali i desek, coś się czaiło, skradało — nieoczekiwane i drapieżne.

Jakieś niebezpieczeństwo człapało bezgłośnie za czarnymi, czarniejszymi od nocy pudłami wagonów.

Jeden z robotników wiązał drutem „kitę" z obladrów i połamanych desek, które brano do domów jako ekstrawynagrodzenie.

Nagle w ciemność chlusnęła szczekliwa salwa rozpylacza.

Tętent biegnących stóp. Chrzęst rozchylanych badyli. Wypadł Indor. Stanął oglądając się i dalej rzucił się w noc — tylko mignęło trwożne spojrzenie i bladość twarzy wprost fosforyzująca. Znów szczeknął rozpylacz. Błysnęły ognie.

Krzyk.

I nic. Wszystko zapadło w bezdenną głąb mroku. Sekundy i minuty spadały deskami z wagonu.

Daleko zamigotała na niebie spadająca gwiazda.

Był sierpień.

Takiej nocy zginął młodszy brat Indora — Smyk.

— — — —

Kiedyś w dzień, jakich najwięcej...

Było na przemian słońce i chmury. Wiatr. Parę wagonów rozładowywano niespiesznie.

W ulicy prowadzącej wprost od parkanów ghetta załomotały podkute buty.

Przez uchyloną furtkę wpadł na nasz plac mały szaro-bury kłębek. Wiecie, jak nieraz przez uchylone drzwi wpada mysz do dużego pokoju. Nagle spostrzega, że w pokoju są ludzie i niepewna rzuca się jak strzała w prawo, nagle tuż przy ścianie w lewo, wprzód i cofa się niezdecydowana.

Magnes instynktu samozachowawczego zawodzi.

Tak właśnie szaro-bury kłębek wtargnął na naszą bocznicę. Wbiegł i stanął. Skoczył w bok. Znów skoczył. Zobaczył ludzi...

Mały półszkielet w kapocie do ziemi prawie, kolosalne czarne oczy, wprost kłujące strachem i rozpaczą. Twarzyczka w strupach, piaskowo sina.

Żyd.

Czarny Geniek stał na wagonie i właśnie wytrząsał z bambosza jakieś drzazgi czy żwir. Nic nie mówiąc, wskazał ręką na zburzyszcze dawnego tartaku, pełne odłamów cementu i stosów cegieł.

Bez słowa Żyd skoczył między ruiny.

Parę sekund i przepadł w nich.

Geniek nałożył bambosze. Robota szła dalej.

Tupot podkutych butów coraz bliższy.

Już są w furtce. Są — jeden Niemiec policaj w szturmowym hełmie i granatowy.

„Eee... hier, hier" — mówi Niemiec.

„Musiał się u was schować Żyd" — woła granatowy.

„Tylko u was — bo gdzie? Przepadł nagle jak kamień w wodę".

„Skąd — jaki Żyd? Nic nie widzieliśmy" — odpowiadamy.

„Ejże — chyba u was. No, zresztą zobaczymy. Wiecie, że za przechowanie Żyda"...

Wtem, tak jak zawsze spod ziemi, wprost przed władzą wyrósł Indor.

„Łapcie go!" — woła — „Widziałem, tam, prysnął w bramę pod dwunastym!"

„Co... Was?"...

Zza pleców policaja wysunął się niespodzianie jeden z „czarnych" kolejowców.

„Eh — Herr Indor — Ja, ja".

Nim zaskoczony Indor zdążył uskoczyć, chwyciła go potężna łapa szwaba.

„My znamy tego ptaszka. To przywódca złodziei węgla. Ach Indor... wiem nawet, jak się nazywa. Wczoraj ukradł oponę z samochodu Herr Wulfa".

Indor uczynił się różowy na twarzy, potem czerwony, karmazynowy.

„Tak, ale my szukamy Żyda" — woła granatowy. — „Dobra, jak nam pokażesz Żyda — to puścimy cię wolno".

„Ja... Jude... Jude" — pokrzykuje policaj.

„Mówiłem — tam pod dwunastym"... — drżącym głosem powtarza Indor.

Prowadzi ich. Znikają w bramie. Rozbiegają się — po klatkach schodowych, mieszkaniach. Szukają w śmietnikach.

Wołamy cicho. Mały Żyd wypełza z ruin. Wyglądamy przez furtkę. Droga wolna.

Żyd jak rzucona kula wpada wprost w tunel uliczki. Jak kot drapie się przez parkan ghetta.

Zniknął.

Ale Indora wzięli.

Wrócił do domu dopiero późnym wieczorem... Bez dwóch trzonowych zębów. Nad skronią miał krwawy skrzep i plecy stłuczone na żywe mięso.

„Ciapciaki" — mówi Kaptur, kiedy dowiedzieliśmy się o powrocie Indora.

Oczy Kaptura dziwnie błyszczą, a ręka szarpie ostro wiechę wąsów.

Stanisław Kowalewski

KRZYSZTOF GRUSZCZYŃSKI

Greczynka

„Kogda lichkowieren i mołod ja był,
Mładuju Greczonku ja strastno lubił".
Puszkin — „Czornaja szal"

Tiulowy szal, Aleksandrze, ulotna, obłoczna trema —
Cóż wart omszałych wierszy zmyślony, wonny haszysz?
Ja też kochałem Greczynkę, żeby przez dziurkę od klucza
Podglądać nieznaną miłość i z marzeń po cichu drwić.

A dziś — jej brwi
Jak łuki mostu, którego od dawna nie ma,
W dymu łuczach
Wysadzone w powietrze przez faszyzm.

Na ulicy w Atenach, jak warkocz, mierzwę strajku czeszą ogniem,
Dzieci skręcone w kłębek konają na schodach z ran.

W oknie
Jesień.
Widzę: — Greczynka niesie dzban.

Doniesie?

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA
»CZYTELNIK«

STEFAN ŻEROMSKI
PRZEDWIOŚNIE
CENA
ZŁ 200

NINA ASSORODOBRAJ
POCZĄTKI KLASY ROBOTNICZEJ
CENA
ZŁ 200

JAN KOTT
MITOLOGIA I REALIZM
SZKICE LITERACKIE
CENA
ZŁ 190

W NAJBLIŻSZYM CZASIE UKAŻĄ SIĘ

IGNACY CHRZANOWSKI
JOACHIM LELEWEL
WYDAŁ I PRZEDMOWĄ POPRZEDZIŁ STANISŁAW PIGOŃ

STEFAN ŻEROMSKI
POPIOŁY
POWIEŚĆ HISTORYCZNA
*
TRZY TOMY UKAZYWAĆ SIĘ BĘDĄ W ODSTĘPACH 10-DNIOWYCH

MICHAŁ SZOŁOCHOW
CICHY DON
*
TRZY CZĘŚCI TOMU PIERWSZEGO UKAZYWAĆ SIĘ BĘDĄ W ODSTĘPACH 10-DNIOWYCH
*
DALSZE TOMY W DRUKU

»CZYTELNIK«
SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA

IGNACY SZANIAWSKI

Oblicze społeczne Bronisława Trentowskiego

Na tle wydarzeń 1846 r.

STO LAT TEMU

W końcu lutego 1846 r. wstrząsnęły Polską powstania, z których dwa wysuwają się na plan pierwszy: jedno — tarnowskie, pod dowództwem chłopa Jakuba Szeli, drugie — krakowskie, pod dowództwem szlachcica-filozofa i rewolucjonisty Edwarda Dembowskiego. Pierwsze, znane powszechnie wśród naszego wykształconego (i na pół wykształconego) ogółu pod nazwą „rzezi galicyjskiej" i upamiętnione m. in. w „Chorale" Kornela Ujejskiego, poety-ziemianina, oraz w znanym poemacie Brunona Jasieńskiego, wciąż czeka na krytyczną, wszechstronną, a obiektywną ocenę historyka. (Kapitalna praca Romana Werfla o Jakubie Szeli jest wyjątkiem, niestety, mało u nas znanym). Drugie powstanie godne jest, szczególnie dzisiaj, nowego, materialistycznego ujęcia i oświetlenia. Z powodu tego właśnie powstania, które wiosnę ludów europejskich wyprzedziło o dwa lata, Karol Marx przyznał Polakom pierwszeństwo w walce o prawa społeczne. W tej chwili, stwierdza Marx, oswobodzenie Polski stało się punktem honoru dla wszystkich demokratów Europy. Szwajcaria i Włochy, Francja i Niemcy, Rosja i Austria, zaskoczone były niespodziewanym przebudzeniem się Polski. Sfery demokratyczne tych krajów widziały w powstaniu 1846 r. wstęp do obalenia feudalizmu. „Gazeta Kolońska" domagała się od rządu pruskiego odbudowania niepodległej Polski. Karol Marx, Fryderyk Engels, Lesner i inni stwierdzili na obchodzie brukselskim dnia 22 lutego 1848 r., urządzonym z powodu drugiej rocznicy tego wydarzenia, że Kraków był ostatnim skrawkiem niepodległej ziemi polskiej, na którym „wybuchła w 1846 r. pierwsza polityczna rewolucja, która głosiła dochodzenie praw społecznych".

WIZERUNKI DUSZY NARODOWEJ

Wypadki tarnowsko-krakowskie dały m. in. pewnemu autorowi asumpt do napisania dziwnej, bardzo ciekawej, lecz wyjątkowo rzadko u nas cytowanej książki pt. „Wizerunki duszy narodowej". Piszemy: — pewnemu — bo autor kryje się pod pseudonimem „Ojczyźniak". Książka, jak czytamy na okładce, ukazała się w Paryżu, w r. 1847.

Bolesław Limanowski, w monograficznej pracy „Historia ruchu rewolucyjnego w Polsce w 1846 r." (Kraków, 1913), opartej o materiały, dokumenty i źródła z owych czasów pochodzące, wcale o „Wizerunkach" nie wspomina. A przecież „Ojczyźniak" dzieło swoje pisał na gorąco, bezpośrednio po wydarzeniach, znał wielu uczestników walk, mówił ze zbiegami, czytał ich listy, pisane pod wpływem silnych wstrząsów historycznych i osobistych.

„Wizerunki" nie są jednak dziełem historycznym. Ich autor wcale tej ambicji nie miał. Pragnął czegoś innego: „...Nie opisuję szerzej czynów wojennych, gdyż nie Kronikę, a Psychologię krakowską z czasów powstania mam na celu" („Wizerunki", str. 81) — stwierdza sam.

Książka ta interesuje nas nie jako źródło historyczne i nie analiza historyczna wypadków sprzed 100 lat, na podstawie „Wizerunków", jest zamierzeniem niniejszych uwag, ale pokazanie oblicza społecznego ich autora. W zwierciadle bowiem tego utworu o rewolucji 1846 r. oblicze to jest szczególnie wyraziste. Sprawa jest tym bardziej interesująca, że autorem „Wizerunków" jest znany filozof i wybitny pedagog polski, Bronisław Trentowski.

CZY „OJCZYŹNIAK" BYŁ PSEUDONIMEM TRENTOWSKIEGO?

Ażeby dać odpowiedź na to pytanie, ażeby móc postawić znak równania między pseudonimem a nazwiskiem autentycznym, nie trzeba wcale długiej profesorskiej dłubaniny, żadnej analizy porównawczej, ani hipotez do sprawdzania. Nie trzeba dlatego, że istnieją dowody bezpośrednie i oczywiste, a więc najbardziej przekonywające. Tak więc w przedmowie do „Wizerunków" stwierdza autor, że będzie używał takiego języka i będzie dążył do takiego sposobu wyrażania się, jaki stosował i ustalił w „Chowannie". To właściwie wystarcza. By stwierdzić jednak całkowicie, że autorem „Wizerunków duszy narodowej" jest Trentowski, należy usunąć pewną jeszcze nieznaczną wątpliwość, powstałą z tego powodu, że przedmowa pisana jest w trzeciej osobie. Sięgnijmy zatem po inne stwierdzenia i wynurzenia osobiste. Są nimi listy Bronisława Trentowskiego, wydane przez St. Pigonia (Kraków, 1913 r., PAU). Olbrzymi ten tom (556 str.) zawiera całą prawie jego bardzo obfitą korespondencję z okresu 1836—1869.

Do Zygmunta Krasińskiego, pod datą 14 kwietnia 1847 r., pisze Trentowski: „Co do moich „Wizerunków duszy narodowej", już Bogu chwała, są ukończone, ale dopiero przed kilku dniami... Miasto własnego imienia mojego stać będzie na tytule „Ojczyźniak", a to z powodu, że nie stronnictwo jakie, ale ojczyzna i jej wyjarzmienie dzieła jest hasłem... Z księgarzem tak rzecz urządzona, iż w żaden sposób, choćby kto i skarżył, imienia autora się nie dowiedzą"...

Sprawa jest więc jasna. Nie ma potrzeby sięgać po inne listy i dowody.

Ustalić jednak jeszcze należy miejsce wydania tej przedziwnej, pełnej wewnętrznych sprzeczności książki. Czy istotnie Paryż? Otóż nie! Dla odwrócenia uwagi i wprowadzenia w błąd cenzury podał Trentowski stolicę Francji jako miejsce wydania. W istocie rzecz wyszła we Freiburgu.

JAKIEGO ZNAMY TRENTOWSKIEGO?

Wiemy, że był nie tylko filozofem, którego w szkole średniej bliżej nie umiało się określić, ale i pedagogiem, że napisał „Chowannę", że jest m. in. twórcą słowa „jaźń" i że część pierwsza jego podstawowego dzieła ma dość rzadko spotykaną u nas nazwę: — „Nepiodyka". Kto miał w ręku Kota w okresie studiów uniwersyteckich, dowiedział się o Trentowskim znacznie więcej. A więc: że dążył do pojednania filozofii francuskiej z niemiecką, że był bezwzględnym idealistą, że także i w wychowaniu hołdował niczym nieskrępowanemu idealizmowi. „Rozwiń w wychowańcu na dnie jaźni jego dyszącą nieskończoną wszystkość, zrób go wiernym wyrazem człowieczeństwa, wszechświata i Boga" — pisał w „Chowannie" sztuczną, dzisiaj śmieszną nieco, poetyczną, pełną nowotworów językowych i romantyczną prozą.

„Wychowaniec" — mawiał — „nadzian wszystkością, ale bez jedności w jaźni, byłby jako słownik objaśniający każdy wyraz, lecz nie dający żadnej umiejętności nauki i sztuki". Po odrzuceniu odstraszającego balastu filozoficznego, pompatycznej frazeologii, tłumaczyło się na język zrozumiały i przystępny fragmenty wykładu pedagogicznego, zaczerpniętego z „dydaktyki" czy „epiki". Szukało się sprawdzianu w „dzisiejszej rzeczywistości szkolnej". Okazywało się wtedy, że pełną jaźń i prawo do samodzielnego rozwoju mają tylko mężczyźni, kobieta zaś — jest dzieckiem wieczystym i posiada tylko „półjaźń" i gdy nawet zdobyła wykształcenie, to „jest zazwyczaj uczoną krową".

Kurs o Trentowskim kończyło się pomimo to z przeświadczeniem, że jest pedagogiem nowoczesnym, a dzieło jego — choć mówi o dokonywaniu czynności niebiańskich na ziemi, choć przewiduje hierarchię cnót: fizyczną, metafizyczną i moralną — zawiera wiele rozdziałów trzeźwych, jasnych i przystępnych, które dzisiaj jeszcze czekają swego urzeczywistnienia, jak np. problem samodzielności nauczania lub rozwój osobowości w wychowaniu. Zapominało się i przebaczało jego metafizykę i nowotwory: „um", „myślini", twierdzenia o jaźni poznającej, tlejącej i działającej.

Rozprawy Henryka Rowida niczego w tym względzie nie wnosiły. Przeciwnie, utwierdzały to błędne — jak wnet zobaczymy — przeświadczenie o wyjątkowej nowoczesności Trentowskiego. Entuzjastyczna praca Horodyskiego, ze swym synkretycznym ujęciem postaci tego niewątpliwie nieprzeciętnego teoretyka wychowania i filozofa jest typowym przykładem brązownictwa w pedagogice polskiej.

ASUMPT

Mamy dzisiaj okazję, by przyjrzeć się bliżej Bronisławowi Trentowskiemu. Posłuchajmy, co mówi o powstaniu chłopskim, o Jakubie Szeli, o powstaniu krakowskim. Przyjrzyjmy się, jaki był stosunek jego do młodego filozofa i rewolucjonisty Edwarda Dembowskiego, co myślał o Mickiewiczu, jak oceniał jego działalność i postępowanie. Ocena współczesnej mu młodzieży, określenie roli historycznej szlachty europejskiej i polskiej — to przecież nic innego, jak charakterystyka własnej osoby. Ocena bowiem wydarzeń historycznych, sąd o kierownikach ruchu rewolucyjnego, stosunek do feudalizmu, analiza społeczno-polityczna pańszczyzny pokaże nam w sposób jaskrawy i dość nieoczekiwany oblicze Trentowskiego. Zobaczymy, jak bardzo odbiega ono od powszechnego o nim wyobrażenia.

„Wizerunki duszy narodowej" są równocześnie wizerunkiem własnym, bardzo dokładnym i wyraźnym autora „Chowanny". Gdy „Wizerunki" uzupełnimy kilkoma faktami, zaczerpniętymi z jego listów, ujrzymy nagle człowieka wewnętrznie rozdartego, pełnego sprzeczności nie tylko uczuciowych, ale i logicznych, ujrzymy przedziwne formy jego postępowości i prawdziwe zacofaństwo. Ujrzymy niesłychany i nieprawdopodobny u filozofa brak konsekwencji.

„MATERIALIZM" HISTORYCZNY TRENTOWSKIEGO

Ten brak konsekwencji w ocenie jednych i tych samych zjawisk oraz identycznych przyczyn te zjawiska wywołujących rzuca się w oczy szczególnie przy analizie dwóch spraw: 1) ustroju Niemiec ówczesnych i 2) oceny szlachty w jej rozwoju historycznym. Tak więc Trentowski kpi z Kanta, Fichtego i Hegla. Przypomina, że wolność polityczną wprowadziła rewolucja francuska, że nowe ustawodawstwo, nowy ustrój socjalny, wolność słowa, jawność sądów, wszystko to o co Niemcy mieszczańskie dopiero teraz (tzn. w piątym dziesięcioleciu ub. wieku) zaczynają walczyć, Francja wywalczyła u siebie 50 lat temu drogą rewolucji.

Trentowski odczuwa pogardę dla niemieckiej filozofii i nauki. Bierze jej po prostu za złe, że ani Kant, ani „berlińskie sowy" — jak złośliwie określa niemieckich filozofów — wcale nie wpłynęli na zmianę ustroju socjalnego w Niemczech, nie zmienili reakcyjnego ustawodawstwa pruskiego. Ojczyzna Kanta i Hegla pielęgnuje wszystkie historyczne przywileje, „bije czołem przed szlachtą". Z ironią mówi o mieszczaństwie niemieckim, które domaga się konstytucji, nędzniejszej i bardziej zachowawczej niż wszystkie te, które wydała Francja od czasów rewolucji. Pełen szacunku dla Encyklopedystów i Woltera, Fouriera, St. Simona, pisze dosłownie: „Zgoła dzisiejsze utopie socjalistów i komunistów mnożą nasiona zdrowe na przyszłość i wydadzą owoce". („Wizerunki", str. 21). Krótko mówiąc: hańba i pogarda sferom zachowawczym, vivant rewolucjoniści!

W swoich uwagach o szlachcie posuwa się Trentowski bardzo daleko. Doskonale maluje jej klasowe oblicze. Określa ją jako „nędzną i nikczemną" warstwę społeczną — wszystko jedno, czy to będzie szlachta niemiecka, francuska czy angielska. Zarzuca jej, że współdziała i współpracuje z jezuitami i wszystkimi ciemnymi siłami świata. „Nienawidzi" — pisze jak najdosłowniej — „wolności, światła i postępu". Szlachta jest przeciw rozwojowi, przeciw oświeceniu, przeciw uwłaszczeniu, pragnie, by feudalizm pozostał wieczną, niezmienną formą ustrojową. Szlachta wymaga, ażeby „lud był, jak ongiś w wiecznym niemowlęctwie i barbarzyństwie". Szlachta chce ciężkiej, niewolniczej pracy chłopa. „Precz z nią, na szubienicę!" — woła z emfazą Trentowski. — „Szlachta dziedziczna to średniowieczny upiór, obrażający oko wieków naszych" („Wizerunki", str. 33).

Z niemałym zaciekawieniem śledzi się dalsze, pełne temperamentu wywody. Z pewnym nastawieniem, nie pozbawionym zresztą uzasadnienia, czekamy, co powie Trentowski o naszej, polskiej szlachcie, o naszym, polskim feudalizmie, o upokorzeniu i cierpieniach naszych pańszczyźnianych chłopów. Zdawałoby się, że zachowa tę samą historiozofię i historiologię także i w sprawach polskich. Oczekujemy tego. Okazuje się, że niesłusznie!

W odniesieniu bowiem do szlachty polskiej buduje Trentowski teorię specjalną, daleko bardzo odbiegającą od ogólnych jego założeń na ten temat. Uczy, co robić i czego unikać, ażeby obudzić „podwójną miłość" między szlachtą a chłopstwem pańszczyźnianym, aby zniweczyć „podwójną nienawiść" między tymi dwiema klasami społecznymi. Walka klasowa bowiem jest uzasadniona wszędzie, ale stosowana u nas, nie doprowadzi do niczego. Nam przydałby się solidaryzm.

Kto chce pogrzebać szlachtę polską, ten burzy „jako przeszłowieczny Jakobin". Bo cóż zyskuje lud polski — pyta Trentowski — przez zniesienie przywilejów szlacheckich? Nic. Po cóż — wymierzać sprawiedliwość dziejową naszej szlachcie? — Na nic! „Demagogiczna i komunistyczna demokracja" która wzywa do powstania, do walki socjalnej i narodowej, budzi w Trentowskim święte oburzenie. Zdawał sobie sprawę z tego, że przewroty społeczne, dokonywane przez klasy uciskane, są zjawiskiem zupełnie zrozumiałym, całkowicie uzasadnionym, a więc naturalnym i nieuniknionym — ale nie u nas!

W przeciwieństwie do Dembowskiego np. sądził, że rewolucja i niepodległość Polski nie mają ze sobą nic wspólnego. Był najświęcej przekonany, że wszelki ruch rewolucyjny i walki w łonie polskiego społeczeństwa są niepodległości tej pogrzebaniem. Pomimo, że oglądał burzę rewolucyjną, która przeszła przez Polskę w roku 1846 i własnym uchem przysłuchiwał się jej wstrząsom, zdania ani stanowiska swego nie zmienił. Nie zmienił szczególnie w odniesieniu — do własnego narodu.

„Europejczyk musi potępiać szlachtę w ogóle" — pisał — „jako zbutwiałe, do grobu zgasłych wieków należące ciało. Polak zaś powinien bronić przynajmniej szlachty naszej — jako głowy i serca własnego narodu". Nie rozumiał, bo nie chciał tego rozumieć, że szlachta polska jako klasa panująca, syta i uprzywilejowana, hamowała postęp narodu, powstrzymywała wszelkimi sposobami rozwój ekonomiczny, a więc także i kulturalny polskiego społeczeństwa. Uważał, że wolne i niepodległe państwa mogą „wzdychać" za rewolucją i reformą, natomiast Polska ujarzmiona dążyć winna do restauracji. Tak więc egoizm klasowy — jakbyśmy dziś powiedzieli — zmusił Trentowskiego do takiej niekonsekwencji, do takiego dualizmu w poglądzie na świat zjawisk historycznych.

Gdy w dniach 25 i 26 lutego 1846 roku zniesione zostały wszelkie przywileje szlacheckie, gdy odrzucono tytuł „jaśnie wielmożny pan", a wprowadzono: „ty", „obywatelu", „bracie", oburza się Trentowski. Uważa, że tą sprawą powinni się zajmować — proszę posłuchać! — gramatycy, filologowie, a nie rząd rewolucyjny, który swoją odezwę kończy słowami: „Bronić trzeba praw właśnie uchwalonych przeciw każdemu, kto by je wydrzeć chciał — nam ludowi, nam chłopom, nam Polakom".

„PRZYCZYNY" I PRZYCZYNY

Pod bezpośrednim wpływem „rzezi galicyjskiej", która przywodzi mu na myśl rzeź humańską i nasuwa porównanie z okrutną wojną chłopską z czasów reformacji w Niemczech, pisze Trentowski: „Los okropny tknął najliberalniejszą część szlachty, tę właśnie, która obchodziła się najłagodniej z chłopstwem, a pracowała szczerze około polepszenia moralnego i materialnego jego bytu i tknął tych wszystkich, co najpatriotyczniejsi byli w Galicji i myśleli najgorliwiej o ojczyźnie. Rozbójnicy chodzili od wsi do wsi bandami" (str. 95).

W tym samym roku, w którym Marx i Engels ustalili naukowe zasady pojmowania historii rozwoju społeczeństw, w tym samym mniej więcej czasie, kiedy w manifeście komunistycznej partii ustalone zostały w sposób dotąd niezbity przyczyny, skutki i prawa rządzące walkami społecznymi, w roku ogłoszenia pierwszych zasad historycznego materializmu — tak oto „Ojczyźniak"-Trentowski wyjaśnia trzy przyczyny wydarzeń 1846 r.: Pierwsza przyczyna — to Żydzi, którzy siedzieli po karczmach i nauczali, że cesarz austriacki już od dawna zniósł pańszczyznę, lecz feudalni panowie ukrywają łaskę jego cesarskiej mości przed ludem.

Druga przyczyna — to tzw. „urlopniki", tj. wysłużeni w austriackim wojsku chłopi. „Urlopniki" próżnujący, przesiadujący po karczmach, będący — mówiąc językiem Trentowskiego — rojem szubrawców i przestrachem Galicji, „którzy pracowali wciąż około — po austriacku tzw. — oświecenia wieśniaka, wzniecając miłość ku cesarzowi, a nienawiść ku szlachcie narodowej".

Trzecia przyczyna: „Demagogi paryskie i poznańskie, do których przyłączyli się wysłańce Paszkiewicza"...

Dzisiaj wiemy, że w owym czasie rozpoczęły się w Galicji prace nad uprawą ogromnych obszarów kartofli. Zaczął się ucisk ludu. Ciężka praca pochłaniała mnóstwo rąk. Czas pracy i wysiłek zwiększył się trzykrotnie. „Dorobkiewicze" wprowadzili najbezwstydniejszy wyzysk. Lud odżywiał się tylko kartoflami i — pił tanią wódkę. Degenerował się i demoralizował. (To — tak, dla przypomnienia niektórych tylko cech naszego feudalizmu w piątym dziesięcioleciu XIX w.).

ŻELEŹNIAK... I SZELA

„Rzeź galicyjska" była okropniejsza niż humańska. Analiza tych dwóch powstań chłopskich doskonale uzupełnia portret społeczny autora „Chowanny". To, co mówi o Humaniu — jakżeż dobitnie charakteryzuje jego samego! W rzezi humańskiej bierze udział lud „ruski", schizmatycki, a więc daleki od katolicyzmu. Płomień rewolucji na Ukrainie wybucha przeciw gnębicielom językowym, religijnym i politycznym; ma przynajmniej uzasadnione powody — pisze Trentowski — bo lud doznawał długo nieznośnego uciemiężenia od szlachty, jezuitów „czyli w ogóle od lachów". Żeleźniak był na usługach Moskwy. Jego wojsko składało się ze złodziei, włóczęgów i różnego rodzaju łotrów.

Ale — i tego Trentowski nie może absolutnie pojąć — w wypadkach, które rozegrały się w Tarnowie, Bochni, Rzeszowie, Jaśle, Sanoku, Nowym Sączu, wziął udział lud szczeropolski, mówiący pięknie mową ojczystą, „którego język jest tak czysty i piękny, że pisarze nasi udają się do niego po naukę rzetelnej polszczyzny, którego mowa tak miła i słodka, że panie nasze podsłuchują go rade, chcąc przejąć odeń zdolne po towarzystwach wyższych uprzyjemnić je brzmienia"... I ten lud polski a katolicki różnie szlachtę równie polską i katolicką. Tego Trentowski nie chce rozumieć, chociaż zdolny jest rozumieć identyczne procesy w innych społeczeństwach. W naszym wypadku widzi tylko Żyda, sprzedającego zrewolucjonizowanym masom gorzałę i — Niemca, brzękającego worem pieniędzy nad uchem Jakuba Szeli.

SŁOWO O DEMOKRATACH

Do wspomnień o nocy listopadowej powraca Trentowski często i chętnie. Piętnastolecie, jakie dzieli ją od kongresu wiede-

skiego, a więc czasy „Kordiana i chama", są mu równie dobrze i dokładnie znane, jak piętnastolecie następne, poprzedzające powstanie chłopskie 1846, a więc czasy „przedwiośnia ludów". Warto więc na chwilę zatrzymać uwagę czytelnika.

Te dwa piętnastoletnie okresy, w których Trentowski dostrzega oczywisty związek przyczynowy, stają się przedmiotem szczególnie namiętnej i nadzwyczaj znamiennej dla autora „Wizerunków" analizy społeczno-politycznej. Scharakteryzowawszy dokładnie, ciepło i życzliwie, działalność stronnictwa patriotycznego w kraju, oraz jego trzech naczelników: arcybiskupa Dunina, hrabiego Edwarda Raczyńskiego i Karola Marcinkowskiego, przechodzi do oceny stronnictwa demokratycznego w Poznańskiem. Od razu stwierdza, że demokraci naukę swą przejęli od emigracji paryskiej oraz niemieckich „półmędrków", jak np. Feuerbach.

Trentowski uzasadnia, dlaczego nauka demokratów nie mogła się przyjąć. A więc przede wszystkim dlatego, że ostrze jej skierowane było przeciw katolicyzmowi, po drugie przeciw szlachcie, po trzecie przeciw językowi ojczystemu. Na czym polega zły stosunek demokratów do mowy ojczystej? Na tym, że używali wyrazów i zwrotów lżących przodków wielkich, „przekrzywiając dzieje ku zamiarom swoim". Język demokratów ranił serca i obrażał najszlachetniejsze uczucia patriotów. Następny ich grzech polega na tym, że dążyli do wyzwolenia ojczyzny przez wojnę socjalną, a więc po prostu przez rewolucję. Pomimo wszelkich przypuszczeń i obliczeń, przywódcom demokracji udało się zgromadzić koło siebie „niemałą liczbę zwolenników". Bo demokraci ukrywszy cel właściwy (?) głosili wszem, że chcą szczęścia ludu i „przypuszczenie go do obywatelstwa", że chcą w chłopach wzbudzić miłość ojczyzny przez zapewnienie im prawa własności i „praw człowieczeństwa" i porwać do walki wyzwoleńczej z wrogiem. Nic dziwnego, że obóz demokratyczny wzrastał. Demokracja stała się po prostu modą i nabrała sił.

Oczywiście i podówczas byli koniunkturalni postępowcy i malowani radykali oraz „konie trojańskie". O nich Trentowski tak pisze: „Byli i tacy, co udawali się do demokratów, wiedząc dobrze o tym, że oni właściwie są demagogami, a nauka ich pachnie socjalizmem, komunizmem... Sądzili, że uda im się zakierować patriotycznie — demokratyczną siłą". Z jaką pasją opisuje Trentowski atak obozu demokratycznego na „patriotów". Nie może demokratom przebaczyć ich walki przeciw Raczyńskiemu, pomimo, „że mąż ten składał tysiące talarów na ołtarzach dobra ogólnego". Demokraci uderzyli najbezwstydniej na „zacnego hrabiego", zarzucając mu — proszę posłuchać — że jest arystokratą, obrońcą przywilejów szlacheckich i wstecznictwa („historyzmu i zwrotu"). Na czele obozu demokratycznego stał wówczas Edward Dembowski, młodziutki, wykształcony, rewolucyjny kasztelanic i jego stryj — Henryk Kamieński.

EDWARD DEMBOWSKI W OCZACH TRENTOWSKIEGO

Chcemy — pokrótce oczywiście — przedstawić Dembowskiego, szlachcica-rewolucjonistę tak, jak go widział autor „Chowanny". W ten sposób damy swoistą charakterystykę wypadków krakowskich 1846 roku, oraz nowe szczegóły do charakterystyki samego Trentowskiego. Edward Dembowski osiadł w Poznaniu. Tu poznaje niemiecką filozofię. Tu poznaje przede wszystkim podstawy heglowskiej nauki oraz prekursora materializmu — Ludwika Feuerbacha i filozofów heglowskiej lewicy. Trentowski powiada, że młody Dembowski „oszalał całkowicie na punkcie postępowości". A już wybaczyć mu nie może, że zainteresował się Wolterem, a co najgorsze, nauką polskich demokratów emigracyjnych.

Oburza się Trentowski na młodego rewolucjonistę, że znalazłszy w hasłach polskich demokratów myśli radykalne i postępowe, „zostaje wściekłym demagogiem, idzie do Galicji i przyprawuje chłopstwo do rżnięcia szlachty". W lutym 1846 roku „Rząd Narodowy" ogłasza słynny manifest do społeczeństwa. Manifest ten uzasadnia potrzebę zjednoczenia walki o niepodległość z rewolucją socjalną. Analizując cały manifest, Trentowski przytacza dosłownie tę jego część, w której mowa o zniesieniu przywilejów szlacheckich, o zabezpieczeniu rodzin pracujących, o opiece społecznej, o nadawaniu chłopom ziemi bez odszkodowania. Bez ogródek stwierdza, że autorem tej części manifestu jest nie kto inny tylko sam Dembowski, który wprawdzie wypowiedział wojnę trzem zaborcom, ale równocześnie zapalił płomień rewolucji.

Z początku powstania Tyssowski stał się faktycznie dyktatorem Krakowa. To dało Trentowskiemu asumpt do następującej wypowiedzi: „Gdyby zacny Tyssowski nie był tego uczynił, szalony Dembowski zostałby dyktatorem i Kraków pływałby we krwi mieszkańców swoich". Żałuje Trentowski, że nie „palnięto w łeb" młodemu rewolucjoniście.

W artykule „Rewolucja i lud" ogłoszonym w nr 2 „Dziennika Rządowego" 1846 r., pisał Dembowski: „Ja żyłem z ludem galicyjskim, pracowałem z nim konspiracyjnie i ogłaszałem mu rewolucję społeczną... Kochajcie lud i jasno mu wypowiedzcie i faktem okażcie, że rewolucja dla naszego dobra dokonana, a pójdzie i sam opowiadać będzie ewangelię rewolucyjną". Trentowski, opatrując komentarzem ten artykuł, stwierdza, że lud zdradził i zniweczył cały ruch narodowy, że lud idzie nie za głosem miłości, ale za głosem nienawiści, za głosem rewolucjonisty „opętanego przez jakobińskiego czarta".

OJCOWIE I DZIECI W 1846 R.

Bywało nie po raz pierwszy i nie ostatni, że synowie konserwatywnych rodziców, młodzieńcy, wychowani w „patriotycznych" domach szlacheckich, znaleźli się w czasie powstania w szeregach rewolucji. To, że Trentowski pochwala „patriotów", iż nie wzięli udziału w „nieroztropnym" ruchu, już nas nie dziwi. Natomiast nie bez zdumienia czytamy uwagi tego wybitnego naszego pedagoga i teoretyka wychowania, oceniające stosunek rodziców do części młodzieży, która chwyciła za broń. Co za brak wyrozumiałości dla młodzieńczego porywu! Jaki patriarchalny konserwatyzm!

Autor „Chowanny" pochwala i aprobuje, niesłychane jak na nasze wyobrażenia moralne, doniesienia rodziców na własne dzieci. Gdy po upadku powstania zaczęły się areszty wśród demokratów, ojcowie-„patrioci" wydawali w ręce władz — synów-demokratów, Trentowski, filozof i pedagog, tak oto dosłownie ocenia tego rodzaju postępowanie: „I można to przebaczyć! Jakże się tu nie oburzać aż do wątroby, by też i na najmilejszego syna, kiedy on w jednej chwili to niweczy, nad czym pracowali najdzielniejsi mężowie przez lat trzydzieści". Oto klucz do zagadki, dlaczego Trentowski rozumie socjalizm i walki społeczne — u innych, dopuścić ich nie chce i miejsca dla nich nie przewiduje — we własnym kraju.

Do postępowego odłamu młodzieży polskiej odnosi się szczególnie źle i wrogo. Charakteryzuje ją wyraźnie w sposób negatywny. Jakaś przedwczesna starość opanowała młodzież ówczesną — stwierdza melancholijnie. Nie chcą się chłopcy uczyć! Nie biorą się do niczego. Lubią oczywiście hulanki i swawole. Nie są dość patriotyczni. Za często mówią o demokracji, socjalizmie i komunizmie. „Gdyby przyjść miało do ruchu, byliby po stronie Edwarda Dembowskiego i popsuliby najlepszą sprawę" — przyznaje z bólem.

TRZY FUNDAMENTALNE SIŁY

Co zadecyduje o przetrwaniu narodu polskiego? Jakie czynniki podstawowe stanowią o sile i spoistości społeczeństwa polskiego? Trentowski daje na to odpowiedź jasną i prostą: język ojczysty, wiara katolicka i szlachectwo polskie. Zwróćmy uwagę na dwie ostatnie sprawy. Trentowski, trzeba to przyznać, nie jest w sprawach katolicyzmu zupełnie zaślepiony i zaskorupiały, skoro pisze, że „katolicyzm, zwłaszcza od jezuitów nauczony, nie jest mocą postępową". Jemu, kalwinowi z pochodzenia, łatwo jest stwierdzić, że katolicyzm Zygmunta III i „synów Loyoli" oślepił i ogłupił ducha narodowego. Nawet wojny kozackie, szwedzkie, ba — upadek Rzeczypospolitej znajdują swoje źródła w katolicyzmie. Świadom jest także, że jezuityzm nie wskrzesi Polski, ale „on nabalsamował i strzeże ciało tej wielkiej nieboszczki". W krajach protestanckich widzi Trentowski pracowitość, rozwój przemysłu, dobrobyt, a w katolickich — „próżniactwo, opilstwo, nędzę". A mimo to uważa, że katolicyzm jest ostoją polskości.

Szlachta nasza jest przedmiotem szczególnych jego zachwytów. Jej uprzywilejowanego stanowiska gotów jest strzec najbezwzględniej, bo „sporządza u nas naród i oddycha patriotyzmem". Zresztą, stanowisko swoje sprecyzował na różnych stronach „Wizerunków" i z różnych powodów dał wyraz swoim poglądom jako nieustępliwy jej obrońca, a więc obrońca polskiego feudalizmu, lub jeśli trzeba — nawet advocatus szlachty wysferzonej. „...Zapala w piecu u Żyda i rąbie drzewo u Niemca jako rękodajny wyrobnik, ale wydrze Żydowi pejsy, a Niemcu — oczy, jeżeli nie powita go jako szlachcica z zacnej krwi odwiecznej słowami: — „Gnädiger Herr"...

SYNKRETYZM POLITYCZNY CZY — EGOIZM KLASOWY?

Konserwatyzm Trentowskiego nie wynika wcale z synkretyzmu światopoglądowego. Wykształcony gruntownie filozof, doskonale obznajomiony z kierunkami politycznymi i prądami społecznymi swego czasu, znał równie dobrze rozbicie ideologiczne rodaków tak w kraju jak i na emigracji. Wcale bystrym okiem dostrzegał nici łączące lewicę polską w Poznaniu i w Krakowie z jej odpowiednikiem we Francji. Drogi zaś kontaktów prawicy emigracyjnej z „patriotami" na ziemi ujarzmionej były często przedmiotem jego studiów.

Nie patrzył na emigrację synkretycznie, a więc jak na jedną całość. Widział wyraźnie wspólne tendencje sił demokratycznych emigracji i kraju i oddzielał je od obozu przeciwnego.

Wiedział kim był Goszczyński, Ściegienny, Henryk Kamieński i doskonale zdawał sobie (i innym) sprawę, czego chcieli i ku czemu szli. Znał program „Związku Plebeuszów" i „Gromady Grudziąż" no, i przede wszystkim, dokładnie wiedział, kto był Mickiewicz w piątym dziesiątku lat ubiegłego wieku. A jednak — nie zdobył się na ostatni krok. Nie stanął po ich stronie, choć mu logika i świadomość bezustannie nakazywały to uczynić. Wśród imponująco olbrzymiej jego korespondencji znajdziemy jeden tylko list do autora „Ody do młodości", natomiast jakże często i chętnie pisywał — do hrabiego Zygmunta.

Bo Mickiewicz był za walką o niepodległość, za walką chłopów przeciw pańszczyźnie, za stworzeniem ojczyzny wolnej nie tylko od zaborców, ale i feudalizmu. „Czym reformatorowie, pominąwszy inne błędy" — mówił w Paryżu na wykładzie Mickiewicz w lutym 1844 — „łudzą się okropnie, to mniemaniem, że można pokonać złe, nie wypowiadając mu wojny. Rewolucjoniści i pacyfikatorowie razem, Dżengischany, kiedy marzą, łagodne Fénelony, jak przychodzi wziąć się do rzeczy, gadają, że świat się przewróci bez niczyjego trudu i sami nie myślą przyczynić się do tego czymkolwiek".

Oto przyczyna, dlaczego Trentowski nienawidził twórcy Legionu włoskiego, który, gdy, zaniechał pisania, zaczął walczyć i nigdy już nie przestał głosić, a swoim życiem — uzasadniać, że dobry polityk powinien być rewolucjonistą, a nie reformistą.

STOSUNEK DO MICKIEWICZA

Poznanie w skrócie, chociażby i pobieżnie, stosunku Trentowskiego do Adama Mickiewicza ma dla nas szczególne znaczenie. Jeszcze w 1842 r. w pełnym uniżoności liście do ks. M. Radziwiłła wypowiada on swoje polityczne credo, śpiewa pean na cześć Prusaków, kaja się i korzy przed możnowładcą, donosząc mu, że przestał być pantelistą, usprawiedliwia dawną swą wolnomyślność, podkreśla, że uznaje Boga, uwielbia chrześcijaństwo i gotów jest bronić gorąco istniejącego porządku rzeczy. O Mickiewiczu pisze z oburzeniem, stwierdzając, że podsyca emigrację i kraj fanatyzmem, że pisma jego opanowują nie tylko emigrację, ale i kraj, w szczególności — młodzież. „Już niejedna scena nawet w Prusach pokazała, jak niebezpieczny jest ten lew lerneński" („Listy", str. 84), zaś w liście do Poplińskiego, w tym samym roku woła: „Precz z artykułami Witwickich, Mickiewiczów et comp".

Jak bardzo sympatie polityczne przesłaniały Trentowskiemu obiektywizm, świadczy jego wyznanie w liście do Nakwaskich. Nie odmawia Mickiewiczowi zasług i talentu. Ale jakżeż on gaśnie w porównaniu z hr. Zygmuntem. „Tak zupełnie blednieje księżyc, gdy słońce wschodzi". Nic dziwnego!... Autor „Pana Tadeusza" zbrudził się w czasie wiosny ludów „gminowczym szałem" we Włoszech. To, że Hegel stracił w Polsce uznanie i powodzenie, jest niewątpliwie wielką winą Mickiewicza, który jest „stokroć czerwieńszy od Hegla". Tak to, mówiąc językiem plotkarzy, poza oczyma pisał — o Mickiewiczu. A w oczy?

Dziwnie i nieprawdopodobnie wygląda list pisany do autora „Sonetów krymskich". Jedyny list jaki znajdujemy w cytowanym wydaniu, pełen jest eleganckich zwrotów i powiedzeń, pełen szacunku i pochwał. Autora „Alpuhary" nazywa czcigodnym poetą. Podkreśla, że jest jego dłużnikiem i zawdzięcza mu poczucie piękna języka ojczystego. Nazywa go mistrzem w wyrażaniu uczuć ludzkich. Jakżeż odmiennie ocenia swoją pracę i pogląd na świat, jakżeż bardzo odbiegają autocharakterystyki: jedna, pisana do Mickiewicza od drugiej, pisanej do ks. M. Radziwiłła. Jedyny ten list do Adama tak się kończy: „...chociażby mię kiedy Mickiewicz odepchnął, to ja przecież zawsze będę dla niego z największym uwielbieniem i najgorętszym uczuciem („Listy", str. 21). Widzieliśmy, jak to „uwielbienie" wyglądało.

JEDEN WNIOSEK I — WNIOSKI OGÓLNE

Wystarczy rzucić okiem na tytuły najważniejszych utworów Trentowskiego, aby stwierdzić, jak bardzo wszechstronne były jego zainteresowania intelektualne. Głębsza lektura jego prac pozwala stwierdzić, jak był gruntownie wykształconym człowiekiem. Znał doskonale historię filozofii, logikę i teorię poznania, pedagogikę, historię, biologię. Interesowała go również polityka. Napisał nawet traktat pt. „Stosunek filozofii do cybermetyki lub sztuki rządzenia narodem" (1843), nie mówiąc o „Wizerunkach duszy narodowej" (1847), wreszcie „Przedburzy politycznej" (1848). Korespondencja jego wykazuje, jak bardzo żywo, inteligentnie, z dużą elegancją w wyciąganiu wniosków i przestrzeganiu form językowych i towarzyskich reagował na współczesne mu zjawiska historyczne i społeczne.

A jednak w pewnych sprawach nie chciał, nie umiał należycie wnioskować, chociaż napisał utwór dwutomowy „Myślini czyli całokształt loiki narodowej". Znał arystotelesowską sylogistykę, znał jak my dzisiaj, klasyczny sylogizm:

Wszyscy ludzie są śmiertelni,
Sokrates jest człowiekiem,
Sokrates jest śmiertelny.

Pomimo to, z założenia ogólnego, że „szlachta w całej Europie jest śmiertelna" nie chciał i przez analogię nie umiał wyciągnąć wniosków o śmiertelności naszej szlachty. To zmusza do zastanowienia.

Przyczyn jest kilka. Pierwsza — to uczuciowy związek ze sferami zachowawczymi, szlachecko-konserwatywnymi. Ta uczuciowa przynależność klasowa i marzenie, by w sferze tej klasy społecznej znaleźć się i zostać, mąci filozofowi czystość jego sądu i jasność wniosków społeczno-politycznych. To nic, że był sam w materialnie ciężkich warunkach, że był człowiekiem wysferzonym majątkowo, towarzysko (z racji wrogiego stosunku do katolicyzmu) i językowo (pisał i wykładał przez długie lata po niemiecku). Polski magnat był dla niego symbolem jedynej realnej siły społeczeństwa i nie mógł wyobrazić sobie takiego stanu rzeczy, w którym by szlachta w Polsce przestała być warstwą rządzącą.

Co nas w związku z tym zastanawia — to owa słabość charakteru Trentowskiego, który w teorii hołdował radykalnej myśli, ale — na wynos, w praktyce zaś, w domu, przymocowany do dyszla konserwatyzmu, dreptał, jak koń w kieracie, w zamkniętym kręgu bez wyjścia. W tym miejscu warto przypomnieć pewien moment natury biograficznej. Trentowski przez długie lata nadaremnie starał się o katedrę najprzód we Fryburgu, potem w Poznaniu, wreszcie w Krakowie. O obsadzeniu katedr decydowali sto lat temu wyłącznie ludzie konserwatywni, hrabiowie, panowie. Wobec tego trzymał się klamki pańskiej, bo zawsze ten lub ów dobrodziej obdarzał go, jeśli nie stanowiskiem, to przynajmniej większą lub mniejszą sumą i — demoralizował. Otóż zaprzedanie się i uzależnienie od bogaczy i możnych, którym nie mógł i nie chciał narazić się — to przyczyna druga.

Trzecia przyczyna, wynikająca zresztą z poprzednich, to swoisty oportunizm Trentowskiego. Ostatecznie jego teorię walki ze szlachtą w całej Europie, z wyłączeniem oczywiście naszej, przyjęła szlachta polska z wielkim uznaniem. I nie kto inny, jak właśnie autor „Urywków politycznych" szukał dla tej swojej podstawy uzasadnień — i to nie byle jakich. W ten sposób nie wykroczył on poza udeptane ścieżki feudalnej myśli polskiej, szlacheckiego rozumowania oraz taktyki szlachty względem chłopów i zaborców.

Dembowski i Kamieński poszli dalej, rozszerzyli pojęcie walki ze szlachtą konsekwentnie i bez wyjątku, albowiem widzieli i wiedzieli, że nie należy w walce o niepodległość liczyć na tę warstwę społeczną, która już się nie rozwijała, jakkolwiek była jeszcze w społeczeństwie polskim siłą dominującą, lecz — na warstwę chłopską i rodzące się w owym czasie nowe, młode siły społeczne.

Ignacy Szaniawski

NOWE BROSZURY AKTUALNO-POLITYCZNE

	zł
OSÓBKA-MORAWSKI I GOMUŁKA: Walka o jedność narodu. (Pierwsze autoryzowane wydanie programowych przemówień, wygłoszonych na zebraniu Aktywu Warszawskiego PPR i PPS dnia 27 lutego 1946 r. w Warszawie)	8·—
LANOTA: Młodzież wczoraj a dziś	14·—
MARCISZ: Co należy wiedzieć o Radach Zakładowych	15·—
BRUM: O imperializmie	13·—
SZAFF: Pogadanki ekonomiczne	26·—

Do nabycia we wszystkich księgarniach

Centrala Łódź, Piotrkowska 86 wysyła za zaliczeniem lub wpłatą na konto PKO VII/995

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA »KSIĄŻKA«

Dr A. Wander S. A. Kraków

KRYSTYNA GRZYBOWSKA

Czy teatr upowszechniony?

Jakkolwiek to twierdzenie wydać się może ryzykowne i paradoksalne — teatr osiemnastowieczny, a częściowo nawet dziewiętnastowieczny był bardziej demokratyczny, bardziej „upowszechniony" niż teatr dzisiejszy.

Był o wiele dostępniejszy dla publiczności, a widownia brała czynny udział w przedstawieniu, manifestując głośno swoje uczucia i żądania. Umożliwiała to instytucja tzw. parteru. W polskim teatrze, u samych jego początków parter rozciągał się przez całą szerokość sali; siedziano tam na ławach, bądź stano ramię przy ramieniu w ścisku niesłychanym. Oto opis widowni z roku 1847 w teatrze „Rozmaitości" w Warszawie:

„Głowa przy głowie, zdaje się, że tysiące tworzą jedno wielkie cielsko, gwar ogłuszający, gorąco piekielnie, wrzawa i śmiechy. Spektatorowie ściśnieni nie mogą się literalnie ruszyć, mając tylko ręce na zewnątrz wyciągnięte. Paradysowi podają chustki do obcierania zapotniałych twarzy, a czuły jeden małżonek na parterze unosi na ręku żonę swoją, która obejmuje go za szyję — i tak nieruchoma, zbita fala widzów trwa aż do końca widowiska".

Parter był wyrocznią i dyktatorem w sprawach scenicznych. Nie był tak awanturniczy i rewolucyjny jak parter angielski, ani tak złośliwy, dowcipny i pełen temperamentu jak parter francuski — za to współcześni przypisują mu ogromny dar nawiązywania łączności z artystami i oddziaływania na nich. W Krakowie jeszcze do roku 1893 istniał parter stojący, ograniczony już tylko do ostatnich rzędów. W historii kultury polskiej ma on swoją odrębną kartę. Na nim to podpatrywał tajemnice Melpomeny Wyspiański i na nim zrodziła się owa szczególna atmosfera Młodej Polski, gdy to wedle świadectwa Przybyszewskiego zdumiewające „zainteresowanie budziła Sztuka i Literatura, jakie walki rozgrywały się w obronie pewnych haseł, namiętne zapasy staczano, aby je zwalczać i unicestwiać..."

Niestety rozwój teatru od wewnątrz szedł w kierunku przeciwnym. Teatr byt swój opierał przeważnie na repertuarze, ocenianym przez kierowników teatralnych przede wszystkim wedle jego „kasowości". Sztuka i artyzm były najczęściej tylko frazesami, którymi maskowało się wstydliwie zabiegi o jak największą frekwencję. I tak jest po dziś dzień. Daleko odbiegliśmy od czasów, w których archont grecki wybierał trzy sztuki najgodniejsze ukazania ludowi na dorocznych festiwalach. Impas, w jakim się znalazł teatr pod koniec XIX i w początku XX wieku, dowodzi, że droga ta jest fałszywa. Mimo systematycznego schlebiania rzekomym gustom widowni, napływ widzów maleje. Subwencje nie rozwiązują sprawy, bo jednocześnie wskutek reformy w zakresie środków artystycznych wzrastają niepomiernie koszty wystawienia. W dodatku zacieśnia się krąg widzów; jest to przeważnie tzw. drobnomieszczaństwo. Nie tak łatwo zaimponować mu byle czym, a imponuje mu właśnie to, co najkosztowniejsze: mechanizmy, tricki, „prawdziwa" powódź, przekrój domu trzypiętrowego, dekoracje i stroje jak najbardziej „autentyczne".

Teatr zatraca prostotę wyrazu i treść. Jednocześnie nie dopuszcza się do teatru tzw. tłumu. Powstaje wiele nowych gmachów teatralnych tak skonstruowanych, że dla tej kategorii widzów miejsca w nich nie ma. W krakowskim teatrze miejskim skasowano parter stojący. Boleje nad tym bardzo historyk teatru polskiego Karol Estreicher, gorliwy zwolennik parteru. Stwierdza on, że tylko dzięki parterowi widowiska mogły być dostępne dla wszystkich klas społeczeństwa. Znosząc tani parter zamknięto dostęp do teatru młodzieży uniwersyteckiej i robotniczej oraz młodzieży szkół średnich. Na ich miejsce przyszła publiczność, którą Estreicher nazywa zlodowaciałą; nie ma ona wpływu na powodzenie sztuki, nie jest podnietą dla aktorów.

Nawoływania o teatr dla ludu, dla mas — o teatr powszechny, a jak dziś mówimy, demokratyczny, pierwszy raz pojawiły się w erze wielkiej rewolucji we Francji. Próby, które podjęto, trwały zbyt krótko, aby wywrzeć jakiś wyraźniejszy wpływ. Na przełomie wieku dziewiętnastego i dwudziestego zorganizowano wiele teatrów ludowych we Francji, Niemczech i Szwajcarii, co pozostawało w związku z rozwojem ruchu robotniczego. Niektóre z tych teatrów rozwijały się wcale nieźle; ich organizatorzy dokonali wielu doświadczeń i doszli do pewnych wyników, niestety wybuch pierwszej wojny światowej przerwał ich pracę. Dzisiaj trzeba by z tych doświadczeń skorzystać. Zauważono, że do tych tzw. teatrów ludowych, przeznaczonych dla proletariatu, wtargnęła z czasem właśnie burżuazyjna publiczność. Fakt ten można wytłumaczyć brakiem inicjatywy publiczności proletariackiej, wysoką ceną biletów, wreszcie samym środowiskiem przeważnie drobnomieszczańskim, w którym działał teatr Wynikałoby z tego, że niedość jest zakładać takie, w pewnym sensie eksperymentalne teatry, trzeba jeszcze dobierać specjalne środowiska, u nas np. idealne byłyby górnicze tereny Śląska... Pamiętać też należy, że chcąc widownię rozszerzyć na wszystkie klasy społeczne, należy ją **organizować**, to jest przeciwdziałać pewnemu jej bezwładowi. Wreszcie, koszty utrzymania demokratycznych teatrów należy ograniczyć do minimum przez zwiększenie ilości miejsc na widowni i pewną prostotę wystawy, aby ceny biletów można kalkulować jak najtaniej. Państwo nie powinno też subwencjonować teatrów, ale subwencjonować widza, to znaczy: nie wpłacać teatrom wysokich subwencji na koszty wystawy, ale dopłacać do każdego sprzedanego biletu, aby wstęp do teatru był jak najtańszy, co najmniej tak tani jak do kina.

Organizację widowni zapoczątkowano w Polsce, i to z powodzeniem, jeszcze w okresie międzywojennym. Jeżeli chcemy teatr upowszechnić, na nic się nie przyda oczekiwać aż widzowie raczą z własnej inicjatywy przyjść do kasy i kupić bilet, bo i najtańsze bilety bezwładu nie zwalczą. Prowadzi to do niemoralnego zwabiania widza tandetą i łatwizną repertuarową. Teatry muszą przygotować odpowiedni repertuar i same zbliżyć się do szerokich warstw społeczeństwa. Pomóc w tym powinny związki zawodowe, szkoły itp. instytucje. Tak postępował teatr im. Wyspiańskiego w Katowicach. Pracownicy fabryk i kopalń śląskich bywali w tym teatrze stale, płacąc ceny jak najniższe. Przyniosło to jednocześnie teatrowi wielkie korzyści materialne, a publiczność okazała się nader wdzięczna, artystycznie bardzo wrażliwa i łatwo się wyrabiająca. Próby takie robiono w ostatnich latach okresu międzywojennego i w Krakowie, ale nie dały one takich wyników jak w Katowicach, ze względu na nieliczną publiczność proletariacką.

W Krakowie powstał też i przez lat parę pięknie się rozwijał pierwszy w Polsce teatr szkolny. Idea jego dziś ulega wypaczeniu tak dalece, że podobno „Droga do świtu" ma iść w najbliższym czasie dla trzech niższych klas gimnazjalnych.

Od roku słyszy się ciągle hasła o upowszechnieniu teatru dla mas. Hasła, bo jednocześnie teatry postępują wprost przeciwnie! Widownię wypełnia publiczność przeważnie nowobogacka; tej publiczności teatr stara się dogodzić obniżając zastraszająco poziom repertuaru. Sprawy nie rozwiązuje udzielanie pewnej ilości zniżek. Zniżki te kursują w „pasku" przed teatrem. Teatr czeka nowy kryzys. Upojony niebywałą koniunkturą i frekwencją, która — analogicznie do lat po pierwszej wojnie światowej — dawała pewne finansowe podstawy — teatr zrezygnował nawet z prób reformy. I oto jesteśmy świadkami, jak publiczność już się od teatru odwraca.

A to dlatego, że współcześni kierownicy teatru polskiego przeważnie nie znają się na psychologii widowni. Nigdy się na niej nie znali, uważając, że widowni podoba się szmira i czepiają się jej — jak tonący brzytwy.

Ileż to razy widziałam młodzieńca w wieku lat 13—16 odchodzącego od kasy teatru, bo — pieniędzy nie wystarczyło. Stwierdźmy otwarcie i bez zakłamania: w Polsce otwarto teatry dla publiczności handlującej i zajmującej się robieniem „interesów", publiczności, którą po tamtej wojnie ochrzczono „paskarzami", a która dzisiaj przezwana jest pogardliwie „szabrownikami". Owszem jest to objaw dodatni i pożyteczny społecznie, że publiczność ta chodzi do teatru. Jest to warstwa kulturalnie zupełnie nowa, reagująca bardzo bezpośrednio, np. gdy podziwia i gorąco oklaskuje dowcip Fredry, będący dla niej wyraźną rewelacją. Publiczność ta chodzi do teatru nie przez snobizm towarzyski (najgorszy rodzaj widza to snob!), ale dla samej sztuki. Rozrywką jest dla niej zarówno „Zemsta" jak „Antygona". Zadaniem teatru byłoby wychować ją z daleka od tandety, wyrobić w niej dobry gust — ale to nie wszystko. Teatr ma jeszcze inne donioślejsze zadanie do spełnienia — uświadomić tej warstwie najbardziej przez wojnę zdemoralizowanej, znaczenie wartości moralnych, uszlachetnić i uspołecznić tych nowobogackich, przeciwdziałać zdziczeniu powojennemu. Tego zadania teatr nie podjął, a bodaj, że na to już zapóźno.

Jakiż jest bowiem cel i zadanie teatru? Czy upowszechniamy go tylko po to, aby zapobiec deficytowi, jak to się naiwnie niektórym kierownikom teatrów w okresie międzywojennym zdawało? Oczywiście, że nie i jasne jest również, że traktowanie teatru jako „godziwej rozrywki", choć nie jest pozbawione słuszności, też nie wystarcza. Teatr jest narzędziem w walce społecznej i ideologicznej, ponieważ może wpływać na psychikę mas. Treścią jego repertuaru powinno być zatem dążenie do doskonałości, a więc kształcenie człowieka, narodu i społeczeństwa.

W jaki sposób powinien teatr idee postępowe widowni przedstawiać, aby były zrozumiane i odczute?... Opowiem tu pewną historyjkę piękną i prawdziwą. Było to w roku 1937 w Katowicach. W teatrze grano Wyspiańskiego „Zygmunta Augusta". Wieczorem, na deszczu stał przed kasą ogonek, zjawisko nie spotykane wówczas nigdzie w Polsce. I ja dołączyłam się do ogonka. Stała w nim szara, spracowana grupa robotników śląskich. Nawiązałam z nimi rozmowę, a ponieważ zaraz się spostrzegli, że jestem „nietutejsza", zaczęli mnie trochę „z góry" pouczać, jaki to oni mają teatr. Szli na sztukę Wyspiańskiego i starszy już robotnik, ślusarz na jednej z kopalń, wyjaśniał mi szczegółowo co to za autor. Główną przyczyną zainteresowania się nim był fakt, że to przecież autor „Wyzwolenia", które parę lat temu grano w teatrze katowickim. Zdziwiona zapytałam, czy rozumieli „Wyzwolenie", bo to sztuka trudna, na co dostałam klasyczną w swojej prostocie odpowiedź, wypowiedzianą z wyższością człowieka, który się zna na rzeczy: „O, proszę pani! do teatru nie idzie się po to, aby rozumieć, ale po to, aby się wzruszyć".

Jak ważne jest wzruszenie dla przeżyć widowni, dowodziłby jeszcze fakt, ile z tak zwanego melodramatu, który do wzruszeń przecież apeluje, weszło do klasycznych i fundamentalnych utworów dramatycznych, pióra takich mistrzów i znawców jak np. Sofokles lub Szekspir. Natomiast publiczność lat międzywojennych wzruszać się nie umiała. Wszystko chciała rozumieć. Rozumieć nie mogła, bo to w istocie sztuki teatralnej nie leży; przychodziła na spektakl w roli sędziego (lub gorzej jeszcze: prokuratora!) i na wszystko wartościowsze kręciła nosem. Postawa taka cechowała także recenzentów i władze naczelne teatru np. gminy miejskie, którym udzielał się nastrój ogólny. Paraliżowało to wszystkie eksperymenty i próby podejmowane przez teatr, uniemożliwiało wprowadzenie jakichkolwiek nowości w dziedzinie kształtowania widowisk. W rezultacie doszło do kryzysu w teatrze, grano sztuki „pod gust" publiczności, nadające się nieraz najwyżej do budy jarmarcznej, które zresztą także zawodziły.

Godność prawdziwej sztuki przywróci teatrowi dopiero publiczność, która potrafi się wzruszać. Nie znaczy to wcale, aby była ona bezkrytyczna i aby jej emocjonalizm pozwalał teatrom na obniżenie poziomu artystycznego gry i wystawy. Publiczność ta poznaje się doskonale na lekceważeniu jej i na każdym fałszu artystycznym. Oczywiście i ją trzeba stopniowo wychowywać, a przede wszystkim dbać o to, aby jej nie zepsuć tandetnym melodramatem, na który jest czuła.

Obecny na przedstawieniu „Antygony" w teatrze krakowskim minister Luksemburgu Bech, pytał z wielkim zainteresowaniem, jakiego rodzaju publiczność jest na widowni. Zastanowiło go bowiem nadzwyczajne skupienie i cisza panująca na szczelnie wypełnionej sali podczas dwugodzinnego, bez przerwy trwającego spektaklu. Publiczność była przygodna, wyżej przeze mnie scharakteryzowana jako „dzisiejsza". Publiczność przedwojenna (ta za biletami) na tejże samej „Antygonie" byłaby się nudziła, kręciła, chrząkała i oglądała dokoła. Ależ nie na darmo uczyliśmy się przez czas przeszło pięcioletniego terroru przeżywać wielkie dramaty — na własnej skórze. Małoduszność i małostkowość przedwojennego człowieka (jego małomieszczańskość!) obca jest dzisiejszemu widzowi, nawet temu zdemoralizowanemu wojną szabrownikowi i paskarzowi. Umie on przeżywać wielkie zagadnienia i rozumie perspektywę dziejową. Dzisiejsze teatry nie powinny unikać wielkiego repertuaru, co na ogół systematycznie robią, karmiąc za to publiczność „Maturą", „Sekretarką pana prezesa" lub „Królem". Dają też niekiedy skądinąd wartościowe wznowienia, niepotrzebne jednak z punktu widzenia potrzeb i odczuwań widowni — jak „Skiz", „Moralność pani Dulskiej" lub „Lekkomyślna siostra". O wiele bliższe przeżyciom i problemom współczesnej publiczności są „Antygona", „Wesele", „Dziady", „Lilla Weneda", „Elektra"... niż komedia obyczajowa ostatniego półwiecza. Przed wojną teatry broniły się przed graniem wielkiego repertuaru tym, że publiczność nie przyjdzie. Dziś publiczność przyjdzie na pewno!

Jeszcze jedna uwaga o repertuarze. Mówi się o urabianiu psychiki widza przez teatr. Droga wiedzie przez repertuar. Ale widowni narzucać można tylko problemy. Gotowe rozwiązania nie tylko będą przez nią odrzucone, ale wywołają sprzeciw. Jest to prawo wynikające z psychiki mas. Słynny monolog Figara był protestem, a nie propagandą.

Widowni trzeba uczyć myśleć, ukazywać jej pewne problemy w analogiach historycznych, w perspektywie porównań i skutków, operować syntetycznymi skrótami w dramatach poetyckich. Wniosek należy do widowni. Nie można go forsować uproszczeniami fałszującymi rzeczywistość i tendencyjnymi zniekształceniami. Byłaby to naiwność. Rozumieli to już mądrzy Grecy. Nie ma dotąd odpowiedniejszych dramatów dla demokratycznego teatru niż dramat antyczny

Publiczność upowszechnionego teatru powinna jak chór w greckim teatrze — komentować, przeżywać i sądzić Bierna była widownia w latach międzywojennych, nudząca się tylko lub krytykująca publiczność, której schlebiano, wystawiając płaskie komedie muzyczne i bezmyślne farsy. Myśleliśmy — my prawdziwi miłośnicy teatru — że czasy te należą do niepowrotnej przeszłości. Czyżby głosy nasze miały być tylko głosami wołających na puszczy?

Krystyna Grzybowska

ODBUDOWUJEMY BIBLIOTEKI

PRUS
REYMONT
BALZAC

W dniu Święta Oświaty dla popularyzacji taniej książki do dnia 15 maja b. r.

WIELKA AKCJA SUBSKRYPCYJNA SPÓŁDZIELNI WYDAWNICZEJ „KSIĄŻKA"

Z premiami dla czytelników „Odrodzenia"

Wypełnić i przesłać:

Do Spółdzielni Wydawniczej „KSIĄŻKA" Łódź – Piotrkowska 86

Niniejszym subskrybuję i wpłacam równocześnie na konto PKO VII/595 złotych ..... cena w subskrypcji

.....	PRUS . . .	Lalka	3 tomy zł 250.—
.....	PRUS	Faraon	3 „ „ 250.—
.....	REYMONT . .	Chłopi	4 „ „ 340.—
.....	BALZAC . . .	Stracone złudzenia	5 „ „ 560.—

Łącznie z kosztami przesyłki 15 tomów, około 5000 str. złotych 1 400. —

..... dokładny adres

..... podpis

Każdą książkę można zamawiać oddzielnie. Wysyłka w ciągu maja, czerwca i lipca br. W sprzedaży księgarskiej po cenach znacznie wyższych od sierpnia 1946 roku.

Czytelnicy „Odrodzenia", których numer karty subskrypcyjnej będzie podzielny przez 20 otrzymają cenne premie książkowe. Lista premiowanych wkrótce po zamknięciu subskrypcji w numerach pisma.

W PRACOWNIACH PISARZY I UCZONYCH*)

Ankieta „Odrodzenia"

Stanisław Bąkowski: 1) Na razie nic nie wydaję. 2) Piszę wiersze; mało i z trudem jak zawsze. Ponadto kontynuuję próby prozy; może z tego powstanie parę nowel. 3) Marzę o napisaniu w najbliższej przyszłości dramatu (takiego z krwi i kości). Wydać pragnąłbym przede wszystkim wybór wierszy z całej mojej dotychczasowej twórczości.

Bronisława Bobrowska: 1) Mam przygotowaną do druku powieść dla młodzieży „Dom i świat".

2) Opracowuję ostatecznie napisaną już biografię mego męża pt. „Socjalista — romantyk", poza tym rozpoczęłam powieść dla młodzieży „Nad urwanym brzegiem".

3) Mam zamiar na podstawie prowadzonych przez szereg lat notatek opracować rodzaj pamiętnika psychologicznego pt.: „Dzieciństwo moich synów", ponadto przygotować kilka artykułów pedagogicznych do „Ruchu Pedagogicznego", „Nowej Szkoły" lub innego pisma pedagogicznego.

Witold Biernawski: Wydaję obecnie w skrypcie „Obróbkę metali", część pierwszą i drugą. Pracuję nad zagadnieniami związanymi z obrabialnością materiałów oraz nad zagadnieniami stali szybkotnących na tle współczesnej gospodarki surowcowej, głównie gospodarki surowców-uszlachetniaczy stali.

Michał Maksymilian Borwicz: Ostatnio ukazał się mój „Uniwersytet zbirów" i „Literatura w obozie". Utwory zamieszczone w „Uniwersytecie zbirów" stanowią ogniwo dużego cyklu, w którym chodziłoby o wyrażenie „doli człowieczych" i o stworzenie żywej wizji, opartej w całości na materiale rygorystycznie dokumentarnym. Tak pomyślana praca posuwa się bardzo powoli.

Wydawnictwo „Wiedza" wydaje tom moich wierszy pn. „Ze śmiercią na ty". Nie są to poezje, lecz gawędy, felietony, okruchy dziennika i rozkazy dzienne do żołnierzy. Taką rolę spełniały w obozie i w partyzantce.

Przygotowuję zbiór drukowanych przed wojną essayów (m. in. o Brzozowskim, o Malraux, o Célinie, o „klerkach", o „sztuce zwyrodniałej" itd.) z uzupełnieniami, obejmującymi „dalsze ciągi" odnośnych spraw i pisarzy w okresie wojennym i powojennym; myślę również o drugim, poprawionym i uzupełnionym wydaniu powieści „Miłość i rasa".

Kończę studium o „fizjologii" niemieckiej propagandy pt. „Organizowanie wściekłości". Razem z koleżankami i kolegami z Żydowskiej Komisji Historycznej zbieram, opracowuję i wydaję materiały o dziejach Żydów pod hitlerowską okupacją.

Poza tym — w przerwach — (wiele razy — w najgorszych chwilach podczas wojny — pisana, tracona i podejmowana na nowo) powieść... humorystyczno-fantastyczna „Głód na Olimpie". No, i jeszcze, zamówiona przez „Wiedzę", rozprawka o Andrzeju Strugu.

Stanisław Brzeziński: 1. Pracując — jako historyk kultury i krytyk — na pograniczu nauki i literatury, przygotowuję obecnie do druku monografię z okresu Renesansu polskiego pierwszej połowy XVI wieku, czas panowania Zygmunta Starego.

2. Zamierzam wydać zarys ogólny dziejopisarstwa polskiego, naświetlony ideami i poglądami dzisiejszej polskiej rzeczywistości demokratycznej — z uwzględnieniem polskiej myśli politycznej i kulturalnej Ziem Zachodnich — łączności Śląska i Pomorza Zachodniego z całością polskiej myśli państwowej. Rękopis mam gotowy.

3. Ponieważ nie sądzę, aby dawniejsze, (przedwojenne), przeżycia artystyczne odbiegały całkowicie od dnia dzisiejszego — rozważam możliwość wydania zbioru liryk i wierszy opisowych, a także cyklu impresji poetyckich, związanych z Bałtykiem i Warszawą, z lat 1937—39. Niektóre były drukowane.

Antonina Brzozowska: W tej chwili nie wydaję żadnej książki. Pracuję nad rekonstrukcją tomu szkiców pt. „Moi florenccy przyjaciele", zabranego mi przez Niemców podczas wyjścia z Warszawy.

Drugą pracą zaczętą jest książka „Cechy florenckie (Arti fiorentini), ich historia, zwyczaje i rola polityczna".

W projekcie „Historia Florencji" na podstawie zebranych już materiałów, oraz wspomnienia z okresu „Młodej Polski".

Maria Dąbrowska: 1. Wychodzą w tej chwili spod prasy lub już zostały wydane prawie wszystkie moje dawne książki z wyjątkiem „Nocy i dni".

2. Pracuję w tej chwili m. in. nad zamówieniem Państwowych Zakładów Wydawnictw Szkolnych (wybór z „Pamiętników chłopów").

3. Na warsztacie mam kilka większych prac literackich, które jednak nieprędko jeszcze będą gotowe.

Stanisław Ryszard Dobrowolski: W najbliższych dniach ukaże się nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Wiedza" pokaźny tom wybranych przeze mnie z dotychczasowego mego dorobku poetyckich utworów. Będzie to książka przypuszczalnie o objętości około 12 arkuszy druku. Niestety, na skutek strat poniesionych w powstaniu warszawskim, najskromniej przedstawiać się w niej będzie okres ostatnich sześciu lat.

Jeśli uda mi się wystawić w teatrze poetycki dramat pt. „Spartakus", a pewne znaki na ziemi mówią, że się to uda, ogłoszę go wówczas drukiem.

Pewne znaki wskazują także, że może uda się jeszcze odnaleźć napisany w 1942 r. poemat dramatyczny „Jutrznie warszawskie". Wydałbym wówczas i „Jutrznie".

Na razie z rzadka i z trudem piszę wiersze i szykuję się do nowego skoku.

Będzie to znów poetycki dramat poświęcony Warszawie.

A w ogóle interesuje mnie najbardziej dramat — i to właśnie poetycki.

To wszystko. Do reszty nie przywiązuję większej wagi.

Kornel Filipowicz: Na razie nie wydaję. Powieść, której pisanie zapoczątkowałem w czasach okupacji niemieckiej, — po powrocie z obozu koncentracyjnego, wobec tej koszmarnej próby wszelkich wartości, jaką się tam przeżyło — nie wydaje mi się godną zakończenia i ogłoszenia.

Obecnie pracuję nad cyklem opowiadań, który chciałbym do jesieni bieżącego roku zamknąć i przygotować do wydania.

Helena Hellerówna: Ukończyłam obecnie przekład powieści François Mauriaca „La Chair et le Sang" („Ciało i krew"), której rękopis został zniszczony wskutek działań wojennych. W najbliższym czasie zamierzam przełożyć ponownie powieść Mauriaca „Mamona", gdyż i ten przekład zaginął, oraz zabrać się do przekładów powieści Sommerset Maughama pt. „The Razor's Edge", „Up at the Villa", „The Mixture as Before" i „Christmas Holiday".

Paweł Hertz: Tom moich wierszy „Dwie podróże", obejmujący wiersze pisane w rozmaitym czasie i w rozmaitych punktach naszego kontynentu, od roku 1936 do roku 1945, od Rzymu po Samarkandę i stanowiący właściwie pamiętnik tej długiej podróży w czasie i w przestrzeni, został zakupiony jeszcze w roku ubiegłym przez Spółdzielnię Wydawniczą „Czytelnik". Wiersze w tomie tym zawarte były przeważnie drukowane w czasopismach literackich zarówno przed wojną jak i obecnie. Kiedy tom się ukaże, tego oczywiście nie wiem, przypuszczam jednak, że niedługo.

Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej postanowiło drukować przetłumaczoną przeze mnie i graną w Teatrze Wojska Polskiego sztukę współczesnego autora radzieckiego, Leonida Rachmanowa „Niespokojna starość". Maszynopis odesłano podobno do Lignicy i wszelki słuch o nim zaginął.

Wreszcie „Książka" wydaje w najbliższym czasie powieść Ilii Erenburga „Upadek Paryża" w mo-

*) Por. nr nr 68, 69, 70, 71 i 72 „Odrodzenia".

im przekładzie. Fragmenty drukowałem m. in. w „Kuźnicy".

„Wiedza" zamówiła u mnie w swoim czasie przekład powieści Jean Cassou „Les Massacres de Paris" — niestety do dnia dzisiejszego francuskiego egzemplarza nie otrzymałem, kontentuję się otrzymaną zaliczką. Sądzę, że to są wszystkie dane dotyczące teraźniejszości.

Co zamierzam? Przede wszystkim zajmuję się obecnie pisaniem wierszy. Piszę je jak zwykle powoli, gładząc końce zdań i unikając niepełnych rymów. Będą to wiersze sumujące myśli i rzeczy widziane w ciągu lat sześciu — mimo to będą klasycyzujące i aluzyjne.

Poza tym zamierzam dla wprawy tłumaczyć tych rosyjskich poetów, których lubię i tych francuskich poetów, których lubiłem kiedyś i do których chętnie wracam. Część tej pracy znajdą czytelnicy w antologiach obu poezji, które ukażą się chyba niedługo.

Jeśli zdołam się wyrwać z zaklętego kręgu dorywczych prac natury publicystyczno-literackiej i dziennikarskiej, wówczas zabiorę się do prozy. Treść: rzeczy i ludzie widziane między Paryżem i Samarkandą w latach 38—45.

Mieczysław Jastrun: Piszę nowe poezje. Dla „Czytelnika" mam zamiar przygotować wybór moich wierszy z różnych lat od „Spotkania w czasie" poczynając. Dorywczo pracuję nad zbiorem szkiców i essayów, ogłaszanych przygodnie w pismach. Niedawno ukończyłem wraz z Sewerynem Pollakiem redakcję obszernej antologii przekładów z poezji rosyjskiej („200 lat poezji rosyjskiej"), która ukaże się nakładem „Czytelnika" ze słowem wstępnym K. W. Zawodzińskiego. Antologia ta zawiera sporo moich tłumaczeń.

Kazimierz Andrzej Jaworski: Najwięcej czasu zabiera mi obecnie „Kamena". Z tego względu nie zdołałem jeszcze skończyć swych „Wspomnień z Oranienburga" (brak trzech końcowych rozdziałów). W rzadkich chwilach wolnych piszę je dalej, tłumaczę poetów rosyjskich (z okresu wojny) i czeskich oraz pracuję nad częścią wypisów dla szkół średnich „Wśród Słowian", mianowicie nad działem poświęconym Słowiańszczyźnie Wschodniej.

Do wydania miałbym sporo oryginalnych wierszy i przekładów. Przymusowy 19-miesięczny „odpoczynek" od książek w obozie koncentracyjnym oddziałał na mnie dobroczynnie: po powrocie do Polski w lutym 1942 r. zabrałem się do pracy z wyjątkową energię i łatwością i w ciągu półtrzecia roku napisałem liryki własne do kilku zbiorków i mnóstwo przekładów. Ale utwory oryginalne są zbyt osobiste, więc może „nieaktualne", choć mówią o sprawie wieczystej i ludzkiej. Niektóre z nich jednak (zwłaszcza poemat „Islandzki mech", wieniec sonetów „Otawę" i „Tetraptyk czerwcowy") pragnąłbym wydać, ale gdzie? W każdym razie będę szukał wydawcy na poezje obozowe („Serca za drutem") i refleksyjne „Wiersze dla syna". Z tłumaczeń mam całego Tiutczewa, ponad setkę liryków Błoka i obszerną antologię poezji rosyjskiej (ponad 50 nazwisk i z górą pół tysiąca wierszy), z której znikomy ułamek wejdzie do zapowiedzianego przez „Czytelnika" zbioru, dalej przekłady z liryki francuskiej (część ich znajdzie się może w antologii przygotowywanej przez Wańka), czeskiej, słowackiej, ukraińskiej i białoruskiej (Tank — wiersze i poemat narodowo-społeczny „Kalinowski"), dwie powieści Turgeniewa: „Wiosenne wody" i „Pierwszą miłość", część „Urwiska" Gonczarowa, „Rubajaty" Omar Chayyama, transkrypcje z Hafisa, 60 wierszy Heinego („Heine i glossy") — zbiorek pomyślany w ten sposób, że każdemu utworowi Heinego odpowiada poetycka glossa tłumacza i wierszowany obrazek sceniczny dla dzieci („Sen Tomka"). Więcej grzechów nie pamiętam.

Ale nie biję się w piersi, bo chciałbym jeszcze dokończyć przekładu „Urwiska", napisać tatrzańską powieść dla młodzieży, pokusić się o tłumaczenie „Oniegina", opracować antologię czeską i słowacką oraz rozwinąć „Kamenę". Niestety, doba ma tylko 24 godziny, a przecież i szkole trzeba czas poświęcić.

Mieczysław Kafel: W druku znajduje się książka pt. „Wieś piszącą", którą opracowałem wespół z Antonim Olchą. Będzie to studium oraz notatki i materiały monograficzne na temat „Wsi — Jej Pieśni", literackiego pisma chłopskiego. Pismo to ukazało się w latach 1933—1937.

Mam również gotowy rękopis pt. „Kobieta w organizacjach wsi". Książka ta jest monograficznym opracowaniem udziału kobiet w organizacjach wiejskich — politycznych, oświatowych i spółdzielczych — w okresie ostatniego dwudziestolecia.

Myślę również nad..., ale po cóż o tym pisać, skoro jeszcze nie ma rękopisu.

Zygmunt Kałużyński: W Łodzi drukuje się obecnie utwór sceniczny, napisany przeze mnie w Lublinie w okresie okupacji. Jest to mój debiut literacki, odległy charakterem i problemem od mojej obecnej pracy publicystycznej. „Kanikuła", fantazja dramatyczna, powstała pod wpływem zainteresowań teatrologicznych, była też literacką obroną przed koszmarem okupacyjnym w jego pierwszej fazie (rok 40). Widzę dziś wyraźnie usterki tej pracy, niemniej jest ona dla mnie dokumentem, i myślę, że wtedy dopiero uda mi się posunąć naprzód wysiłek pisarski, gdy otrzymam społeczny oddźwięk tej pierwszej, spóźnionej próby.

Na przyszłość pragnąłbym się przyłożyć — w dziedzinie literatury — do roboty dramatycznej. Chciałbym wykończyć dwa utwory dawno planowane: jeden, oparty na notatkach z okresu wojny, miałby pokazać reakcję środowiska w małym mieście na okupację i wyzwolenie; tematem drugiego, ujętego w formę teatralnego reportażu, miałyby być dzieje dojścia Hitlera do władzy. Najpoważniejszym oporem w realizacji tych zamiarów, obok braku czasu pochłanianego przez publicystykę, jest charakterystyczna dla mego pokolenia literackiego trudność w pogodzeniu realistycznych wymagań społecznych z nawykiem skrótowego, patetycznego, deformacyjnego patrzenia na świat.

Stanisław Nędza-Kubiniec: W czasie wojny poza kilku wierszami nie napisałem nic. Po prostu nie było czasu i jak.

W roku bieżącym złożyłem w redakcji czasopisma „Wieś" dłuższy poemat wierszem „Janosik". Czy wyjdzie w nakładzie książkowym, jeszcze nie wiem. Oprócz tego uzbierało mi się różnych wierszy i poemacików na spory tom.

Na warsztacie obecnie mam dramat ludowy z czasu wojny, który ostatecznie będzie wykończony w kwietniu br., i dużą powieść o życiu chłopa podhalańskiego, dla której końca nie umiem jeszcze podać daty. Chyba na przyszły rok. Pracuję jednak dużo.

Helena Łysakowska: Napisałam dramat „Sprawiedliwy", który został przez Komisję Teatralną zakwalifikowany do grania. Nie przesądza to jednak sprawy, że sama muszę się starać i zabiegać o jego wystawienie, co jeszcze dotychczas nie dało rezultatów. Obecnie skończyłam powieść o Chopinie, którą będę się starała wydać.

Na przyszłość chcę poprawić i nieco przerobić sztukę „Ewa i maski". W swoim czasie sztuka ta została bardzo pochlebnie oceniona przez „Młody Teatr" (który pełnił funkcje podobne do obecnej Komisji Teatralnej) — i miała być wystawiona na inauguracji Wileńskiego Teatru Eksperymentalnego. Wybuch wojny przeszkodził realizacji scenicznej wspomnianej sztuki. Mam także zamiar napisać powieść o Janie Kochanowskim, ponieważ XVI wiek i cała ta epoka bardzo mnie pociąga.

Wilhelm Mach: Niklość moich pierwszych prób pisarskich, od niedawna zresztą podjętych, sprawia, że odpowiedź na ankietę podejmuję ze zrozumiałym zakłopotaniem. Tym łatwiej jednak przyjdzie mi sprostać wyrażonemu w zaproszeniu do ankiety życzeniu zwięzłości.

Jak na razie — bywam „literatem" tylko od czasu do czasu, w wolnych przerwach oddechowych pomiędzy zajęciami uczącego się jeszcze studenta i pracą zarobkową. Zresztą świadomie wyzyskuję ten pierwszy, terminatorski okres przede wszystkim na budowę przyszłego warsztatu pisarskiego: patrzę, słucham, zapisuję w pamięci, uczę się — i mierzę siły na marzenia.

Mimo to — na peryferiach tej surowej autodyscypliny rośnie powoli moja pierwsza powieść pt. „Rdza". Rośnie tym wolniej, że, wbrew arytmetyce, każda następna napisana stronica zamiast przybliżać słowo „koniec" — oddala je.

W swojej książce staram się wyrazić funkcję wojny (a raczej: czasu wojny) w życiu i losach przeciętnych ludzi w przeciętnym środowisku prowincjonalnym; przedstawić deformację i rozkład normalnych wątków życiowych, jako rezultat żrącego działania owego „czasu wojennego" — i tym sposobem obnażyć utajony w kategoriach zwyczajności koszmar.

Janusz Minkiewicz: Dotąd ukazała się drukiem książka dla dzieci „Miś z parasolem", ilustrowana przez M. Eilego i J. Kamyczka, oraz pisana wspólnie z Brzechwą „Szopka Polityczna 1945—46". W najbliższych dniach nakładem „Czytelnika" wychodzi wybór satyr pt. „Kazania i skargi" z ilustracjami J. Zaruby, zaś nakładem „Wiedzy" — „3 bajki" dla dzieci z rysunkami Eryka Lipińskiego. Katowicka „Oficyna Wydawnicza" wydaje mi wiersz dla dzieci „Od A do Z", ilustrowany przez J. M. Szancera.

W kancelariach teatralnych złożona jest sztuka „Całe miasto o tym mówi", będąca przeróbką powieści Dostojewskiego „Sen wujaszka". Rzecz ta ukaże się na scenie już niedługo, natychmiast po dymisji odnośnych referentów w Ministerstwie Kultury i Sztuki, którzy to urzędnicy uniemożliwiają na razie jej wystawienie.

Hanna Mortkowicz-Olczakowa: Przygotowuję do druku powieść z życia malarzy, tom wierszy oraz książkę wierszem dla dzieci. Pracuję nad tomem nowel.

Zdzisław Nardelli: „Opłakałem" stratę spisanych w czasie wojny doznań i spraw. Parę, w trudnych warunkach wypracowanych książek poszło z ogniem. To gwałtowne przetransponowanie spisanej wyobraźni na słuch uczestników moich wieczorów autorskich i moją pamięć, spowodowało niechęć do słowa pisanego.

Od chwili powrotu do Polski „mówię na wiatr". Niewdzięczne dla literata zajęcie w radio (w którym obecnie pracuję) pochłania mnie całkowicie.

Ale... ale dniami niechęć do papieru zanika. Zaczynam myśleć o rekonstrukcji poematu, który spowodował moją przeprowadzkę z obozu jenieckiego do obozu koncentracyjnego. Tytuł: „Spotkanie z mocą".

Gdy ambitna grupa radiowców krakowskich upora się z odbudową programu i wypełni swe trudne zadanie, będę się pisarsko rehabilitował. Tak sobie przyrzekam.

Jan Papuga: 1) Obecnie jest w przygotowaniu do druku w „Książce" zbiór moich opowiadań morskich.

2) Pracuję nad dwoma krótkimi nowelami morskimi.

3) Chcę napisać powieść morską i możliwie wydać przez „Książkę".

Leon Pasternak: Przeszło dwuletnia służba wojskowa, redagowanie pism satyrycznych („Stańczyk" w Lublinie 45 r. i „Szpilki") pozostawiały mi mało czasu a przede wszystkim nastroju do pracy literackiej „dla siebie". Obecnie po przejściu do cywila i wystąpieniu z redakcji zamierzam przez dłuższy czas zajmować się tylko twórczością własną. A więc: nowe wiersze liryczne i satyryczne. Z biegiem czasu powstaną z nich chyba oddzielne zbiorki. Jeśli chodzi o satyry, wydam je kiedyś wraz z utworami satyrycznymi napisanymi w czasie wojny i częściowo odnalezionymi przedwojennymi. Marzę również o napisaniu sztuki teatralnej, której pomysł wpadł mi niedawno do głowy.

Jerzy Pogonowski: Od r. 1939 napisałem dwie powieści, jedną z życia muzycznego pt. „Opera" (prawa do wydania jej nabyła firma krakowska Stefan Kamiński), drugą zaś z czasów wojny pod tytułem niemieckim „Lebensraum".

Tę drugą rekonstruuję, gdyż spłonęła w Warszawie w r. 1944; rekonstruuję też mój przekład 20 śpiewów „Osmana" Gundulića, wywieziony przez Niemców wraz z biblioteką wydawnictwa, które miało go ogłosić drukiem.

Ocalały me prace muzykologiczne (z historii i teorii wokalistyki), rekonstruuję zaś jeszcze „Dzieje slawistyki polskiej". Ponadto opracowuję różne szkice słowianoznawcze (również z dziedziny prawa) i filozoficzne (z historii filozofii, psychologii i metodologii nauk). Jedną z nich drukuje krakowski „Kwartalnik filozoficzny".

Witold Powell. 1) W najbliższym czasie mam zamiar wydać studium pod tytułem: „Wyspa nienawiści. Psychologiczna charakterystyka narodu niemieckiego". 2) Latem obiecuję sobie dokonać ostatecznych poprawek i na czysto przepisać: a) powieść „Zabawa w Europę" oraz b) rodzaj monografii pt. „Korzenie usychające. Rzecz o mitologii europejskiej". Jest to zbiór powiązanych ze sobą essayów, w których staram się wykrywać w czasie i przestrzeni rozliczne a zatrute źródła romantycznego sposobu myślenia. Pracę charakteryzują rewizjonistyczne tendencje w określaniu źródeł romantyzmu przy zastosowaniu metody tzw. dewaluacji czasu. Cel: odkłamanie zakłamanego. Tyle o najbliższym programie prac literackich. 3) Najbliższa przyszłość — to także gwałtowne szukanie wydawców, nie mówiąc już o nie mniej gwałtownej konieczności zarobkowania.

Janina Rościszewska: Przed paru dniami ukończyłam widowisko sceniczne w pięciu aktach, przedstawiające dzieje grupy ludzi na wsi w czasie okupacji niemieckiej.

Piszę następną sztukę teatralną w trzech aktach, oraz czwartą i ostatnią część powieści, obejmującej czasy od 1914 r. do 1946 r. Przedstawiam w niej dzieje ludzi na szerokim tle stosunków społecznych i przemian, jakie w tym czasie zachodziły.

Słysząc o trudnościach wydawniczych, nie czyniłam dotąd żadnych kroków w kierunku wydania moich prac.

Nina Rydzewska: 1. Nakładem Sp. Wyd. „Czytelnik" wydaję w tym roku — w nowym opracowaniu — wznowienie powieści „Akwamaryna". Jest to pierwszy tom cyklu pt. „Żywoty ludzi nieświętych".

2. Obecnie przygotowuję do druku drugi tom, pisany podczas wojny.

3. W najbliższej przyszłości mam zamiar wydać przygotowany już częściowo zbiór wierszy „Urna z Mauthausen". Planów mam wiele, ale moje tragiczne warunki mieszkaniowe na pewno nie pozwolą mi ich zrealizować: mieszkam wraz z matką, kuzynką i jej rodzicami — 5 osób — w małym kawalerskim pokoju w Domu Literatów, a spać, gotować i jednocześnie „tworzyć" w takim tłumie, gnieżdżącym się na przestrzeni 16 m kw. — chyba niesposób. Poza tym — na wyłączne oddanie się pracy literackiej — nie pozwala mi ciężka praca korektorki literackiej w „Czytelniku".

Władysław Rymkiewicz: Niedawno ukazała się nakładem „Czytelnika" moja powieść historyczna z XVII wieku dla młodzieży pt. „Człowiek o dwóch twarzach", której współautorem jest Bohdan Tuhan (pseudonim), młody historyk, adiunkt na jednym z naszych uniwersytetów. Z tymże Tuhanem opracowujemy szereg szkiców historycznych, które zamierzamy wydać pod tytułem: „Zaczepki historyczne". Ostatnio złożyłem „Czytelnikowi" tom opowiadań z czasów okupacji pt. „Rafał z lasu". Według zakulisowych informacyj tom został oceniony pozytywnie przez srogich zoilów z „Czytelnika", ale podpisania umowy jakoś doczekać się nie mogę. Na zlecenie Zofii Petersowej, pod której redakcją ukaże się niebawem nakładem „Czytelnika" wybór opowiadań Czechowa, tłumaczę kilka z tych opowiadań. Cóż jeszcze? Uczęszczam pilnie do jednej z fabryk włókienniczych, gdzie wtajemniczają mnie w trudne, skomplikowane problemy tkactwa. Cenię sobie przyjaźń, jaką mnie darzą liczni pracownicy fabryki, i oddycham jak powietrzem wysokogórskim czystą atmosferą rzetelnej pracy. Może kiedyś coś z tego wyniknie dla mego pisarstwa, ale to chyba jeszcze daleka muzyka przyszłości.

Włodzimierz Słobodnik: Wkrótce nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Wiedza" ukażą się moje „Wiersze Zebrane". Do tomu tego wejdą utwory, napisane przeze mnie w latach 1927—1946. Poza tym nakładem „Czytelnika" ma ukazać się zbiór moich wierszy, pisanych w Uzbekistanie pt. „Dwa pióra".

Obecnie po ukazaniu się nakładem „Książki" zbiorku moich wierszy „Dom w Ferganie" pracuję nad obszerniejszym reportażem o Uzbekistanie i opracowuję bajki uzbeckie. W najbliższej przyszłości pragnąłbym napisać dramat pt. „Cervantes" i zamierzam wydać tom wierszy satyrycznych „Poufne", wiersze dla dzieci „Bajka o indorze" oraz przekład poematu żartobliwego Puszkina „Domek w Kołomnie".

Maria Szczepańska: Ukończyłam cykl opowiadań z okresu okupacji. Niektóre z nich były drukowane w czasopismach literackich.

Zaczęłam pisać powieść.

Reszta to mgławica.

Jan Alfred Szczepański: W sierpniu 1939 r. złożyłem w „Roju" książkę o Słowacji, będącą rezultatem 15-letnich wędrówek po tym niezmiernie interesującym i turystycznie i politycznie kraju. Pracę tę, nie wiele zmienioną a sporo uzupełnioną, zamierzam wydać, gdy czas pozwoli, znajomość spraw słowackich jest u nas bowiem wciąż słaba, a jako nasi bezpośredni sąsiedzi zasługują u nas Słowacy na bliższe poznanie.

Mam również przygotowanych do druku parę tomów wspomnień sportowo-turystycznych z Tatr i z innych gór Europy i tzw. szerokiego świata. Waham się jednak czy byłoby dostatecznie usprawieliwione wydanie już dzisiaj takich oderwanych od spraw społecznych opisów indywidualnych przygód i zdarzeń (choć skądinąd dość emocjonujących). Wyjątek uczyniłbym tylko dla tomu pt. „Wyprawa do przyszłości ziemi", gdyż jest to opis wyprawy odkrywczej (w której wziąłem udział), mającej już swą kartę w historii odkryć geograficznych ostatniej doby a w Polsce niemal zupełnie nieznanej (chodzi o zbadanie, zdobycie i opisanie nieznanej grupy górskiej w Kordylierach Pustynnych na pograniczu Argentyny i Chile, wśród nich o drugi i czwarty pod względem wysokości szczyt Ameryk). Wyjątek uczyniłbym też dla tomu „Podróż pomiędzy wojnami", gdyż odtwarzam tam w sposób, zdaje mi się, mogący i dzisiejszego czytelnika zainteresować, niepokój polityczny i socjalny, cechujący kilka środowisk europejskich w okresie niecałkowitego zawieszenia broni.

Z lat przed 1939 pozostała mi w tece powieść tatrzańska i psychologiczna „Góry śniade jak my". Ale skoro nie zdążyłem jej wydać podówczas, nie wydam jej chyba i dzisiaj.

Projektuję od dawna napisanie zwięzłego podręcznika historii polskiej, odkłamanej i we właściwych proporcjach. Ale do tego celu musiałbym mieć — czas, czyli być bodaj kilkanaście miesięcy wolnym od codziennych trosk zarobkowych. Od lat interesuję się teatrem i na jego tematy chciałbym również zabrać głos (piórem, bo przemawiać nie umiem). Jeśli dorzucę do tego wszystkiego przygotowane więcej niż w połowie obszerne studium o stosunku człowieka do przyrody (zwłaszcza człowieka polskiego i zwłaszcza do przyrody górskiej) — odpowiedź na pytania będzie bardziej dokładna i niedyskretna niż zamierzałem.

Kazimierz Truchanowski: Wybuch wojny przekreślił moje plany, dotyczące wydania we wrześniu „Zmowy Demiurgów". Maszynopis rzuciłem gdzieś w kąt, bo któżby myślał w tych czasach o takich rzeczach. Lecz kiedy ułożyłem sobie inny plan życia i działania w ciężkich warunkach okupacyjnych, przypomniała mi się „Zmowa Demiurgów", która na tle zmienionej rzeczywistości poczęła nabierać innego znaczenia. Gdy wróciłem do niej, to jedynie po to, aby ją zniszczyć. Tak też zrobiłem, pozostawiając jedynie tytuł oraz pierwszy rozdział.

Pracowałem nad nią po raz drugi przez cały czas okupacji. Obecnie jest już ostatecznie gotowa i mam nadzieję, że tym razem będzie wydana.

Uporawszy się jako tako z panem Adolfem w „Zmowie Demiurgów", zamierzam z kolei przejść do „Śpiewaków norymberskich". Obecnie zbieram materiały i czekam na wyrok, chociaż co do tego żadnych wątpliwości nie mam.

Maria Wicherkiewicz: Wierna zawsze przeszłości Wielkopolski i Poznania, którą opisuję od 40 lat, rozpoczęłam obecnie powieść, której bohaterem jest Giovanni Quadro, budowniczy ratusza. Zachęcają mnie do pracy 40-letnie studia, zarazem pobyt dłuższy (swego czasu) w Lugano i Florencji, miastach, które miały wpływ na twórczość tego artysty. Jakie plany wydawnicze? Może „Odrodzenie" coś poradzi! Dzieło o „Rynku poznańskim" drukowało mi miasto Poznań, kilka prac Akademia Umiejętności, powieści, jak „Łódź na purpurze" (Górkowie i Halszka z Ostroga), „Ignis Ardens", „Żeglarz" i „Chimera" oraz „Dziennik Poznański". „Sprawy żeglarskie pana Krzysztofa" ma obecnie drukować „Życie Literackie"; drobne artykuły aktualne i z przeszłości drukował „Głos Wielkopolski". Dziękuję za pamięć o mnie!

Mieczysław Zielenkiewicz: 1) W trakcie wydawania mam czwarty tom wierszy pt. „Pokusa złotej rzeszy", częściowo drukowanych w periodykach r. 1939, reszta z czasu okupacji, oczywiście niedrukowanych.

2) Obecnie pracuję nad uzupełnieniem i zmontowaniem piątego tomu wierszy pt. „Pieśniarz na przełomie". Nadto piszę essaye, którym nadam zbiorowy tytuł: „Przed frontem".

3) W pracach moich na przyszłość jest nieunikniona dalsza seria wierszy, a przede wszystkim powieść już w szkicu opracowana, o ile z tego nie wyłoni się inna forma literacka.

Sprawy wydawnicze załatwia mi Księgarnia Krzyżanowskiego w Krakowie.

Eugeniusz Zieliński: Moje osiągnięcia pisarskie o tyle wyprzedzają zamiary na przyszłość, o ile to jest możliwe w warunkach — nie zawaham się tak tego określić — nasyconego intensywną codziennością życia. Popieram to przykładem: pracuję w Państwowych Zakładach Inżynierii w Ursusie pod Warszawą. Literatura — to czasami brzmi jak nieprawdopodobieństwo.

Mam złożony w jednej z warszawskich firm wydawniczych tom wierszy pt. „Rzecz purpurowa". Jeszcze jeden dowód, jak niełatwo wyspowiadać się z drapieżnej, zaledwie wczorajszej młodości. Do zbioru między innymi weszły wiersze z cyklu pisanego przed wojną, a mającego się ukazać w 1939 r. u Mortkowicza („W stosunku do obłoków").

Około dwudziestu nowel i opowiadań, częściowo rozrzuconych po czasopismach, złożyło się na duży tom prozy. Jest ta proza w pewnym sensie rozlewna od lirycznych widzeń innej rzeczywistości w innym wymiarze życiowym i artystycznym. Książka raczej poetycka. Zdaje mi się, że pozostanę przy dawnym dla niej tytule: „Ludzie konwallowi".

Ostatnio powróciłem do szkicowanej luźno powieści, która wyrasta tematycznie ze spisywanego żarliwie diariusza nieżyjącego przyjaciela. Przetrawiam fascynujący materiał: szkice z partyzantki, pisane żywą krwią żołnierza-poety. Może i słusznie wypadłoby to nazwać powieściową przeróbką mego wiersza „Brzezina", zamieszczonego kiedyś w „Odrodzeniu".

BRONISŁAWA OSTROWSKA

Najpiękniejszy film na świecie*)

Bronisława Ostrowska

Dla córki

Gorący zachód oblewał werandę. Klomb czerwonych szkarletów w bardzo zielonej trawie i boczne rabaty żółtych nagietek i nasturcji literalnie płonęły.

Za olbrzymie białodrzewy, blamiące rzekę, zapadło wielkie, pogodne słońce. Woda iskrzyła się oślepiająco poprzez liście. Z tamtego brzegu sunął cicho prom, spychany długimi zerdziami przez przewoźników. Wyładowany na nim kopiasto wóz i gromada ludzi ukazywała się, to nikła między gałęźmi — a za promem rozchodziły się nierówno po rzece jakby dwa gorejące zachodem skrzydła.

Kiedy wyszli z ciemnego wnętrza domu od przydługiego powitalnego podwieczorku, stanęli nagle jak olśnieni i zatchnięci tym wielkim świętem pogody.

Wanda uśmiechnęła się, patrząc na nich. Nie przerywając ciszy, usiadła na plecionym fotelu i przymknęła oczy. Przez przymknięte powieki wnikał w nią każdy szczegół codziennej ukochanej symfonii przedwieczornej.

Prom dobił. Wóz wyjeżdżał na drogę, lekko skrzypiąc. Jakaś dziewczyna ciągnęła bardzo czysto cieniuchną nitkę piosenki, ciągle powracającej, monotonnej a zawiłej, jak żywe źródełko. Niebo zaczynało gasnąć.

— A wiecie co — odezwał się nareszcie Leszek — tu wygląda mi całkiem na to, że Polska jednak naprawdę jest.

— Aha — przytaknął Adam, który dla swych skomplikowanych wrażeń dzisiejszych nie zdołał znaleźć lepszego wyrazu nad sam prosty akt potwierdzenia czy zgody.

Piotr westchnął.

— Ten oczywiście żałuje, że to nie Dniepr, i uznaje Polskę tylko ze stolicą w Kijowie.

— Zostaw go — przerwała Wanda.

— A kto w ogóle mówił, że nie ma Polski — zapytał z kąta Robert.

— Ty, Swan, cicho siedź — zaśmiał się nagle Leszek — ty o tym nic nie masz do gadania. Tam, gdzie ty wiesz: w biurze, w banku, w cukierni,w restauracji — nie ma. Jak Boga kocham, nie ma.

— Skąd ty wiesz, gdzie ja szukam Polski— odpowiedział.

Wanda otworzyła oczy i zobaczyła błysk jego szkieł.

Znów napłynęła wielka wieczorna cisza. Świerszcze strzygły. Jakiś wielki żuk zahuczał organowym lotem, wpadł między słupy werandy i wyleciał na ogród.

Jaskrawe klomby już poszarzały i zgasły. Nie było żadnych barw. Pod ścianami drzew, zupełnie czarnych, nie wiadomo skąd, niezauważone dotychczas wystąpiły wszędzie grzędy białych kwiatów. Niebo bladło i stawało się w górze błękitnosrebrne, jak pułap wielkiej zielonej świetlicy. Za rzeką, w oknach dalekiej wsi zaczęły zjawiać się kolejno czerwone ogieńki i migotały coraz liczniejsze, zwiastując wypoczynek po pracy.

Wieczorna gwiazda błysnęła. Zapachniało wilgotną rezedą.

— I dlaczego to właśnie jest Polska — zaczął znowu Leszek. — Przecież ta sama chwila jest wszędzie, i na całym świecie jest piękna, i piękniejsza niż tu. Dlaczego właśnie ja wiem, że to jest tylko to, i że to jest tylko tu.

— Bo jest — odpowiedziała Wanda.

— Mów — poprosili.

— Żeby to się człowiek nie bał słów — zaczęła. — Przecież to poczucie ojczyzny tak się czasem narzuca człowiekowi, że po prostu grzechem się wydaje nie podzielić się nim z innymi, jak kawałkiem chleba.

— Ba — odezwał się nagle Piotr. — Wiadomo, że to jest, i mówi samo we wszystkim. Ale jak można to innym dać.

— Tak, ująć ciężko — namyślał się Leszek — choć w sztuce... Taki Chopin...

— Raczej Chełmoński. O!

— A Pan Tadeusz! — Ucieszył się Adam wynalazkiem.

— Tak, tak — myślała głośno Wanda. — Oni zrobili swoje. Ale to już nie dziś — to nie pełnia wyrazu. Chyba by to wszystko razem dopiero — a i jeszcze... Nie! dziś trzeba samo życie... Ja myślałam nieraz... Przerwała.

— A gdyby tak... film — odezwał się nagle z kąta Robert Swan.

Wanda się poderwała.

— Nareszcie. Nareszcie mogę się na coś zgodzić z Robertem. Oczywiście, że film. Odkądże ja już myślałam, a nie miałam odwagi. Tak mi trzeba było przytaknięcia skądinąd. Że to nie dziwactwo, że to można. Tak czekałam.

Przysunął się z ożywieniem ku stołowi.

— Słuchajcie — gorączkowała się wciąż Wanda — jak już raz to słowo padło, to mówcie. Bo mnie się zdaje jednocześnie, że to szaleństwo, i że to jedyna droga.

— Ale czy to akurat można w kinie — takie rzeczy — zgorszył się tym razem Adam z niechęcią, że mu przerwano tok zgody.

Robert bronił:

— Filmować można wszystko. Aparat jest niezawodnym sprzymierzeńcem. Trzeba tylko wiedzieć.

— Niech pani spróbuje sprecyzować.

Leszek się roześmiał.

— O, to już Robert: sprecyzować dokładnie, określić czas, przestrzeń i podać możliwie ścisły kosztorys — a wtedy można w przybliżeniu zaopiniować, czy i co będzie z tego Nieprawda?

Swan się bronił.

— Nie oburzaj się Lech. Twoja siostra jest o wiele realniejsza od ciebie, i kto wie, czy w wiadomej szkatułce nie leży już gotowy wielki, fantastyczny scenariusz...

Wanda protestowała.

W wiadomej szkatułce nie ma żadnego scenariusza. Ale oczywiście myślała dużo. Tylko tak trudno mówić. Nawet im.

Nalegali.

Duże srebrne gwiazdy zaczęły już rozbłyskiwać w gałęziach drzew. W dole szemrała rzeka. Świerszcze szalały.

Po chwili, wolno i jakby z trudnością odważając słowa, Wanda zaczęła.

— Z początku nic. Mrok. Wielka pustka pamięci. Jakaś ciemna komora i miarowy, tętniący stuk. Nic więcej. W mroku najpierwszy błysk, jakby nów rozchybotanego księżyca. To bieguny kołyski, oświetlone lampką spod obrazu czy ogniem z komina. I twarz pochylona, czuwająca, zawsze jedna — czy to w białych zawitkach, czy robronach, w krasych chustach, czy kwefach wdowich — każda i żadna — matka... napisać by trzeba — macierz polska.

Chyba chwytacie wszyscy —

Zanuciła cichutko i bardzo czysto

Uśnij, dziecię, uśnij,
Aniołek cię uśpi...
Matusia utuli
W malowanej luli...

— Chyboce się złoty nów coraz szerzej, coraz potoczyściej. Miarowe tętno rośnie, jak fala, rozszerzająca brzegi. Czy to rytm kolebki, czy bijącego serca. Rozsadził sobą ściany matczynej komory.

To już nie malowana lula polskiego dziecka, ale wielka koleba ziemi polskiej, ta malowana zbożem rozmaitym, w każdej piędzi swoja i kochana. A pieśń wyrosła razem nad macierzystą kolebą polata. Opiera skrzydła na starych kurhanach i dobywa z nich dzieje przeszłości. Każdy kaliny krzak pyta o krew ofiarną, co dała krasę jego koralom, każdy zagon zboża na chleb powszedni pyta o kości rycerzy, co go przed nawałą wrogów bronili. Szlakiem walk i dum i prac ojcowych prowadzi rytm rwącego się do życia serca z matczynej komory snów, przez wielkie sny ziemi polskiej, w chór innych serc, bratersko mu bijących pod strzechami wsi i zjeżonymi dachami miast — do ludzi.

Zanuciła znowu:

Uśnij, dziecię uśnij
Aniołek cię uśpi,
Matusia obudzi
To ino dla ludzi.

— A tu już — trzeba by napisać — Ojczyzna.

We wnętrzu domu zapaliły się lampy. Gorąca smuga światła wpadła przez szklane drzwi na werandę, czyniąc nagle obcym i głębszym zapadający mrok. O szyby zaczęły się raz w raz obijać nadlatujące z ogrodu ćmy nocne.

Wanda umilkła.

— To byłby prolog, prawda — zapytał Leszek. — A dalej?

Dalej? — zadziwiła się Wanda pytaniem. — Cała Polska. Wszystko. Od Lecha i Wandy do nas.

— Do Lecha i Wandy, roześmiał się Piotr.

— A tak. A tak.

Od Lecha i Wandy do Lecha i Wandy, prawda.

Bronisława Ostrowska

*) Pomysł książki, której wstęp podajemy, powstał dawno. Autorka obmyślała go jeszcze w 1922 roku i opracowywała jeżdżąc po Polsce. Zaczęła od Gdańska, Wielkopolski, Śląska, zbierając materiały u źródeł, na „ziemiach zachodnich", jakbyśmy dzisiaj powiedzieli.

Jak „Cudowna podróż" Selmy Lagerlöf objawiła piękno Szwecji młodzieży całego świata — tak „Ukochana Ojczyzna" (tak miał brzmieć pierwotnie tytuł książki) miała na celu „wskazanie młodzieży najistotniejszych strun polskiej duchowości we wszystkich jej przejawach.

Odszukanie indywidualnego oblicza Narodu w jego historii, literaturze, sztuce, ziemi, twórczości ludowej i samym życiu pod wszelkimi postaciami.

Sylwety duchowe wszystkich klas i odłamów narodu, ujmowane w momentach, najszlachetniej charakter ich właściwy podkreślających. — Dzieje martyrologii polskiej, bohaterstwa i wysiłku duchowego, które doprowadziły do zmartwychwstania Ojczyzny.

Słowem, nauka mądrze pojętego patriotyzmu, opartego na zrozumieniu istoty Narodu i swojej z nim nierozerwalnej łączności, a nie na hasłach i nakazach zewnętrznych.

Pod względem formy szereg studiów, opisów, opowiadań, nowel, poezji najróżnorodniejszych zewnętrznie, budowany jednak ze ścisłą jednolitością wewnętrznego celu". Tak pisała o swojej książce poetka w odnalezionej notatce.

Plan rozdziałów i spis ich kolejności dawał również obraz zamkniętej kompozycyjnie całości. I oto stała się rzecz dziwna. Współczesność, może pisany wówczas przez autorkę rozdział „Nasze Dziś", rozbiła jednolitość utworu, przemieniając najzupełniej jego tok.

Właściwie weszliśmy w jego temat my — gromadka wówczas młodych artystów — zapaleńców z Warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych i Studiów Teatralnych — z całym twórczym niepokojem i rozmachem młodości szukających kształtu dla wyrażenia swych zamierzeń. Marzył się nam film polski na poziomie wysokiego artyzmu. Pragnęliśmy wyrazić w tej nowoczesnej formie odrębność rodzimej sztuki, której tyloletnie pozorne ubóstwo, wynikające z wypalania się najcenniejszych elementów twórczych w walkach i cierpieniach Narodu, przełożone na język Sztuki stałoby się dopiero czytelnym dla swoich i obcych bogactwem Sztuki Narodowej.

(Wtedy to powstał w Warszawie „Ład", „Ryt", „Bractwo Świętego Łukasza", wiele prób teatralnych „Reduty", jako wykładniki tegoż samego wysiłku twórczego w rozmaitych tylko formach Sztuki wyrażane).

Młodzi artyści, których kipiące myśli, wysiłki, prace i porażki obserwowała z bliska poetka — stali się bohaterami jej książki, której tytuł „Ukochana Ojczyzna" zmieniła na „Najpiękniejszy film na świecie".

Utwór ten, o głębokim nurcie wewnętrznym i pulsującej życiem treści, byłby się ukazał w druku, gdyby nie nagła śmiertelna choroba pisarki, która brutalnie przerwała pisanie. Ciężko już chora poetka oddała i legowała niejako pracę swą córce. Napis „dla córki" mocno ołówkiem podkreślony widnieje na okładce prologu „Najpiękniejszego filmu", jedynego rękopisu Bronisławy Ostrowskiej, uratowanego ze zgliszcz Warszawy.

Obecnie stanowi on temat scenariusza, którego realizacja artystyczna w filmie ma ukazać się na ekranach polskich jako istotnie „Najpiękniejszy film na świecie", obrazujący dzieje pracy i wysiłków twórczych dwóch, a właściwie trzech pokoleń polskich.

Halina Ostrowska-Grabska

Dwaj poeci chłopscy

Zagadnienie poezji ludowej czy chłopskiej staje się obecnie szczególnie aktualne. Związane jest ono bowiem z całym splotem zagadnień dotyczących istotnej demokratyzacji naszej kultury, jej ludowości w najprawdziwszym tego słowa znaczeniu. Dotychczasowa dyskusja na ten temat nie doprowadziła do ostatecznych sformułowań. Niniejsze uwagi stanowić mają przyczynek do tej dyskusji, próbując naświetlić zagadnienie nieco inaczej. Nie jest już dziś chyba rzeczą sporną wśród ludzi zajmujących się problemami poezji, że dla jej oceny istotne znaczenie ma określenie zespołu technicznych i formalnych środków artystycznych, całej owej „ars poetica". Jeżeli poezję mogą różniczkować gatunkowo takie czy inne „diferentiae specificae", jeżeli w całym szeregu podziałów i podpodziałów istnieje dział zwany „poezją chłopską" — to i o jej istocie decydować będą w dużej mierze wyżej wspomniane elementy. Popróbujmy szukać „chłopskości" nie w tematyce, nie w treści łatwo sprawdzalnej, ale często tą łatwością właśnie w błąd wprowadzającej. Być może w samej strukturze artystycznej utworu znajdziemy wyjaśnienie tajemnicy tego, co zwać należy poezją chłopską, o ile, oczywiście, ktoś upierałby się przy tym, że należy szukać odrębnego sekretu chłopskiej poezji, jak gdyby nie wystarczał sam sekret — poezji.

Zilustrujmy tezę na przykładach: mamy przed sobą dwa, niedawno wydane zbiorki poetów, z tych czy innych względów zaliczanych do poetów chłopskich. To „Oberek świętokrzyski" Józefa Ozgi-Michalskiego i „Kraj" Jana Bolesława Ożoga. Spróbujemy zorientować się, czy klasyfikacja ta jest uzasadniona. Znaczenie tej próby mogłoby być tym większe, że oba zbiorki są pod względem artystycznym nader wartościowe i zwłaszcza J. B. Ożogowi nie obce są subtelne środki ekspresji poetyckiej.

U J. B. Ożoga przedmiotem poezji — w sensie strukturalnym — jest materia. W poezji jego nie ma ludzi, są jedynie rzeczy — przyroda martwa i żywa — i one tylko działają podstawione w miejsce opróżnione przez człowieka.

„Z naganem czekam umartwiony
I niech cię dojdzie cały list
W śniegu ścigany i tropiony!"
(„Sielanka śnieżna")

To nie poeta, nie **człowiek** ścigany jest i tropiony, ale **list** pisany przezeń do ukochanej. Nie człowiek piecze w lesie kuropatwy, ale

„w lesie je zielona glina
na kołku aż do mroku piecze"
(„Elegie Janickiego")

I tak samo nie kanonier nabija działa, lecz

„słonko od wschodu do zachodu
w gardziel baterii wpycha paszę"
(„I polskie działa")

Materia zostaje uczłowieczona. Wykonuje te wszystkie, zarówno proste jak i bardziej skomplikowane czynności, które w normalnym świecie wykonuje człowiek, tutaj wyeliminowany i wycofany z kręgu zainteresowań poety. W ten sposób konstrukcja stylistyczna wyczarowuje w ramach poezji świat mitów, które poruszają się, działają, walczą, świat cieni puszczony samopas bez ingerencji ludzkiego czynnika. Tego rodzaju struktura świata wyobrażeniowego nie wydaje się być zgodna z chłopskim widzeniem rzeczywistości. Dla chłopa materia jest ziemią orną, glebą, którą on obrabia i zapładnia, światem, który istnieje tylko wskutek działalności ożywiającego go człowieka. Dla chłopa świat nie jest mitem, jest realną rzeczywistością, którą trzeba obsiać, zaorać, zżąć i wykarczować, sprawą, która jest podporządkowana człowiekowi i od niego zależna. Dlatego poezja Ożoga nie jest poezją chłopską w takim stopniu, jak jest nią poezja Ozgi-Michalskiego, u którego właśnie człowiek wypełnia soba zarys wiersza, materia zaś i przyroda upodobniają się do człowieka, a więc inaczej niż u Ożoga, gdzie człowiek zostaje zastąpiony przez materię. Gdy Ozga-Michalski opisuje „Grusze", powiada o nich:

„Zakwitły dwie stare grusze —
dwie panny na wydaniu.
Stare to już i suche —
chcą kochać i chcą się żenić".

Gdy mowa jest o figurkach świątków, o wystruganym z patyka świętym Mikołaju („Święty Mikołaj") czy o stojącym na kolumnie świętym Janie („Gospodyni pan") wyposaża je poeta w dobrotliwe i zabawne cechy ludzkie:

„taki ci sen miał —
że śmietanę pije z dzbana,
że brzuch ma jak proboszcz — pleban —
i że gospodyni sama
leje mu z dużego dzbana
rynną z nieba".
(Święty Jan)

U Ozgi-Michalskiego **ludzie** ożywiają otaczający ich świat, **człowiek** jest tym elementem, który wprawia w ruch siły przyrody:

„wyszedł z kropidłem ksiądz
i deszczył szczodrze rozśpiewane głosy,
Jak kłosy wyrastały w niwie
pieśni kościelnej.
Ksiądz kropił wodą święconą rzetelnie.
To pieśń wschodziła
przez niego na ustach zasiana".
(„Organy")

W poezji Ozgi-Michalskiego żyje cały świat wiejski: ksiądz, organista, dziad, młynarz, radni gminni. U Ożoga są tylko przedmioty i autonomiczne cząstki przyrody, a pośród nich samotny poeta. Jest to raczej sposób miejskiego patrzenia na sprawy rzeczywistości, typ struktury psychicznej inteligenta i mieszczanina, któremu — oderwanemu od bezpośredniego kontaktu z rytmiczną regularnością przyrody — świat przedstawia się nieco zagadkowo i tajemniczo. I stąd mimo zewnętrzną patynę ludowości raz po raz napotykamy w wierszach Ożoga ślady nie chłopskiej retoryki i frazeologii, jak np. ów „szyd" czy „upojny smęt" z wiersza „Pokój".

Inna cecha poetyki Ożoga związana z omawianym problemem to używanie zdań bezczasownikowych, eliminacja orzeczenia z syntaktycznego układu. Oto w całości wiersz „Gwiazdom":

„Dzwony od Polski na wichrze,
czarne bomby — jagody —
grudy spadłe na wody —
to wam w ręce najcichsze.
Gwiazdy, choć srebrną sukienkę
na kraje nieruchome.
Sztandary, w górę stromie,
z jutrzenki na jutrzenkę"!

Metoda ta, znana już futurystom i liryce impresjonistycznej, jest tu świadectwem określonej postawy duchowej autora. Konstrukcja artystyczna pozbawiona formy czynnej, pozbawiona reprezentującego działania czasownika, daje wizję statyczną, nieruchomy obraz, który nie przesuwa się i nie przemienia. Nie ma ruchu wewnętrznego w świecie poetyckim Ożoga, nie ma też ruchu wydarzeń na płaszczyźnie zewnętrznej. Statyczny, opisowy charakter jego wizerunku świata pogłębiony zostaje w dodatku obfitością przymiotników, często jeszcze mających charakter „epitetów zdobniczych" z doby klasycyzmu („złoty dzwon", „gromolica Polska"). Zupełnie inaczej u Ozgi-Michalskiego, gdzie składnia zdaniowa oparta jest przede wszystkim właśnie na czasowniku, stanowiącym nieraz wprost trzon wersyfikacyjny (np. urywek z „Gruszy": „I chłopak co skrzypki **miał**, — pod grusza na nich **grał**, — tak silnie na gęślach **grał**, — że grusze na ziemię **smykały**, — pod nogi mu **spadały**, — żeby im jeno **grał**"). Wskutek tego poezja Ozgi-Michalskiego staje się poezją ruchu, działania, pełną zwinnej, nieraz powierzchownej, nieraz pstrej i odpustowej, ale zawsze żywej dynamiki.

U Ożoga i u Ozgi-Michalskiego znajdujemy dwa wiersze, oba pod tym samym tytułem, opisujące jeden i ten sam przedmiot („Grusza"). Początek jednego i drugiego najdosadniej scharakteryzuje różnice w metodzie artystycznej i wypływające stąd różnice stosunku obu poetów do rzeczywistości:

U Ożoga:

„Suche gałęzie — plucha dola —
na wichrze rozmierzwione kudły
garbata, krzywa i wychudła,
z kawkami i krukami — w polu"

U Ozgi-Michalskiego:

„Tu gdzie chałupa wujencyna,
tu gdzie mur księży się zaczyna
rosła szeroka grusza.
I nie siedziała na miedzy,
na miedz zielonych wstędze,
jedno w tym rzędzie
grusz księżych rosła ostatnia".

U podstawy przedstawienia Ozgi-Michalskiego leży wizja świata uchwyconego w momencie stawania się, w fermentacji ustawicznego rośnięcia. Przedstawienie takie bliższe jest znacznie realizmowi chłopa — dla którego nie ma innego stosunku do ziemi, do przyrody, jak aktywny stosunek pracy i ciągłego przetwarzania — niż przedstawienie Ożoga, przypominające raczej młodopolski symbolizm, nie wiele mające wspólnego z istotną ludowością wyrazu artystycznego.

I ten mechanizm wewnętrzny poetyki Ożoga, z gruntu intelektualny, pozwala raz jeszcze stwierdzić, że poezja jego w swej istocie ludową ani chłopską nie jest. To, co jest w niej ludowe, ma charakter zewnętrzny, dekoracyjny. Takimi są bardzo częste u Ożoga paralelizmy syntaktyczne w połączeniu z anaforą („o góro...", o łaki..., o sady..., o ćmy za pazuchą!..." itd.), jak również powtórzenia rytmiczne („o lilia, lilia, lilija, nie moja i niczyja" lub „Żegnajcie malewki moje, nie boję się ja, nie boję" itp.). Tego rodzaju środki techniczne znamienne dla rytmiki piosenek ludowych (częste np. w bylinach rosyjskich w postaci narastającego powtórzenia w połączeniu z wariacją synonimiczna) nadają wierszom jedynie zewnętrzną formę ludową, nie decydując o ich wewnętrznej strukturze. Także i Ozga-Michalski stosuje te chwyty lecz rzadziej i dyskretniej, w zharmonizowaniu z całym swoim systemem poetyckim.

Do takich oto wyników prowadzi konsekwentna analiza formalna omawianych zbiorków. Czy pokrywa się z analizą treści i tematu? Tylko częściowo. Treścią tej poezji bowiem w obu wypadkach jest chłopska rzeczywistość i chłopskie sprawy. U Ożoga występuje nawet myśl społeczna, troska o powiązanie swej poezji z nurtem teraźniejszości. Kilka ostatnich wierszy tomu wyrasta u niego z głębokiego zrozumienia sensu dokonujących się przemian, podczas gdy u Ozgi-Michalskiego brak ujęcia żywotnych spraw wsi współczesnej i całej problematyki chłopskiej dnia dzisiejszego. Czyżby oznaczało to rozminięcie się dróg analizy formalnej i socjologicznej oraz błąd w metodzie badania? Nie sądzimy. Raczej należałoby wnioskować z tego co innego: że, aby rozumieć wieś, chłopa, ich stanowisko w całości społecznej, aby umieć te — i inne — sprawy poetycko kształtować, nie trzeba być koniecznie poetą chłopskim, wystarczy być — poetą.

Henryk Vogler

Odwiedziny teatralne

„Wieczór Trzech Króli" w Katowicach

Po rocznej z górą działalności kilkudziesięciu scen, teatr polski, tzw. „odrodzony", zdobył się wreszcie na pierwszego Szekspira. Fakt ten, najdobitniej charakteryzujący bezplanowość i brak poczucia odpowiedzialności za społeczne znaczenie i kulturalną rolę, jaką powinien odgrywać ruch teatralny — nie wymaga, mówiąc stylem dziennikarskim, „szerszych komentarzy". Natomiast podkreślić należy, że katowicki „Wieczór Trzech Króli" jest — po łódzkim „Fantazym" i „Elektrze" — najwybitniejszym przedstawieniem, będąc równocześnie jedną z najciekawszych realizacji Szekspira współczesnej epoki polskiego życia teatralnego.

Bronisław Dąbrowski, kulturalna indywidualność twórcza, jeszcze w sezonie 1936/37 na scenie poznańskiej pokazał swoją koncepcję inscenizacyjną „Wieczoru Trzech Króli" jako pięknej, barwnej, wesołej bajki, wciągającej i widza w zabawę i maskaradę teatralną. Odrzucił wreszcie Dąbrowski cały balast najfałszywszych rodzimych „tradycji" reżyserskich (łącznie z nienaruszalnym dla wielu układem „samej" Modrzejewskiej), zniekształcających najczęściej uroczą komedię w obraz banalnej, nierealnej rzeczywistości; nie poszedł jednak równocześnie po linii tak wymędrkowanej i sztucznej, aż nużącej groteski, jaką w Warszawie pokazał Daszewski. U tego artysty głębszego znaczenia trzeba było szukać w nonsensie struktury plastycznej i w groteskowej kompozycji kostiumów, drwiących z jakiegokolwiek prawdopodobieństwa. Forma plastyczna narzucała styl postaci i przesłaniała bogactwo i wartości tekstu.

Rewizja inscenizacyjno-reżyserska Dąbrowskiego postępuje inaczej. Wydobywa i zręcznie punktuje walory myślowe, psychologiczne oraz artystyczne, widowiskowe dzieła, równocześnie zaś, przy całym szacunku dla dążeń autora i stylu jego epoki, ożywia tradycję, eliminując to wszystko, co mogłoby zaszkodzić niewspółczesnemu dramaturgowi w dzisiejszym teatrze. Mając erudycję i kulturę pełnowartościowego człowieka teatru, reżyser zna i odczuwa psychikę i unerwienie widza-słuchacza.

Opracowanie komedii poety — jak mówi Parandowski: — wielkiego i nieokiełznanego jak życie, piszącego bez reguł, budującego swe utwory z paru tuzinów scen, każda w innym miejscu, rozpoczął Dąbrowski słusznie od nowego opracowania tekstu przestarzałego, wyblakłego przekładu Ulrycha, dostosowując układ scen i wygładzenie dialogów do pomysłu inscenizacyjno-reżyserskiego. Uczynił to bardzo szczęśliwie. Niemniej jednak można sobie wyobrazić na podstawie wspomnień o „Turandot", jak kapitalną i twórczą byłaby w tym wypadku współpraca z Zegadłowiczem. Byłby to niewątpliwie Szekspir bardzo „spolszczony", ale na tym właśnie polega jego wielkość, że jest wiecznie młodym i międzynarodowym zwierciadłem natury (przez duże lub małe **n** — „co chcecie"...). W baśni, jaką pokazał Dąbrowski, też słyszy się zgrabnie wplecioną nutę (nawet dosłownie) polską, i to jest miłe i trafne, skoro bez patosu czy zakłamania, wzajemnego nabierania, bawimy się wspólnie w teatr umowny. Na oczach widzów w rytmie tanecznym bezwstydnie zmieniają paziki rekwizyty, przekształcając kompozycję dekoracji, a w scenie pijackiej orkiestra gra nawet piosenkę „Pije Kuba do Jakuba". To są przykłady szczegółów, jakie nie natrętnie ale brawurowo wciągają widza w krąg zabawy, która podsunie mu i wpoi w niego „głębsze znaczenie".

Oprawa dekoracyjna **Stanisława Jarockiego** jest w swej architektonice powtórzeniem dawnej poznańskiej konstrukcji Zb. Szpinglera, co świadczy, że jest właściwie pomysłem reżysera, synchronizującym wielość i nieustanną zmienność miejsc akcji w kompozycję wyobrażającą z lekka umownie teatralne księstwo Illirii, łączącą elżbietański prymitywizm ze współczesnym bogactwem. Nad ogrodami Oliwii, tarasami, zamienionymi jednym pociągnięciem sznurka w stylowe z gobelinów pokoje, nad brzegiem morza z imponującym żaglowcem, przewalają się wspaniałe „efekty świetlne", a wędrujący bajkowy księżyc zniża w ostatniej scenie swój lot, by cały zespół mógł go zdmuchnąć przy słowach: „komedia skończona, a bawić pragniemy was co dzień"...

Niecodziennym urokiem „Wieczoru Trzech Króli" są dwa jego zasadnicze elementy, przenikające się wzajemnie: melancholijny liryzm i krwisty komizm. Nadzwyczaj umiejętnie Dąbrowski rozgranicza te elementy, by w miarę potrzeby harmonizować je z sobą i nasycać poezją już nie tekstu, ale reżyserii. Zwykle w tradycjach teatralnych raz Wiola, to znów Chudogęba byli bohaterami przedstawienia, wyciskając na całości piętno swego stylu. Zależało to od indywidualności aktora. U Dąbrowskiego reżyser panuje nad równowagą zbiorowości. Boy-Żeleński upominał się o Malwolia. Dowodził, że on jest prawdziwym bohaterem komedii, spokrewnionym z przyszłym molierowskim Tartufem a także... Kromwelem. Dyboski cytuje znów sąd jednego z czołowych szekspirologów, Wiliama Archera, twierdzącego, że nie należy Malwolia brać zbyt poważnie, to nie purytanin, lecz filister, nie uznający żartów, kaprysów życia, stanowiących jego urok. Bo „poezją kaprysu" można by, bodaj za Boyem, nazwać nie tylko przygody miłosne, ale całą komedię. Niemniej jednak Malwolio odgrywa wcale ważną rolę w komedii; w dzisiejszej nawet inscenizacji poszedłbym za radą Boya, kładąc silniejszy nacisk na purytanizm Malwolia. To się teraz przyda. Być może, że Dąbrowski i tego pragnął, ale słabe wykonanie tej roli nie uwypukliło jej znaczenia.

Aktorsko przedstawienie jest ciekawe i staranne. Pomysły i efekty reżyserskie akcentowane są rzetelnie, ą nigdy nie przerysowane, o co tak łatwo zwłaszcza w scenach komicznych upijania się czy pojedynku, kapitalnie pomyślanego i dowcipnie przeprowadzonego. Na czoło wykonawców wysuwa się **Tadeusz Surowa**, bardzo oryginalnie, żywo, bezpośrednio, pogodnie i z melancholijną zadumą odtwarzający postać błazna. Doskonałym, pełnokrwistym i zamaszystym, a mimo to lekkim Czkawką jest **Aleksander Bardini**, bogactwem pomysłów kipi dowcipna interpretacja Chudogęby przez **Tadeusza Kondrata**, wyborny jest **Jerzy Kordowski** (Fabian), bardzo apetyczną, swobodną i pełną temperamentu **Zofia Więcławówna** (Maria). Świat poetyckich uczuć miłosnych jest sympatycznie reprezentowany przez wdzięk **Ludwiki Castori** (Oliwia) i ładną deklamację **Romana Hierowskiego** (Orsino). Wiola **Tercsy Sucheckiej** jest jeszcze jednym dowodem bogactwa i kultury jej aktorstwa. Mając doskonałe warunki, gra tę rolę oryginalnie, z pełną swobodą łącząc subtelność kobiecości z wdziękiem chłopięctwa. Sceny liryczne mówi pięknie. Świetnie harmonizuje z Suchecką **Tadeusz Woźniak** (Sebastian), podobnie jak **Alfred Szymański** (Antonio), wyraziście i naturalnie mówiący wiersz szekspirowski.

Opracowanie muzyczne **Witolda Krzemieńskiego** melodyjne i dowcipne, dobrze zharmonizowane z bajkową i twórczą koncepcją całości.

Stanisław Witold Balicki

Petarda pod mieszczańską rodzinę

Premiera „Pasażera bez bagażu" w Starym Teatrze

Punktem wyjściowym w sztuce Jana Anouilha jest zupełnie wyjątkowy w literaturze psychiatrycznej przypadek całkowitej utraty pamięci przez kontuzjowanego żołnierza, uczestnika pierwszej wojny światowej. Sytuacja jest tym bardziej wyjątkowa, że Gaston, w krytycznej chwili osiemnastoletni bubek, obarczony wcale świńską przeszłością i od lat prawie dwudziestu — posługacz szpitalny, reprezentuje taką inteligencję i wyrobienie etyczne, że góruje tym znacznie nad rodziną, do której zostaje wprowadzony jako przypuszczalny syn. Podręcznik psychiatrii doradzałby w tym wypadku progresywny zanik inteligencji, a nie jej rozkwit, ale tu o co innego chodzi. „Pasażer bez bagażu" nie jest żadną „Drogą powrotną" w remarque'owskim ujęciu, obrazującą psychologiczne konsekwencje wojny, w ogóle z literaturą wojenną nie ma nic wspólnego. Casus Gastona jest dla autora tylko pretekstem do rozwinięcia na scenie świetnej dialektyki, ostrzem zwróconej przeciw ustalonym komunałom o świętości domowego ogniska, rodzajem pojedynku z psychologizmem jednostki i siłą przyciągającą rodziny jako środowiska (zagadnienie postawione odwrotnie niż w „Panu Piku").

Ów pasażer bez bagażu przeszłości ląduje już po raz X-ty razem ze swym managerem, damą z dobroczynności, w burżuazyjnym domu, tym razem rzeczywiście w swoim własnym. Delikwent ma niejasne tego przeczucie, ale zachowuje się z rezerwą, wzrastającą tym wydatniej, gdy poznaje swoją przypuszczalną przeszłość, porządnie zaszarganą (uwiedzenie żony starszego brata, okaleczenie przyjaciela itp). Ta przeszłość mu się „nie podoba", jest w tym wyjątkowym położeniu, że może sobie pozwolić na wolny wybór i przeszłości i rodziny, chroniony prawnie przez księżnę z „feblikiem" na punkcie swego protegowanego. W dodatku rodzina Renaud, zanim ją jeszcze zechciał uznać za swoją, wyciąga już do niego macki: matka demaskuje się jako kobieta oschła; w swoim czasie bez pożegnania puściła go na front, zacięta w jakimś tam rodzicielskim uporze, i teraz jest nie lepsza, bratowa Walentyna pragnie w nim powitać dawnego kochanka, a Jakub (Gaston) się tym brzydzi — gdyż odrobina uczucia odżywa w nim właśnie do tego pobłażliwego i kochającego naprawdę brata. Cynizm i nonszalancja Jakuba z początku widza zdumiewa, odruchem odwiecznego kuplera (gdzie namiętność tam właź po szyję) chciałoby się Jakuba pchnąć w czekające nań kobiece ramiona, ale nie — autor, a z nim jego bohater mają zupełnie inne ambicje. Jedyne co ma im wszystkim niedoszły członek rodziny do powiedzenia to — „wy mi się nie podobacie". Wyzwanie rzucone przez Anouilha jest tym śmielsze, że dramat rozgrywa się we francuskim środowisku upper class, którego spoistość została przez życie i literaturę dowiedziona (na chybi-trafi — Mauriac, Duhamel, Roger Martin du Gard, Braibant). Ta rodzina, z jej wyrosłym w dobrobycie kultem każdego szczegółu i powikłanymi sprawami majątkowymi, zazwyczaj tak łatwo nie ustępuje, ale tym razem musi. Jakub ma w zapasie inne rodziny, które tłumnie zgłaszają się po zaginionego, by nim w jakiś sposób wypełnić lukę w przykładnym pasmie nakazanych, „potrzebnych" miłości (o ironio i łzawy cynizmie autora!). Jak deus ex machina zjawia się może dziesięcioletni przedstawiciel angielskiego klanu, chłopczyk mądry i pokrewny w swym dziecięcym fair play Jakubowi; jego sobie Jakub wybiera. Dlaczego? Bo zaletą rodziny angielskiej jest to, że — jej nie ma: cała, do nogi wytopiła się w katastrofie okrętowej. Ten „wujek", mały filozof w wykładanym kołnierzyku, to jedyny jej przedstawiciel. Jak to cudownie w trzydziestym ósmym roku życia rozpoczynać je na nowo sans bagage! Oto problem sztuki w najkrótszym zarysie.

Przedstawienie, i w ujęciu reżyserskim i jako kreacja aktorska, zostało potraktowane przez **Janusza Warneckiego** doskonale. Ten Jakub na pozór chłodny i nonszalancki, jakże żywo przypominający wcielenie Hamleta w Brydzińskim, jest postacią głęboko ludzką i w rysunku bez reszty wyrażającą intencję autora. Śmiało można powiedzieć, że Warnecki znalazł tutaj swój tekst, wycieniował go i tchnął weń taką prawdę, jaką aktorowi tylko niewiele razy, lub zgoła raz tylko udaje się znaleźć.

Prawie równorzędnym jego partnerem był **B. Loedl**, jako brat Jerzy, w dwu pięknie przeprowadzonych rozmowach. Jerzy jest niemal bliski usidłania brata, ale niestety musi go z rąk wypuścić, gdyż nie jest sam. Dlatego Jakub ginie dla niego gdzieś tam dawno i daleko na polu bitwy. **Maria Dulęba** jako księżna **Dupont-Dufort**, histeryczna aż do maniery dama, u której przez jedną fazę myślową przeciągają się trzy nastroje, zbiera i będzie zbierała zasłużone oklaski. Pani Renaud w osobie **H. Zahorskiej** jest dostatecznie sztywna i władcza, ale czy w scenie powitania nie aż zanadto? **J. Martynowska** (Walentyna Renaud) prawdziwa, choć chciałoby się w niej ujrzeć więcej niebezpiecznej dla kuszonego zmysłowej chrapki; ale może i lepiej, że nie było takiego jaskrawszego momentu. **J. Ciecierski** jako mecenas Huspar, kiedy nie może mówić (bo tekst mu w tej chwili zabrania) — syka. Za to sykanie dyrekcja powinna mu postawić kolację. I reszta zespołu — prawie antyczny chór służby, który komentuje, krytykuje i objaśnia kiedy akcja przebiega poza sceną, dobrze trzymany w cuglach.

J. Kosiński zrobił stylowe i trwałe (bo z drzewa) wnętrze. Zdaje się, że tym razem słusznie, bo sztuka pójdzie przez dłuższy czas.

Marian Promiński

KORESPONDENCJA

JESZCZE O BESTUŻEWIE
Do redaktora „Odrodzenia"

W związku z mym artykułem o stosunkach Mickiewicza z dekabrystami („Odrodzenie", nr 65), prof. H. Batowski, w notatce pt. „Jeszcze o Bestużewie" („Odrodzenie", nr 71), stwierdza, że nie ma absolutnej pewności, czy Mickiewicz, wprowadzając w „Dziadach" drezdeńskich na bal u Senatora postać Bestużewa, miał na myśli Michała Bestużewa-Riumina, działacza i członka Towarzystwa Południowego, czy też członka Towarzystwa Północnego, literata Aleksandra Bestuzewa, piszącego pod pseudonimem „Marliński" (ci dwaj bowiem, spośród pięciu zamieszanych do spisku dekabrystów Bestużewych, mogą być tu jedynie brani w rachubę).

Otóż, oczywiście, absolutnej pewności co do tego nie ma, jest tylko większy lub mniejszy stopień prawdopodobieństwa. Cały szereg okoliczności przemawia jednak raczej za Bestużewem-Riuminem. Nie mogąc się tu nad nimi rozwodzić, przytaczam dla przykładu głosy dwu kompetentnych w tej materii badaczy.

1. „Nie należy... mieszać Al. Bestużewa z innym Bestużewem, figurującym w III części Dziadów. Był to Michał Bestużew Riumin, członek Towarzystwa Południowego od r. 1823, który brał udział w rokowaniach z polskimi związkowcami na Ukrainie. Bywał i na Litwie, wiemy np. o bytności jego w Bobrujsku w r. 1823. Natomiast z życiorysów Al. Bestużewa nie widać, żeby był w Wilnie podczas procesu filaretów, pułk jego bowiem kwaterował w okolicach Mińska, do Związku przystąpił dopiero w r. 1824" (J. Iwaszkiewicz: „Dekabrysta na Litwie", „Kurier Warszawski", 1937, nr 6; na artykuł ten zwrócił mi łaskawie uwagę prof. St. Pigoń).

2. „W jednym z listów Aleksandra (lapsus calami! — winno być — Michała; przyp. mój) Bestużewa-Riumina, głośnego dekabrysty, pisanych do Aleksandra Chodkiewicza w Młynowie, mieści się ciekawa wiadomość o bytności Bestużewa incognito, w przebraniu cywilnym, w Wilnie i w Warszawie, w latach 1823 i 1824. Przypuszczać należy iż czynił on tam zabiegi o pozyskanie dla celów spiskowych kolegów z Korpusu Literackiego. Powyższa, bliżej wszakże nieznana akcja Bestużewa w Wilnie, wiadoma była niewątpliwie Mickiewiczowi, który nie bez głębszego powodu i nie przez prostą dowolność poetycką wprowadził na salony senatora w „Dziadach" Aleksandra Bestużewa i uczciwego oficera rosyjskiego" (H. Mościcki „Młodzież litewska i dekabryści" w zbiorze „Pod znakiem Orła i Pogoni", str. 156). Zaznaczyć należy, że Aleksander Bestużew kontaktu z Aleksandrem Chodkiewiczem nie utrzymywał.

Opublikowane w wydawnictwach radzieckich materiały (jak np. w wyd. „Centrarchiwa": „Wostanije diekabristow", t. I, IV i V, w pracy „Pamiati diekabristow" oraz w tomie „Diekabristy", wyd. „Lietopisi Gosudarstwiennago Litieraturnago Muzieja") całkowicie zdają się potwierdzać powyższe przypuszczenia.

Co się tyczy używanej przeze mnie pisowni, to trzymam się w niej zasady niezmieniania nazwisk, posiadających u nas już swą tradycyjną pisownię. Uważam, że należy pisać: albo „Bestużew", „Sperański", „Tumański", tak jak gdyby było to nazwisko polskie, albo też: „Biestużew", „Spieranskij", „Tumanskij", zgodnie z brzmieniem oryginału (podobnież „dekabryści", nie „diekabryści").

Pisownię „Spieranski", „Tumanski", jako polegającą na równoczesnym stosowaniu „dla wygody" w przypadkowaniu, dwu miar (początek — w brzmieniu oryginału, końcówka — spolszczona), nie uważam za szczęśliwą.

Leonard Podhorski-Okołów (Brwinów)

„BISKUP" I „OSOBISTY WRÓG"
Do redaktora „Odrodzenia"

Echa, jakie wywołał mój artykuł „Przerosty watykanizmu" („Odrodzenie", nr 69), nie były dla mnie niespodzianką. Liczyłem na żywy oddźwięk ze strony czytelników i nie rozczarowałem się. Otrzymałem sporo listów prywatnych, uzupełniających podane przeze mnie szczegóły, jeśli zaś chodzi o alokucję papieską z dnia 24. XII. 1939 r., przekonywający komentarz Br. Wolskiego w „Odrodzeniu" (nr 72), potwierdza w całości moje ostrożne sformułowanie w „Dzienniku Polskim" (nr 15), że papież umyślnie tak konstruował swą wypowiedź, by mogła być rozmaicie interpretowana.

Wiedziałem również, że polemicznie na artykuł mój nikt nie odpowie inaczej, jak tylko wykrętami lub mniej czy więcej udanymi dowcipami. Zbyt bezsporne są fakty, które przytoczyłem, i zbyt duża ich ilość. I w istocie tylko „Tygodnik Powszechny" spróbował podważyć cząstkę moich wywodów. Inne odgłosy polemiczne, o ile mnie doszły, ograniczyły się do nazwania mnie „osobistym wrogiem papieża" („Odra"), lub do zapytania, czy nie jestem „biskupem kościoła narodowego" i wyrażenia uczucia zazdrości, że podjąłem za „Przerosty" „poważne honorarium autorskie" („Dziś i Jutro"). W odpowiedzi na nominację, wrodzona skromność każe mi się zarumienić; natomiast ciekawości „Dziś i Jutro" nie zaspokoję: niech się dalej zastanawia, czy nie jestem biskupem i oblicza ilość wierszy pomnożoną przez wierszowe.

„Tygodnik Powszechny" spośród wszystkich moich „dat i faktów" zakwestionował dwa. Twierdzi, że papież nie nazwał Mussoliniego „wodzem otoczonym chwałą" (co zresztą ma dla tematu mego artykułu zupełnie uboczne znaczenie) oraz, że nie podjęto „krzewienia katolicyzmu na wschodzie pod skrzydłami niemieckich okupantów". „Tygodnik Powszechny" jeszcze więcej pogniewa się na mnie niż poprzednio, gdy mu odpowiem, że niedosłownie zacytowane — co zaznaczył brak cudzysłowu — zdanie o Mussolinim przytaczam według „Prawdy". Żeby go ułagodzić, przypomnę mu, że — jak podała SAP z 2 bm. — „Osservatore Romano" odpowiadając na artykuł „Prawdy" potwierdził wszystko, co pisała „Prawda" i wprost wydał jakby urzędowe pokwitowanie wytoczonych zarzutów. Nie taka to więc zbrodnia oprzeć się na „Prawdzie". Co zaś do drugiego zarzutu — chyba „Tygodnik Powszechny" nie zaprzeczy, że na terenie okupacji niemieckiej rozpoczęto gorliwą akcję krzewienia wiary; a czy doprawdy sądzi, że odbyło się to bez formalnej zgody komisarzy „der Ukraine" i „Ostlandu"?

Poza tym „Tygodnik Powszechny" nie miał rzeczowo nic do powiedzenia, boć trudno traktować poważnie upieranie się przy twierdzeniu, że „Stolica Apostolska przez cały czas wojny utrzymywała bezpośrednie stosunki dyplomatyczne z Polską". Właśnie w tym tkwiło zło, że ucieczka i nieobecność nuncjusza przy rządzie Sikorskiego odjęły formalności protokolarnej wszelką żywą treść. Żenujące jest zaś zażenowanie „Tygodnika Powszechnego" z powodu zacytowania przeze mnie Zygmunta Nowakowskiego. Skądże ta nagła gorliwość „Tygodnika" w niechęci do londyńskiego faszysty? Pan Nowakowski miał być dowodem, że nawet tacy jako on, przykładni katolicy i wierni reakcjoniści, byli zgorszeni. I takim dowodem stał się.

„Tygodnik Powszechny" odgraża się, że będzie dalej przytaczał daty i fakty miłości Piusa XII do Polski; ano, bardzo jesteśmy ciekawi. Na razie wpisuję mu do albumu jedną z ostatnich wypowiedzi papieża w stosunku do Niemców. 18 marca br. ks. Preysing, biskup Berlina i świeżo upieczony kardynał, oświadczył, przywożąc pozdrowienia i błogosławieństwo papieża dla narodu niemieckiego: „Papież zdaje sobie sprawę, że także dziś istnieją Wieczne Niemcy, którym poświęca on swoje troski i modlitwy. Naród niemiecki posiada w papieżu przyjaciela, który właśnie przez mianowanie nowych kardynałów niemieckich dał wyraz temu, że pragnie być rzecznikiem narodu niemieckiego. Papież Pius XII wielokrotnie zapewniał, jak wiele jego myśli i modłów wiąże się z Niemcami i umiłowanym miastem Berlinem". Niechże nam „Tygodnik Powszechny" przedłoży podobne słowa w odniesieniu do pokonanej Polski.

„Dziś i Jutro" podeszło odważniej do zagadnienia. „Przyznajemy, że każdy głos z Watykanu w okresie krwawej wojennej próby wydawał się nam zbyt nikły. Przyznajemy, że oczekiwaliśmy gromów na morderców. Że każde słowo papieża do nas skierowane nie pokrywało się z naszymi pragnieniami sądu, gromu i kary". To są słowa nie moje, to są słowa katolickiego tygodnika. Sądzę więc, iż mam prawo mówić o przyznaniu mi pełnej słuszności merytorycznej i pełnej satysfakcji osobistej.

J. A. Szczepański (Kraków)

W SPRAWIE HISTORII PRASY
Do redaktora „Odrodzenia"

W nr 69 „Odrodzenia" („Korespondencja") L. Sobociński zwraca uwagę na recenzję J. A. Szczepańskiego z mojej książki „Ekonomiczne oblicze zawodu dziennikarskiego". Sobociński podnosi, że niewykorzystanie w mej pracy informacyj, zawartych w rozprawie „Z dziejów prasy pomorskiej" mogło wpłynąć ujemnie na wszechstronność w omawianiu tematu. Istotnie nie mogłem znaleźć tego opracowania. Inne natomiast prace Sobocińskiego są mi znane. Korzystałem z nich zresztą i powoływałem się na nie w szkicu historycznym „Początki prasy polskiej w zaborze pruskim" ogłoszonym w tygodniku „Wieś", nr 10 z dnia 17. III. 1946.

Chciałem tu jednak nadmienić, iż książka moja bynajmniej nie jest potraktowana jako opracowanie historii prasy polskiej. Piszę w niej na str. 53: „Przedmiotem naszych rozważań dotyczących gospodarczej sytuacji zawodu dziennikarskiego w Polsce jest zasadniczo okres międzywojenny lat 1918—1939. Omówimy również położenie materialne dziennikarstwa w latach okupacji 1939—1945. Moglibyśmy się tutaj spotkać z zarzutem, że przecież rozwój prasy polskiej datuje się od roku 1661, a więc od tego czasu należałoby omówić zawód dziennikarski. Na ten ewentualny zarzut odpowiadamy, po pierwsze: w pracy naszej nie mamy w ogóle zamiaru omawiać prasy polskiej w jej historycznym rozwoju. Nie jest również naszym celem opracowanie całokształtu zagadnień zawodu dziennikarskiego a już całkowicie nie jest celem naszych rozważań historia dziennikarstwa polskiego, która w dalszym ciągu czeka na opracowanie".

W tej właśnie, ostatniej sprawie słów kilkoro: Prasoznawstwo jest u nas — w przeciwieństwie do innych państw — jedną z najbardziej zaniedbanych dziedzin wiedzy. Historia polskiej prasy datuje się od roku 1661. Do dziś, przez lat blisko trzysta nie zdobyliśmy się na jej opracowanie. Czyżby aż tak „nierentowny" był ten temat dla polskiego pisarza? Czy dziś nie znalazłaby się placówka wydawnicza, która by zainteresowała historyków tym zadaniem? Wchodzimy przecież w okres planowego działania. Sądzę więc, że w planach wydawniczych ta sprawa powinna być nareszcie uwzględniona. Historia polskiej prasy wymagać będzie — przekonałem się o tym w czasie pracy nad moją rozprawą — dużego nakładu wysiłków. Trudności nie lada spotkają chętnych już przy gromadzeniu materiałów. Toteż wydaje mi się, iż przedsięwzięcie to winno być realizowane wysiłkiem zbiorowym, jako rezultat pracy kilku czy nawet kilkunastu badaczy. Skoro zaś inicjatywy nikt nie podejmuje, trzeba stale podnosić potrzebę tych prac a nawet ich konieczność.

Mieczysław Kafel (Warszawa)

Nagroda literacka Łodzi

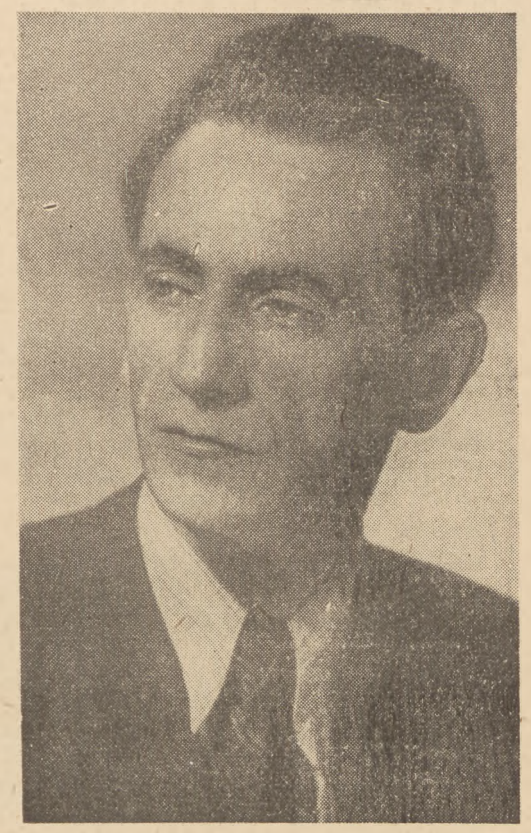

MIECZYSŁAW JASTRUN
otrzymał nagrodę literacką Łodzi za całość twórczości.

Nadkoniunkturalizm

Jalu Kurek obraził się na „Gazetę Ludową", że go pomówiła o zajmowanie posady państwowej. Skwapliwie wysłał list do redakcji, gdzie sprostował dla audytorium miejskich członków PSL, że nie jest urzędnikiem, pochwalił się natomiast, że jest „nadkoniunkturalnie niezależnym" i że jeśli pracuje w PAPie, to tylko „dla wykształcenia młodego narybku uczciwych, a fachowych dziennikarzy, których w Polsce jest niewielu" .i ponieważ PAP nie jest instytucją państwową.

Jalu Kurek znajduje się na niebezpiecznej drodze samozachwytu i samouwielbienia, wiodącej na manowce, na których nie chcieliby go widzieć ludzie szczerze mu życzliwi. Egotyzm Kurka staje się... niepokojący. Autor ten nie potrafi pisać o abrakadabrze lub o Nabuchodonozorze, by nie wtrącić siebie i swoich czysto prywatnych spraw. W niedawno ogłoszonym felietonie „Racławice" („Dziennik Polski", nr 94) uważał za najbardziej dla czytelnika interesujący szczegół, iż on, Kurek, „był ostatnio na wystawie Kościuszkowej w Muzeum Narodowym i oglądał w gablotce podniszczoną sukmanę chłopską". „(Kościuszko) szedł na rynek tą samą ulicą, którą chodziłem przez parę lat na uniwersytet. W Szarej Kamienicy, gdzie nieraz załatwiam sprawunki w sklepie, mieścił się sztab pana Kościuszki. Na pewno ten sam bruk wydeptywały i jego stopy". Czytelnik się dziwi, ale niesłusznie, skoro w innym felietonie z całą powagą stawia Kurek retoryczne pytanie: „Czyżbym wyglądał na natchnionego proroka?"

Prorokiem Kurek nie jest, ale rozgadanym i bałamutnym felietonistą na pewno. Bo jakżeby inaczej zestawiał znaczenie Grunwaldu ze znaczeniem Racławic i pisał z uznaniem o „kosach na armaty" i anczycowskiej brechcie, jako „klasycznej strawie duchowej narodu"? „Wskazuję na groźny objaw: rozwielmożnione gadulstwo, kult słowotoku. Nie lubi się u nas patrzeć prawdzie w oczy, kocha się za to idealizm i górnolotność słowa": chwalebna samokrytyka.

Co jednak najbardziej zabawne, to to, że autor wszędzie recenzowanego „Janosika", autor, którego patetyczne apele do najwyższych dygnitarzy państwa przedrukowywała niemal cała prasa polska, autor, którego wypowiedzi znajdujemy od „Lewego Toru" do „Gazety Ludowej" — skarży się na... przemilczanie. „Byłem zawsze zaprzeczeniem oportunizmu i koniunkturalizmu; dlatego też otacza mnie tak szczelnie przemilczanie lub niechęć z wielu stron, sfer i kierunków" — powiada w „Gazecie Ludowej", mizdrząc się do opozycyjnych czytelników. To już coś więcej niż przewrażliwiona miłość własna. To przeinaczanie faktów, które jest nieprzyjemne. Nie dziw, że „Gazeta Ludowa" wystawia mu cenzurkę: „p. Jalu Kurek istotnie należy do pisarzy niezależnych i niekoniunkturalnych". I obie strony są zadowolone.

sja

PRZEGLĄD PRASY

Nie spełniają się przewidywania z roku 1940, kiedy po upadku Paryża najwierniejsi frankofile załamali ręce nad przyszłością francuskiej kultury, uważając, iż utrata politycznego znaczenia doprowadzi do zaniku wpływów Francji w świecie w ogóle. W dziedzinie sztuki i literatury obserwujemy zjawisko co najmniej niespodziewane. Anglia i Ameryka przeżywają okres fermentu spowodowanego przez idee artystyczne, które we Francji mają już swoją zamkniętą historię. Nadrealizm, który we Francji jest tematem uniwersyteckiej „tezy", w krajach anglosaskich posiada urok nowinki formującej powojenny snobizm. Można to zresztą uważać za rozsądne gospodarowanie zapasami przedwojennymi. A gdy się one wyczerpią?

Otóż aktywność intelektualna Francji wydaje się, przynajmniej z oddalenia, z którego w jej stronę spoglądamy, nie słabnąca. Neoencyklopedyści pragną wskrzesić najczystsze francuskie tradycje racjonalizmu. Egzystencjaliści, przerabiając surowiec niemieckiej myśli sprzed pięćdziesięciu lat, tworzą jeśli nie nową filozofię, to przynajmniej nowy kierunek literacki. Nie mamy zamiaru zestawiać tych dwóch o różnych wymiarach intelektualnych prądów, chcemy tylko przykładowo zobrazować żywotność. Francja umniejszona politycznie dąży do odzyskania dawnej hegemonii kulturalnej. Dla charakterystyki obecnego położenia Francji narzuca się myśl przewodnia wydanej przed samą wojną książki C. F. Ramuza („Potrzeba wielkości"), który wielkość narodów zubożonych politycznie widział w intensywności rozwoju ich sztuki i nauki. Francja po tę wielkość sięga właśnie.

Odrodzenie intelektualne Francji nas interesuje przede wszystkim. Przez Francję prowadziły drogi naszej sztuki i nauki na Zachód. Są to szlaki tradycyjne i znaleźlibyśmy się w bardzo trudnym położeniu, gdyby (a nie było to wykluczone) miały one wieść przez pustynię. Szukanie nowych dróg wymagałoby wiele czasu. Dlatego odrodzenie się Francji jest dla interesów naszej kultury tak ważne.

Z pojmowania tej ważności winniśmy jednak wyprowadzić wszystkie konsekwencje. A więc przede wszystkim: odnowić ścisłe i trwałe związki kulturalne z Francją. Jest to tym pilniejsze, że znajomość nowoczesnej myśli francuskiej pomoże nam przezwyciężyć nasze wewnętrzne opory i nawyki wstecznictwa. Starych nałogów myślenia i odczuwania nie pozbędziemy się tak rychło bez przykładu i wzoru do naśladowania. A właśnie wzory francuskie mają tę wyższość nad innymi, że posiadają one tradycję zaufania oraz powszechny kredyt u naszej inteligencji. Wydaje się nam przeto, że zagadnieniem w skali państwowej jest jak najszybsze zorganizowanie wymiany kulturalnej z Francją. Uczeni, pisarze i artyści winni przez osobiste kontakty poznać problematykę przemian dokonujących się na radykalnym zachodzie. Tym bardziej, jak o tym świadczą relacje tych kilku pisarzy, którzy we Francji ostatnio byli, że i my jesteśmy dla Francuzów atrakcyjni, że i oni szukają zbliżenia z nami. Zbliżenia tego nie wypracują nawet najbardziej wybitni i świadomi swej roli przedstawiciele oficjalni.

Zapoznanie ogółu społeczeństwa z nauką, literaturą i sztuką współczesnej Francji jest po prostu zagadnieniem wychowawczym. Odizolowani przez sześć lat wojny od świata zatraciliśmy skalę porównawczą dla wartości, nie posiadamy obiektywnych sprawdzianów dla dokonań. Dlatego tak ważnym kulturalnie wydarzeniem jest zeszyt trzeci (za marzec) „T w ó r c z o ś c i", poświęcony w części literaturze współczesnej Francji. Ważnym, bo przełamuje przymusowe milczenie o sprawach, które dzieją się w kulturze Zachodu, że rozbudza zainteresowanie ogółu i powiększa tego zainteresowania wymiary.

Oczywiście w obecnych warunkach, kiedy książki i pisma francuskie wciąż jeszcze są rzadkością bibliograficzną, niesposób stworzyć obraz, czy chociażby dać ogólny zarys życia umysłowego we Francji. Dlatego również i „Twórczość" przedstawia raczej próbki, wycinki tego życia. W każdym bądź razie orientuje w przybliżeniu w tendencjach prozy i poezji współczesnej Francji. Opowiadanie **Aragona** (w przekładzie **Jana Kotta)** jest świetnym przykładem literatury o tematyce okupacyjnej. Aragon sięga do najistotniejszego problemu przeżyć okupacji: odpowiedzialności. Sędzia niemieckiego sądu specjalnego, który dostaje się w ręce członków ruchu oporu, nie jest tylko postacią urobioną przez autora z konfliktów i „cienkości" psychologicznych. Tu nie chodzi tylko o przeżycia i wierność artystyczną dla interpretacji. Aragon dociera poprzez winy jednostkowe do konstrukcji ideowej Niemca, nie wyjątkowego, nie esesowca lub członka partii, lecz Niemca będącego typem, jeśli tak można powiedzieć, swego narodu. Ukazuje maszynerię, która przez sześć lat była czynna i działała bez usterek. Dla nas oczytanych w cierpieniach ofiar dociekliwość artystyczna Aragona ukazuje obiektywnie ich sprawcę, co w naszej dotychczasowej literaturze o tematyce okupacyjnej nie znalazło jeszcze wyrazu.

O Aragonie-poecie publikuje ciekawy szkic **Maria Jarczyńska.**

Zamieszczenie „Nieprzejednanych" **Jules Vallesa** ukazuje tradycje rewolucyjne francuskiej literatury.

Na szczególną uwagę w omawianym zeszycie „Twórczości" zasługuje „Arkusz poezji francuskiej". „Arkusz" ten jest lapidarnym przewodnikiem po nowoczesnej poezji we Francji. Od Gérard de Nervala do wojennej liryki Aragona i Eluarda. Tłumaczą: Julia Hartwig, Paweł Hertz, Mieczysław Jastrun, Gabriel Karski, Jan Kott, Seweryn Pollak, Julian Przyboś i Adam Ważyk. Trudności w znalezieniu tekstów spowodowały dotkliwy brak utworów Paul Claudela i Paul Valéry'ego. Jest to wadą „Arkusza", którego rola jako przewodnika wymaga poprawki. Ale mimo to „Arkusz" obrazuje zasadnicze tendencje poezji dość kompletnie. Niezorientowanych w problematyce poetyckiej pouczy najlepiej, bo przykładowo, o funkcji wyobraźni i o intelektualnej organizacji wzruszenia w nowoczesnej poezji. Toczone wciąż jeszcze u nas teoretyczne boje z opisem zjawisk, z anegdotą w utworze poetyckim — dostrzeże to każdy — byłyby we Francji w ogóle niezrozumiałe. Pojęciowość obrazowania jest tam nie postulatem teoretycznym, lecz warunkiem powstania utworu poetyckiego.

Zeszyt trzeci „Twórczości" jest pierwszym poważnym „spotkaniem z Francją" w naszym powojennym czasopiśmiennictwie. Można mieć nadzieję, że spotkań takich będzie więcej. By one nastąpiły jednak, konieczne są książki francuskie, konieczne są bezpośrednie kontakty intelektualne. Gdy w roku zeszłym powstało Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Francuskiej, zdawało się, że nastąpi ciąg dalszy. Tymczasem jak dotychczas wszystko jest nadal w stadium organizacyjnym. A przecież czas płynie na naszą niekorzyść. Z każdym miesiącem wzrasta liczba zjawisk kulturalnych przez nas niezauważonych. A przecież ważne jest, byśmy nie musieli wciąż odrabiać zaległości. Oczywiście, że istnieją wielkie i przez wszystkch rozumiane trudności obiektywne, których pokonanie zależy przede wszystkim od poprawy naszej sytuacji gospodarczej, lecz trzeba, by uświadomiono sobie na zapas już dzisiaj, że przez zapóźnienie kulturalne nasz prestiż jest bardziej nadwyrężony, niż przez np. „niekorzystny" dla nas wynik meczu piłki nożnej.

zb

Uroczysta akademia w roku kościuszkowskim

P r o f e s o r : A teraz proszę mi powiedzieć, w którym roku urodził się Tadeusz Kościuszko...

rys. Charlie

Purpura, fiolet i barwa brunatna

Swego czasu przyniósł „Tygodnik Warszawski" wiadomość, że „arcybiskup Mindszenty ogłosił protest przeciwko prześladowaniu mniejszości węgierskiej na Słowaczyźnie". „Traktowanie Węgrów nie jest obecnie lepsze aniżeli Żydów przez hitlerowców" — żalił się patetycznie ks. Mindszenty. To umieszczenie na jednym poziomie wysiedlania (choćby się je nawet nazywało niesprawiedliwym, a wiemy, że niesprawiedliwe nie jest) i śmiertelnej likwidacji całego narodu uznano za zbyt wielkie uproszczenie pojęć moralnych, i ostro skarcono za nie węgierskiego księcia kościoła, który dzisiaj powołuje się na rzekomo obrażone zasady ludzkości i sprawiedliwości, ale milczał jak zaklęty, gdy reżimy faszystowskie na Węgrzech masowo tępiły przeciwników politycznych, mordowały Żydów itp. Kto wówczas milczał, nie ma dziś prawa przywdziewać togi obrońcy humanitaryzmu — powiedziano bez ogródek.

Obecnie ks. Mindszenty — mianowany, jak wiadomo, kardynałem — znowu dał znać o sobie. Węgierski dziennik „Khalodash" stwierdził, że purpurat z Ostrzyhomia jest ośrodkiem wszystkich elementów pragnących na Węgrzech powrotu złej przeszłości i zarzucił kardynałowi nadużywanie wolności słowa dla celów czysto politycznych, atakowanie ruchu demokratycznego, branie w obronę faszystowskich zbrodniarzy wojennych, itp. Wobec tego, że oburzenie w kołach demokratycznych na szkodliwą działalność kardynała było ogromne, uznał on za wskazane schronić się w Watykanie. Dziennik węgierski komentując ten fakt oświadczył, że mało jest tak szkodliwych ludzi na Węgrzech jak kardynał Mindszenty.

Ostatnio we Freiburgu arcybiskup Konrad wydał do wiernych list pasterski, niedwuznacznie głoszący konieczność odrodzenia ideologii pangermanizmu. Zrobił się skandal, prasa francuska uderzyła na alarm, ale szowinistyczny list pasterski odczytano tymczasem spokojnie podczas trzech kolejnych nabożeństw niedzielnych we wszystkich kościołach katolickich francuskiej strefy okupacyjnej.

Zjawiska tego typu (można by ich zacytować więcej) ani nas zaskakują ani dziwią. W dobie ideologicznego podziału niemożliwe jest jakiekolwiek kluczenie. Kler katolicki w wielu państwach złożył dowody solidarności z demokracją i zrozumienia dla nowych czasów, ale zjawisko to nie było niestety powszechne. Kler niemiecki w znacznej większości stanął wiernie przy Hitlerze: jest to fakt, którego nie odmienią podejmowane tu i ówdzie — nawet w Polsce! — próby niefortunnej obrony, usiłujące nam np. wmówić (jak to uczynił „Tygodnik Powszechny"), że kardynał Preysing „w czasie wojny wykazał w szczególny sposób hart ducha w walce z neopogaństwem hitlerowskim". Ale nie tylko kler niemiecki okazał się słabo odporny na brunatne pokusy: również kler hiszpański czy słowacki (z osławionym proboszczem Tiso na czele i biskupami, dopiero przed tygodniem wypuszczonymi z więzienia, w którym siedzieli zamknięci za swe zapały faszystowskie) nie przyniósł hierarchii katolickiej chluby. Te i podobne zjawiska przeczą twierdzeniu, że obóz katolicki jest dziś ideowo-politycznie jednolity i zwarty. Pomiędzy Maritainem a reksistami jest niewątpliwie nie mniejsza różnica niż między ks. Jackiem Przygodą, który jak ks. Trzeciak wydał za okupacji broszurę antysemicką, a ks. Trojnarem z reportażów Gila. Przyszłość politycznych ruchów katolickich (M. R. P., grupa „Quotidiano", odbudowywane Centrum w Niemczech, itp.) zależy od tego, czy dotrzymają one kroku demokracji czy też cofną się do pewnych okopów, do których wabią ich syrenie głosy, powołujące się na rozległe tradycje.

Jaszcz

Redaktor naczelny: KAROL KURYLUK,— Adres redakcji: Basztowa 15, m. 8, tel. 593-28 i 507-12.— Redaktor przyjmuje od godziny 11 do 12. — Adres administracji: Wielopole 1, telefon 545-60-62
Prenumerata kwartalna 87 zł.
M — 12228
Drukarnia Narodowa w Krakowie. — Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".